Nr. 1 i 2.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO.

Rok XXI.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Księży Misyonarzy.
1915.

TREŚC ZESZYTU.

Prenumerata roczna **8 Koron (Mk)**; dla Ameryki **9 Koron.**

Uprasza się o uiszczenie prenumeraty za rok 1914 i 1915
pod adresem:
Redakcya »Roczników Zgromadzenia« — Kraków, Stradom 4.

Redakcya uprasza najuprzejmiej Czcigodnych Księży Superyorów oraz Czcig. SS. Przełożone o łaskawe nadsyłanie sprawozdań o pracy i stanie powierzonych im domów i dzieł, w myśl statutów ułożonych przy zakładaniu naszego kwartalnika oraz stosownie do „Słowa wstępnego“, zamieszczonego w pierwszym zeszycie tychże „Roczników“ (1895 r.).

Załączamy też gorącą prośbę o pisanie nekrologów naszych Zmarłych.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO.

Rok XXI.

KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Księży Misyonarzy.
1915.

W drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

W pięćdziesiątą rocznicę prowincyi polskiej.

1865 — 28/III. — 1915.

W niedzielę Palmową, 28. marca b. r., upłynęło lat pięćdziesiąt od utworzenia nowej prowincyi polskiej. Chociaż nie złotemi, lecz krwawemi głoskami piszą się dziś nasze dzieje, a niejeden dom tej prowincyi znalazł się w poważnem niebezpieczeństwie wśród wojennej zawieruchy, ważne to zdarzenie zapisać wypada, P. Bogu na podziękę, a nam ku pokrzepieniu na duchu.

Zaraniu prowincyi naszej nie przyświecały także wesołe chwile. Po rozdarciu Ojczyzny domy obszernej niegdyś i w pełnym rozwoju kwitnącej dawnej prowincyi polskiej z biegiem czasu zamykano kolejno: w zaborze austryackim zniknęły wkrótce domy w Przemyślu, Samborze, Brzozowie, Głogowie, Lwowie, Mikulińcach, Horodence; w zaborze pruskim zwinięto domy w Gdańsku, Chełmnie, Gnieźnie, Poznaniu; ukaz carski z r. 1842 zniósł doszczętnie nowo utworzoną prowincyę wileńską, a w r. 1864, uszczuploną już i tak, a coraz bardziej krępowaną w swej działalności prowincyę warszawską skazał na ostateczną zagładę. Ostał się jeden tylko dom w Krakowie na Stradomiu, przyłączony w międzyczasie do nowo powstałej w r. 1853 prowincyi austryackiej.

O. Generał Etienne pisał w okólniku noworocznym 1866: „Ubiegły rok był dla mnie rokiem smutku, a serce moje napełnił wielką goryczą. Zniesiono drogą naszą prowincyę warszawską, zaszczepioną ręką samego św. Wincentego, a liczącą z górą dwa wieki licznych usług oddanych Kościołowi św.; rozprószono przemocą wszystkich synów tej drogiej i ukochanej rodziny; uwięziono lub skazano na wygnanie wielu,

ścigając ich prześladowaniem równie okrutnem jak niesprawiedliwem. Jedna tylko myśl pociesza mnie w tem strasznem przygnębieniu, to że w Zgromadzenie uderzył okrutny prześladowca Polski li tylko dla tego, że znalazł w niem zaporę w zakusach swych schizmatyckich, że zwątpił o możliwości zerwania jego podwójnych więzów, jedności wiary katolickiej i wierności dla św. Ojca naszego. To było największą zbrodnią Misyonarzy w Polsce, zbrodnią, przynoszącą im najwyższy zaszczyt i chwałę. Wielu z nich zdołało ujść z kraju, wydanego na pastwę prześladowania; przyjęliśmy ich ze czcią, upatrując w nich wyznawców cierpiących za wiarę św. i godnych synów św. Wincentego".

W roku zaś 1867 pisał O. Etienne: „Widzieliśmy, jak ukochana prowincya polska zniknęła z widowni wśród prześladowania wiary katolickiej. Lecz ten, który prowadzi do bram śmierci, potrafi także ożywić. W chwili upatrzonej w swej Opatrzności potrafi On, nie wątpmy o tem, odbudować na nowo świątynię na samych nawet zwaliskach dawnej i otoczyć tę drugą budowę świetnością, na której zbywało pierwszej. *Magna est gloria domus istius plus quam primae*. Jutrzenka, zwiastująca tę nową świetną przyszłość, już pocieszyła serca nasze i upewniła nasze nadzieje. Ustanowiono właśnie nową prowincyę Zgromadzenia, której centrum jest w Krakowie, dawnej stolicy Polski; a składa się ona z trzech domów, z których dwa są w Krakowie, a trzeci w Chełmnie. Czwarty ma być wkrótce otwarty w Poznaniu. Zgromadzenie cieszy się w tych dwóch dzielnicach Polski sympatyą u duchowieństwa i wśród ludu. Jest tam wielka liczba domów Sióstr Miłosierdzia, i to w pełnym rozwoju. Zajęcia naszego powołania odbywają się swobodnie i z wielkiem powodzeniem. A co jeszcze bardziej nas utwierdza w nadziei o przyszłości tej młodej prowincyi polskiej, to duch dobry, jakim jest ożywiona".

O nowej tej prowincyi przechowała się notatka pierwszego wizytatora, ks. Oudiette'a, z r. 1865, w tych słowach podająca jej statystykę:

„Katalog Zgromadzenia Księży Misyonarzy w prowincyi polskiej, składającej się z domów w Krakowie, na Kleparzu i Stradomiu, oraz w Chełmnie, według postanowienia N. O. Generała Jana Chrzciciela Etienne, z dnia 28. marca 1865 r.

„Dom św. Wincentego na Kleparzu: Ks. Piotr Henryk Oudiette, superyor i wizytator, którego rok urodzenia 1818, powołania 1852; Ks. Wiktor Ożarowski, 1799, 1859; Ks. Renat Walenty Rademacher, 1833, 1857; Ks. Karol Ernst, 1832, 1860; Ks. Józef Kiedrowski, 1836, 1864; Ks. Leon Bogatko, 1821, 1865; Br. Bartłomiej Voss, 1832, 1855.

„Dom na Stradomiu: Ks. Stefan Klinger, superyor, 1807, 1825; Ks. Michał Mioduszewski, 1787, 1804; Ks. Filip Gołaszewski, 1808, 1827; Ks. Antoni Dąbrowski, 1816, 1836; Ks. Jan Siedlecki, 1829, 1847; Br. Jan Klecza, 1838, 1864.

„Dom w Chełmnie: Ks. Piotr Konrad Stroever, superyor, 1823, 1850; Ks. Józef Kostrzewski, 1828, 1854; Ks. Filip Mirucki, 1829, 1859; Ks. Jan Binek, 1838, 1864; Br. Bernard Scheiffers, 1819, 1859; Br. Benedykt Tomiak, 1842, 1865“.

Taki był stan prowincyi naszej w jej zaraniu, przed pięćdziesięciu laty: trzy domy, 15 kapłanów i czterech braci.

Prorocze słowa O. Etienne o świetnej przyszłości prowincyi polskiej miały się spełnić dosłownie w tych latach pięćdziesięciu. Trzeci jego następca, O. Emil Villette, mógł w swem orędziu noworocznem 1915 napisać, że „prowincya polska od szeregu lat cieszy się nadspodziewanym rozkwitem; liczba Misyonarzy wzrosła znacznie, a działalność ich sięgnęła aż do Brazylii i do Stanów Zjednoczonych, gdzie założyli kolegium, a w licznych domach pracują dla duchownego dobra polskich wychodźców w Ameryce; cała wogóle prowincya i wszystkie jej dzieła są w prawdziwie kwitnącym stanie“.

W skład prowincyi wchodzi obecnie domów 23; z tych trzy są w Krakowie, Stradom, Kleparz i Nowa wieś; w Galicyi siedm: Białykamień, Jezierzany, Lwów (św. Kazimierz i Małe Seminaryum), Milatyn Nowy, Odporyszów i Tarnów;

jeden na Bukowinie, Kaczyka; w Stanach Zjednoczonych cztery. Derby, Erie, Filadelfia i New Haven; w Brazylii ośm, a mianowicie, w Paranie siedm, Abranches, Ipiranga, Itayopolis, Orleans, Prudentopolis, Rio Claro i Thomaz Coelho, jeden w stanie S. Catharina, Guarany-mirim.

Misyonarzy wszystkich w tej prowincyi jest obecnie 205, t. j. 116 księży, 46 kleryków i 43 braci.

Centralny zarząd prowincyi znajduje się w Krakowie na Stradomiu. W tym także domu jest studyum filozoficzno-teologiczne, wyższe klasy gimnazyalne oraz Seminaryum Internum, do którego kandydaci przychodzą niemal wyłącznie z Małego Seminaryum w Nowej wsi, gdzie w czterech niższych klasach gimnazyalnych kształci się przeciętnie około 80 wychowanków. Małe Seminaryum, z którego wyszła olbrzymia większość naszych księży, istnieje od r. 1878, w którym otwarł je ś. p. ks. wizytator Soubieille na Kleparzu, a w r. 1896 przeniósł je na Nową wieś. Seminaryum Internum wraz z dalszemi studyami powstało w r. 1867. Pierwszych księży i braci otrzymała prowincya ta bądź z Paryża, bądź z dawnej warszawskiej prowincyi. Wszystkich tych, którzy nie byli w naszem Seminaryum Internum, było księży 34, braci 7; umarło z nich 22 księży, 4 braci, pozostało zaś dwóch księży, Ks. Józef Kiedrowski i Ks. Melchior Wdzięczny, z braci zaś jeden tylko Br. Bartłomiej Voss; reszta opuściła Zgromadzenie. Do Seminaryum Internum, od chwili przyjęcia pierwszego kandydata, dnia 15. października 1867, aż do 31. marca 1914, w którym zapisano ostatniego seminarzystę, wstąpiło dotychczas 467, t. j. 5 księży, 352 kleryków (z których 144 doszło do kapłaństwa) i 110 braci. Z pomiędzy nich umarło dotychczas w Zgromadzeniu 13 księży, 12 kleryków, 6 braci; pozostało 114 księży, 33 kleryków po ślubach, 13 przed ślubami św. i 42 braci; reszta zaś opuściła Zgromadzenie, przeważnie przed ukończeniem Seminaryum.

Na czele prowincyi stało dotąd czterech wizytatorów.

Pierwszym z nich był ks. Piotr Henryk Oudiette (1865—1866), rodem Francuz. Przyszedł na świat 15. lipca


XX. Misyonarze
Kraków
S. WINCENTY
KLEPARZ
1861
NOWA-WIEŚ
1894
STRADOM
1686

1818 w Ville-sur-Tourbe w dyecezyi Châlons. Na kapłana wyświęcony 17. lipca 1842, w dwa dni potem, dnia 19. lipca został proboszczem w Chouilly pod Epernay. Po dziesięciu latach wstępuje do Zgromadzenia w Paryżu, dnia 18. lipca 1852 r. Był potem profesorem w seminaryum w Carcassonne do roku 1858, a później spełniał różne zajęcia, bądź we Francyi, bądź we Włoszech u SS. Miłosierdzia. W maju 1863 roku wysyła go O. Etienne do Krakowa na superyora Domu na Kleparzu i dyrektora prowincyi SS. Miłosierdzia. Stanął tutaj 4. lipca. Kiedy w dniu 28. marca 1865 O. Generał ustanowił nową polską prowincyę XX. Misyonarzy, Ks. Oudiette został jej pierwszym wizytatorem. Ceniony bardzo i kochany był przez wszystkich, łączył bowiem z żywem usposobieniem wielką gorliwość i zapał, rzewną pobożność i poświęcenie. Sam jednak czuł się nieszczęśliwym, ciążyła mu bowiem nadzwyczaj wielka odpowiedzialność na tak ważnem stanowisku, a więcej jeszcze ta okoliczność, że mimo usilnej pracy nie mógł się nauczyć języka polskiego. Na usilne więc nalegania odwołano go do Paryża. Wyjechał dnia 20. lipca 1866 r. i pracował jeszcze przez kilka lat we Francyi i we Włoszech. Sterany licznemi pracami, a zwłaszcza przejściami wewnętrznemi, umiera w Paryżu dnia 6. lutego 1873, licząc zaledwie 55 i pół roku życia, a 21 powołania. — Za jego wizytatorstwa składała się prowincya nasza z trzech tylko domów: dom na Stradomiu istniał od r. 1686, na Kleparzu od r. 1861. Dom w Chełmnie, otwarty na nowo w r. 1863, zamknął rząd w r. 1867. W tym samym czasie miał na krótki czas powstać znowu dom w Poznaniu.

Drugim wizytatorem prowincyi był Ks. Piotr Soubieille (1866—1900). Urodził się w Souprosse, dyecezyi Air, w południowej Francyi, dnia 25. marca 1824 r. Otrzymawszy w dniu 7. czerwca 1849 r. święcenia kapłańskie, po dwóch latach pracy jako świecki kapłan, wstępuje w r. 1851 do Zgromadzenia w Paryżu. Był następnie przez lat kilka profesorem w seminaryum dyecezalnem w Châlons, a od r. 1862 superyorem tamtejszych XX. Misyonarzy i rektorem

seminaryum. Kiedy Ks. Oudiette'a odwołano do Paryża, następcą jego jako superyor na Kleparzu, wizytator prowincyi polskiej i dyrektor prowincyi SS. Miłosierdzia został Ks. Soubieille, który zjechał do Krakowa dnia 15. sierpnia 1866 r. W pełnej sile wieku, z gorącym zapałem zabrał się do pracy rozległej i trudnej, która miała obficie zapełnić całe dalsze 33 i pół lat jego życia. Już w roku następnym, 1867, otwiera na Kleparzu Seminaryum Internum; a kiedy przez lat kilkanaście doczekał się zeń kilku tylko nowych Misyonarzy, założył w r. 1878 Małe Seminaryum, które po czterech latach zaczęło rok rocznie dostarczać nowych kandydatów do Zgromadzenia, którzy po większej części wierni pozostali swemu powołaniu. Przez to wiekopomne swe dzieło najtrwalszą położył podstawę pod nową prowincyę i stał się właściwym jej twórcą. W miarę jak przybywało nowych członków do Zgromadzenia, rozszerzało się także pole pracy. Obok zajęć w seminaryum dyecezyalnem na Stradomiu, obok opieki nad SS. Miłosierdzia i ich dziełami, zaczęły się w r. 1867 misye w różnych parafiach w Galicyi, następnie rekolekcye ludowe na Kleparzu, praca w kościołach i w szpitalach, słowem rozliczne zajęcia w duchu naszego powołania. Do dawnych trzech domów przybył najpierw krótko trwający dom w Poznaniu, następnie dom we Lwowie u św. Kazimierza 1867 r., w Jezierzanach 1890 r., w Sokołówce pod Bóbrką 1894 r. (zwinięty w r. 1911), w Nowej wsi 1895 r., w Witkowie nowym 1898 r. (zwinięty w r. 1913) i drugi dom we Lwowie, Małe Seminaryum arcybiskupie, 1899 r. Dokonawszy tylu dzieł, sam obok zajęć swego potrójnego urzędu superyora, wizytatora i dyrektora Sióstr, wiele czasu poświęcając pracy w konfesyonale, a nawet na ambonie, na misyach i rekolekcyach, doczekawszy późnej starości, pełen zasług, kochany i czczony przez wszystkich, swoich i obcych, zakończył pracowite i świątobliwe swe życie „z bronią w ręku“, bo po kilku godzinach spędzonych tegosamego dnia w konfesyonale, dnia 1. kwietnia 1900 roku.

Trzecim wizytatorem prowincyi był Ks. Józef Kie-

drowski (1900—1906). Urodzony w W. Lubieni w Poznańskiem, dnia 5. sierpnia 1836, wyświęcony na kapłana 26. maja 1861 w Gnieźnie, wstąpił do Zgromadzenia w Paryżu dnia 20. grudnia 1864. Przysłany przez O. Generała Etienne do Krakowa r. 1865, odtąd stale tutaj pracuje na różnych stanowiskach, jako kapelan w szpitalu św. Łazarza, na misyach, na rekolekcyach księży świeckich, SS. Miłosierdzia, ludowych i różnych stowarzyszeń. W latach 1871—1879 był superyorem domu we Lwowie, dyrektorem Małego Seminaryum 1881--1884, Ojcem duchownym w Seminaryum dyecezyalnem na Stradomiu 1884—1889, superyorem w Jezierzanach 1890—1894, superyorem w Sokołówce 1894—1900, wizytatorem i dyrektorem galicyjskiej prowincyi Sióstr 1900—1906, potem superyorem w Sokołówce 1906—1911. Równocześnie od r. 1893 do r. 1912 spełniał urząd dyrektora SS. Miłosierdzia w prowincyi chełmińskiej. Od r. 1911, w którym obchodził pięćdziesięcioletni jubileusz kapłański, mieszka Czcigodny O. Jubilat stale na Kleparzu. — Za jego rządów powiększyła się znacznie liczba domów Zgromadzenia, prowincya nasza sięgnęła poza morza, do Ameryki południowej i północnej, by pracować tam dla dobra wychodźców polskich. Domy w starym kraju powstały następujące: Sarnki dolne 1900 (zwinięte w r. 1907), Białykamień 1902, Kaczyka 1902, Tarnów 1903, Odporyszów 1906; w Ameryce południowej: Thomaz Coelho 1903, Itayopolis (Lucena) 1904; w Ameryce północnej: New Haven 1905 i Derby 1905.

Od r. 1906 kieruje prowincyą Przew. Ks. Wizytator Kasper Słomiński, będący zarazem dyrektorem prowincyi galicyjskiej SS. Miłosierdzia. W tym czasie przyszła ostatecznie do skutku fundacya domu w Milatynie nowym 1906 r. Wzrosły zaś w liczbę domów obydwie odrośle prowincyi w Ameryce; w północnej powstał dom w Conshohocken 1906 (zwinięty (1910), w Filadelfii 1908 oraz Kolegium św. Jana Kantego w Erie 1912; w południowej zaś: Prudentopolis 1906, Abranches 1907, Orleans 1908, Rio Claro 1908, Gurany-mirim 1911, Ipiranga 1914.

Wśród wojny.

W dniu 2 sierpnia 1914 roku pisał nieśmiertelnej pamięci Pius X. w odezwie do katolików całego świata:

„Całej prawie Europie grozi widmo strasznej wojny. Kto widzi jej niebezpieczeństwa, klęski i wynik, ten zaiste czuje się być dotknięty smutkiem i bólem. I my nie możemy nie odczuwać tego i nie być przejęci bólem jak największym, ponieważ troską naszą jest zbawienie tylu dusz, tylu narodów.

„W tak wielkiem więc zamieszaniu i wirze spraw dobrze to czujemy i rozumiemy, że troska nasza i urząd apostolski tego domagają się, abyśmy umysły chrześcijan wszystkich tam zwrócili, skąd pomoc przychodzi, t. j. do Chrystusa, Księcia pokoju i najdzielniejszego pośrednika między Bogiem a ludźmi.

„Zachęcamy więc, by do tego tronu łaski i miłosierdzia zwrócili się wszyscy katolicy całego świata, zwłaszcza duchowieństwo.

„Niechaj więc Biskupi zalecą publiczne modły po parafiach, aby miłosierny Bóg, przebłagany usilnemi prośbami, stłumił okropne płomienie wojny i łaską swoją sprawił, by stojący na czele państw przejęli się myślami pokoju a nie udręczenia".

W ślad za tem wezwaniem poszły zarządzenia modłów publicznych w całym kraju. Wskutek tego we wszystkich naszych kościołach odprawiło się uroczyste nabożeństwo błagalne, a co niedzielę i święto są osobne nabożeństwa dodatkowe

po sumie. W domu centralnym na Stradomiu jest nadto takie nabożeństwo codziennie wieczorem.

Przewielebny Ksiądz Wizytator wysłał w dniu 14 sierpnia 1914 list do domów prowincyi naszej, który tak kończy:

„Korzystając przy tak utrudnionej komunikacyi z tej sposobności, polecam Wam, Wielebni Księża i Kochani Bracia, w tych ciężkich czasach, w jakich się znaleźliśmy, gorącą modlitwę do Boga, którego Opatrzności teraz szczególniej zaufać nam trzeba. Położenie domu centralnego naszej prowincyi i naszej młodzieży jest szczególniej trudne, nie zapominajcie więc o niem i w modlitwach Waszych. — We wszystkich domach naszych przez czas trwania wojny po modlitwach wieczornych odmawiać będziemy wspólnie Pater noster, Ave i Memorare na uproszenie błogosławieństwa Bożego dla naszej słusznej sprawy w czasie wojny i dla wyjednania szczególnej opieki Bożej dla Zgromadzenia".

W podobny sposób pisał N. O. Generał w swym pierwszym okólniku z dnia 10 sierpnia 1914 r.: „Wojna, niosąca olbrzymie spustoszenia, wprowadza w zapasy najszlachetniejsze narody Europy. Znaczna liczba naszych znajduje się w szeregach armii. Polecam ich modłom Waszym z głębi ojcowskiego serca. Oby ich Pan Bóg przyprowadził do nas z powrotem cało i zdrowo. W domu Macierzystym polecono na czas wojny, by wszyscy kapłani odprawiali co tygodnia po jednej mszy św., a klerycy i bracia ofiarowali Komunię św. z prośbą o przywrócenie pokoju. Cieszyłbym się, gdyby wszędzie zjednoczono się z nami w tych modłach.

„Jeżeli co może nam przynieść osłodę w tem utrapieniu, to myśl, że Siostry Miłosierdzia od pierwszych dni wojny mają sposobność pełnić swe posłannictwo dobroci i poświęcenia, dla którego ustanowił je sam św. Wincenty. W chwili, gdy piszę te słowa, przeszło 60 Sióstr we Francyi wyruszyło do ambulansów na plac wojny. Dowiaduję się także, że w tym samym celu zwrócono się do Sióstr w Belgii; a nie wątpię,

że i Siostry w Niemczech, w Austryi i w Polsce mają taksamo szczęście posługiwać biednym rannym w swych krajach. Poświęcenie to sprowadzi obfite łaski Boże na obydwie rodziny św. Wincentego“.

W noworocznym zaś okólniku pisze N. O. Generał:

„Wojna europejska przybrała w kilku dniach olbrzymie rozmiary; nigdy, zdaje się, tak ogromne masy walczących nie stały naprzeciw siebie; nigdy wojownicy nie mieli pod ręką tak straszliwych środków niszczycielskich; a któż zdoła przewidzieć, kto oceni skutki tych zaciętych zmagań, tej wojny eksterminacyjnej? Nam jedynie modlić się wypada i nieść Zbawicielowi w dani liczne akty cnót i zaparcia się siebie, by u Jego miłosierdzia i wszechpotężnej dobroci wyżebrać przywrócenie pokoju na świecie i pokierowanie wszystkiem na pożytek dusz, na korzyść Kościoła oraz na większą chwałę Bożą.

„Wojna zniewoliła znaczną liczbę naszych kleryków i braci, a nawet księży, do wyrzeczenia się na czas tej zawieruchy wspólnego życia w Zgromadzeniu, by stanąć w szeregach walczących lub spełniać wpośród rannych lub chorych żołnierzy posługi, bardziej odpowiadające naszemu powołaniu, w oddziałach sanitarnych. Kilku nadto księży prosiło o pozwolenie objęcia na czas wojny posad kapelanów wojskowych. Mieli oni sposobność spełniać wpośród żołnierzy swe posłannictwo, pełne wprawdzie trudów i niebezpieczeństw, lecz obfite także w zbawienne owoce.

„Misyonarze nasi musieli poniewolnie przerwać swe zajęcia misyjne; wszędzie oddali się z wielką prostotą na usługi władz wojskowych. A jak skądinąd mnóstwo świeckich alumnów i księży, wezwanych obecnie pod broń, tak i oni przyświecają wszystkim odwagą i męstwem w boju, braterskiem poświęceniem dla towarzyszów broni, dobrocią, troskliwością, zaparciem się siebie iście kapłańskiem oraz gorliwością apostolską wobec padających wśród pocisków lub dotkniętych ciężkiemi chorobami. W ten to sposób najwymowniej głoszą kazanie do wielu dusz, nieszczęśliwych raczej niż winnych,

które kapłana znały tylko ze zbyt łatwo przyjmowanych, nienawistnych oszczerstw, a nigdy go nie widziały przy jego pracy z blizka...

„Nie powiedziałbym wszystkiego, gdybym na zakończenie tego okólnika nie wspomniał w kilku słowach o Siostrach Miłosierdzia. Wśród tych bolesnych przejść wiernie i z wielkiem poświęceniem trzymają sie one zasad, podanych im przez św. Wincentego, który zaraz w początkach Zgromadzenia nie wahał się wskazać im obszerne pole do niezmordowanego poświęcenia się na usługi rannych żołnierzy. We Francyi liczba Sióstr oddanych tej pracy przekroczyła już trzy tysiące. Wszędzie z radością spieszyły na zwrócone do nich wezwanie; a że wszędzie duch Sióstr Miłosierdzia ożywiony jest zasadami św. Wincentego, we wszystkich też krajach objętych wojną dały one dowody tego samego poświęcenia, ku wielkiemu zbudowaniu tych, którzy byli świadkami tego lub sami doznali ich opieki“.

* * *

Księża Misyonarze w Krakowie.

Wskutek powszechnej mobilizacyi w Austryi i w Niemczech wiele zmian zaszło zwłaszcza w domach naszych wychowawczych. Małe Seminaryum w Nowejwsi przerwało na razie swe studya, tak wspaniale dotąd kwitnące, a zwłaszcza coraz obfitszego dostarczające kontyngentu do Seminaryum Internum. Z pośród kleryków wyjechało trzydziestu trzech do Prus, by spełnić swą powinność wojskową. Z tych jedenastu wróciło szczęśliwie na Stradom, dziewięciu wzięto do inii, dziewięciu do oddziałów sanitarnych, czterech czeka jeszcze w rodzinnych stronach na wezwanie do wojska. Braci poszło do służby wojskowej dwunastu. Z kleryków poległ na placu boju Maksymilian Reszka dnia 20 lutego pod Souain, na wschód od Reims; z braci zaś zginął Piotr Giemza w walkach pod Ypern dnia 7 maja; było nadto trzech kleryków ciężko rannych, a jeden chory.

Z księży dwóch pełni funkcye kapelanów wojskowych: ks. Józef Swałtek w Krakowie, a ks. Konstanty Witaszek przy grupie chirurgicznej Prof. Rutkowskiego, zrazu w Królestwie Polskiem, a od marca w Galicyi wschodniej. Ks. Jan Paszyna i ks. Stanisław Kalla pracują nad Polakami w dyecezyi hildesheimskiej, będąc zarazem z ramienia władzy wojskowej kapelanami dla jeńców wojennych narodowości polskiej. Inni, pominąwszy chwilowy lub dłuższy pobyt poza domem dla załatwienia formalności wojskowych, zwolnieni od obowiązków we wojsku, spokojnie mogli oddać się pracy swego powołania. Zato mieli w Krakowie i na prowincyi obfite żniwo w pracy nad rannymi i chorymi różnych narodowości. W Krakowie pełnią obowiązki kapelanów na dworcu kolejowem przy transportach rannych i chorych we dnie i w nocy kolejno księża z Kleparza, w czem dwa, względnie trzy razy w tygodniu zastępują ich w nocy naprzemian księża ze Stradomia. Wszystkie też trzy domy krakowskie sprawują nadto opiekę duchowną w jedenastu szpitalach wojskowych bądź w swoich domach, bądź u Sióstr, bądź też w innych gmachach publicznych urządzonych. Tosamo dzieje się w Tarnowie, a zapewne także w innych domach na prowincyi, ale stamtąd jeszcze nie można było dotychczas zasięgnąć wiadomości, wskutek wojennych operacyi.

Ponadto ks. Piotr Brukwicki pracował wśród Polaków, bądź żołnierzy, bądź uchodźców wojennych z Galicyi, we Wiedniu, odbywając prócz tego stamtąd bliższe i dalsze wycieczki apostolskie do rodaków, szczególniej dla spowiedzi wielkanocnej. Ks. Mateusz Marzotko zaś, przebywając przez kilka miesięcy w Gracu, pracował nad Polakami, którzy wskutek wypadków wojennych schronili się w tamte strony, a zwłaszcza w barakach w Libnicy (w Styryi).

Stradom i Kleparz musiały ustąpić połowę domu na szpital wojskowy, a w Nowejwsi zajęto przez pewien czas ubikacye Małego Seminaryum na kwaterę dla wojsk, przechodzących przez Kraków na plac boju.

Pozatem spełniali konfraterzy we wszystkich domach, oprócz posług w szpitalach wojskowych, zwykłe swe zajęcia w kościele i w szkołach. Na Stradomiu pozostała część młodzieży duchownej odbywała w dalszym ciągu swe studya, bądź gimnazyalne, bądź filozoficzno-teologiczne. Siedmiu seminarzystów kończyło swe ćwiczenia; nowych kandydatów nie było wcale, wskutek zawieruchy wojennej.

Obok pewnych niedogodności, wynikających z pomieszczenia szpitali w naszych domach, oraz zwiększenia pracy, gdyż do zwykłych zajęć przybył jeszcze obowiązek służenia chorym i rannym żołnierzom, przeszkadzał nam jeszcze w pracy szkolnej huk dział przez listopad aż do połowy grudnia, w czasie walk w okolicach Krakowa.

Z domami na prowincyi przerwana była komunikacya, z Tarnowem i Odporyszowem od początku listopada do pierwszych dni maja, z Kaczyką od początku stycznia do połowy lutego, z resztą domów zaś od początku września aż dotychczas.

* * *

Siostry Miłosierdzia.

Na wszystkich domach Sióstr wywarła wojna swe skutki. Z licznych notatek i listów, użyczonych nam, możemy sobie bodaj w przybliżeniu wyrobić pojęcie o nadmiarze pracy, kłopotach i przejściach, na jakie Siostry w ciągu tych ciężkich miesięcy były wystawione.

Oprócz domów w Krzeszowicach, Tenczynku, Białej, Żywcu i Suchej, wszystkie inne były przez dłuższy lub krótszy czas linią bojową odcięte od Krakowa, toteż tem skrzętniej zbierano o nich najdrobniejsze nawet wiadomości. Z niektórych domów niema dotychczas wieści żadnej od początku wojny.

Dom Centralny w Krakowie.

26. lipca 1914. Rozpoczęto rekolekcye w domu Centralnym. Sióstr było 108. Szóstego dnia rekolekcyi (1 sierpnia), na wiadomość o wypowiedzeniu wojny, zakończono rekolekcye,

Siostry spiesznie w sobotę i niedzielę wieczorem rozjechały się do domów.

2. sierpnia. Komenda wojskowa zawiadomiła dom Centralny i św. Stanisława, że wszystko ma być opróżnione dla wojska. Poszłyśmy natychmiast do komendanta Rudolf-kasarni przedstawić niemożliwość opróżnienia całych domów, nie mając gdzie umieścić Sióstr i dzieci. Zadecydował, że będzie zajęte tylko mieszkanie, któreśmy pisemnie ofiarowały w r. 1911.

3. sierpnia. Rezerwiści zakwaterowali się do 13. sierpnia, sprawowali się bardzo spokojnie, z wdzięcznością przyjmowali medaliki, spowiadali się w naszej kaplicy. Ponieważ pomiędzy nimi było wielu, którzy jeszcze nie byli umundurowani, przeto nie mieli prawa do wiktu wojskowego, Siostry zrobiły między sobą składkę i gotowały im zupę. Później doniesiono nam, że na ulicy Siemiradzkiego jest dużo rezerwistów w temsamem położeniu, po odejściu naszych Siostry zwróciły swe miłosierdzie ku tamtym, służba wiozła na wózku zupę i chleb, a cztery Siostry szły tam rozdawać.

Rozdawanie medalików. Żołnierze z taką radością przyjmowali medaliki, że nasze Siostry już całkiem tem się zajęły, aby żaden pułk nie odszedł bez medalika N. P. Chodziły do koszar, gdzie im starszyzna sama ułatwiała i wyżsi nawet oficerowie o cudowne medaliki prosili, tak wielką ilość rozdały, że nawet już w mieście dostać ich nie można było.

7. sierpnia. Przyszło rozporządzenie, aby Zakład Helclów w 2 godzinach opróżnić na szpital wojskowy. Rozkaz nieubłagany, aby wszystkich chorych wydalić. Zawiadomiono kuratora, który był w Szczawnicy, aby dał o tem znać Wydziałowi Krajowemu, tymczasem rozmaite zabiegi u władz miejscowych się zrobiło, całkiem bezskutecznie, aż Książę Biskup Sapieha wystosował pismo do Komendy z jednej strony. Wydział Krajowy również, i jakoś rozkazy złagodniały, zrozumiano, że kalek na ulicę wyrzucić nie można, że Siostry się przydadzą do obsługi chorych i zostawiono dla chorych zakładowych całe pierwsze piętro: 120 na koszcie zakładu, lub nie mających gdzie wyjechać samopłatnych, po-

mieściło się na wspólnych salach, inni samopłacący rozjechać się musieli.

12. sierpnia. Komenda wojskowa objęła w Zakładzie Helclów cały parter i drugie piętro.

Chorągwie Matki Boskiej. Odchodzący pułk krakowski prosił o pożyczenie chorągwi Dzieci Maryi na wymarsz na kolej. Nie można im było tego odmówić, zabrać jej jednak w dalszą podróż się nie dało, bo zbyt była duża. Na drugi dzień znowu prośby i zgłoszenia, każdy batalion chciał mieć swoją chorągiew Niepokalanej lub Częstochowskiej. Siostry zajęły się szyciem takowych, żołnierze co chwila przybiegali, z radością je porywając.

Pułk czeski, idący do Mogiły, nie był pewny swej drogi. Komenderujący spostrzega na ulicy jedną z naszych Dzieci Maryi, którą poznaje po medalu, prosi, żeby drogę pokazała. Panowie, tem zdziwieni, chcą oddać tę przysługę. Wojskowi dziękują, mówiąc, że ta z Przeczystą Panienką Maryą wystarczy im za przewodnika.

Ranny na stole operacyjnym, przed rozpoczęciem wyjęcia kuli z ramienia, woła o Siostrę Miłosierdzia, pokazuje jej cudowny medalik: „Ocaliłaś mi życie, dałaś mi ten medalik, kula zamiast ugodzić w piersi, zesunęła się na ramię“.

Żyd ranny, wzięty na operacyę wyjęcia kuli z nogi, przed rozpoczęciem pokazuje medalik, który ma na sobie, mówiąc: „Kula tu nie poszła, bo tu był medalik, tylko przeleciała i poszła w nogę“. Kiedy to opowiadano innemu rannemu, odrzekł: „I ja jestem żyd, ale mam aż dwa medaliki na sobie“.

23. sierpnia. Rozpoczęto urządzanie szpitala w domu Centralnym i u św. Stanisława.

30. sierpnia. Przywieziono chorych do św. Stanisława.

1. września. Siostry poszły pielęgnować chorych do Księży Misyonarzy na Stradomiu.

8. sierpnia. Przywieziono chorych do domu Centralnego.

26. października. Siostry poszły pielęgnować chorych u Księży Misyonarzy na Kleparzu, w Szkole Sztuk Pięknych i w szkole wydziałowej (Oleśnickiego).

5. listopada. Wezwano trzy Siostry do służenia rannym w gmachu Seminaryum duchownego pod Wawelem.

Siostry posługują w tym czasie rannym i chorym żołnierzom w Krakowie: w szpitalu garnizonowym, w zakładzie Helclów, w domu Centralnym, u św. Stanisława, w Klinice ocznej, w domu XX. Misyonarzy na Stradomiu i na Kleparzu, w Szkole Sztuk Pięknych, w szkole wydziałowej im. Oleśnickiego i w Seminaryum duchownem. Przez pewien czas umieszczano także rannych żołnierzy w szpitalu św. Łazarza. — Wogóle 70 Sióstr pracuje stale w tym zakresie, nie licząc pomagających przy większym napływie rannych oraz w nocnem czuwaniu.

Tenczynek. *List z dnia 22. listopada 1914 r.*

Od dwóch dni kursuje znów poczta; korzystam z tego, by się dowiedzieć, co się dzieje z Najczcigodniejszymi Przełożonymi i ukochanem Zgromadzeniem i aby dać znać o nas, że żyjemy. Piszę, a towarzyszą mi strzały i brzęczenie szyb. Piąty to już dzień tej prawdziwie piekielnej muzyki. — Dnia 9. listopada byłyśmy zmuszone rozpuścić szkołę, szwalnię i ochronę, bo oba domy zajęło wojsko. 1200 żołnierzy przez dwa dni wypoczywało u nas w nowej szkole, a obok nas dwie sale zajął kapitan, lekarz i plutonowy, jedną na sypialnię, drugą na kancelaryę lekarską. — Wszyscy byli bardzo grzeczni i wdzięczni za kwaterę, a choć uważali, szkody jednak na razie ani obliczyć nie można. Mury, sufity poprzestrzelane, meble połamane i t. d. Wszystko da się dopiero osądzić, jak zajmiemy dawne miejsca. Dotąd szkoły nie mamy, bo lada dzień może przyjść nowe wojsko, więc szkoda podejmować tej kolosalnej pracy oczyszczania i ściągania wszystkiego ze strychów.

Przez cały czas pobytu wojska dom nasz był w oblężeniu, wszystko prosiło o medaliki, koronki, szkaplerze, książeczki, obrazki — rozdałyśmy wszystko, co która miała; oprócz tego piekłyśmy chleb i t. d. Biedacy chodzili z pieniądzmi w garści, a kupić nie mogli, bo nikt nastarczyć nie mógł na 6.000 żołnierzy, którzy stanęli we wsi.

Śliczna i podniosła była chwila, kiedy 10. listopada o godz. 4 po południu całe, kwaterą w Tenczynku stojące wojsko ze starszyzną, zebrało się w kościele na nabożeństwo. Jakże serdecznie modlili się, śpiewali i płakali, by Bóg ich ocalił i dał zwycięstwo. Nazajutrz spora paczka była u spowiedzi i Komunii św., którą kapelan wojskowy śpiewał na intencyę VI. kompanii. Odmaszerowali. Po ich odjeździe przybyli Honwedzi, lecz u nas nie stali kwaterą. I oni odmaszerowali, a przyszli nowi, ale i ci nie stali u nas. Wczoraj rano i tren i wojsko odmaszerowało koło nas w stronę Zalasa.

Dotąd czujemy nad sobą opiekę Bożą i ufamy, że ten nasz najlepszy Ojciec krzywdy nam nie pozwoli zrobić. Otoczyłyśmy całe nasze zabudowania cudownymi medalikami, modlimy się, jak umiemy, i oczekujemy ze spokojem jutra; ufne, że bez woli Bożej nic się nam nie stanie. Siostry nasze nie źle się trzymają, prócz S. Znańskiej i S. Żurakowskiej, oraz S. Strużyk, która znów zapada. Gospodarstwo zamiast się kurczyć, powiększyło się i o to nasz kłopot i obawa, bo to depozyt.

Tyle o nas. Myśl nasza jednak często ulatuje do Krakowa, co tam się dzieje; jeżeli łaska, bardzo prosimy choć o kilka słów. Czy są jakie wiadomości z innych domów? W tym tygodniu byłam w Krzeszowicach. Siostry tamtejsze dotąd siedzą u siebie, jakby było gorzej, przyjdą do nas. Dużo byłoby do pisania, ale jak na teraz, nie nadaje się.

29 listopada.

Ponieważ na mój list, nie mam dotąd ani słówka odpowiedzi, więc w obawie, że może uległ zagładzie, donoszę, że dotąd żyjemy. Miałyśmy przez dwa dni wojsko w liczbie 1200, a teraz z polecenia Rady szkolnej okręgowej budynek nasz ma być odstąpiony na cele wojskowe, nauka zawieszona na czas nieograniczony, a nauczycielki mogą wyjechać, byle podały swój adres. Ponieważ nigdzie się nie wybieramy, więc założyłyśmy pracownię ciepłych rzeczy dla żołnierzy i wszystkie z zapartym oddechem robimy szaliki, ogrzewacze

pulsów itd. Od wczoraj znów słychać strzały. Oby się już Bóg zmiłował i zaprzestał kary.

3 grudnia.

My z łaski Bożej dotąd zdrowe, czwarty tydzień nie mamy nauki, gdyż w szkole rezyduje wojsko. Obecnie mieszka tam komendant z całym swoim sztabem. Są to kanonierzy węgierscy, bardzo grzeczni i nad podziw spokojni Wczoraj była Msza św polowa, błogosławieństwo i kazanie węgierskie. Byłyśmy prawie wszystkie. Śliczne było to i niezwykłe. Żołnierze zrobili kaplicę, umaili choiną, a my dostarczyłyśmy ubrania. Żołnierze ślicznie śpiewali. Co dzień słyszymy strzały, a oglądałyśmy i haubice, które komendant kazał ustawić jak do boju. Okropny wynalazek miłości bliźniego . . .

Biała. *List z 10 listopada 1914.*

List ostatni od Najczcigodniejszej Matki odebrałam, przeczytałam cały Siostrom i bardzo się wszystkie ucieszyłyśmy. A teraz zapytuję się, co mamy zrobić, czy uciekać, czy siedzieć w szpitalu, ponieważ z dniem każdym są gorsze wiadomości, że Moskal się zbliża. Wszystkie jesteśmy w wielkim strachu. Siostry koniecznie proszą, by się dowiedzieć u Najczcigodniejszej Matki, co zrobić, czy wtedy tylko uciekać, aż władze każą. Lecz cóż czekać na rozkaz władz, kiedy oni sami w tych dniach opuszczają Białą. Wszędzie panuje wielkie przygnębienie, z Bielska i Białej już wyjeżdżają, służbę męską pozabierali nam do wojska, żołnierzy mamy trochę, nie dużo, tych najciężej rannych, którzy są do operacyi; wszystkich razem jest 70 chorych. Nasi księża wszyscy są przygotowani do wyjazdu. To się tak mówi wyjechać, ale gdzie, a potem z czego się utrzymać. Wszystkie Siostry są zdrowe, dosyć się trzymają, naturalnie ze strachu pobladły wszystkie, czekamy odpowiedzi od Najczcigodniejszej Matki. W Krakowie to zapewne jeszcze najbezpieczniej.

21 listopada.

Kartkę odebrałam i donoszę, żeśmy wszystkie z łaski Bożej są przy dobrem zdrowiu. Moskali się już nie boimy,

ani uciekać też nie chcemy, bo niema gdzie. Zacni księża, którzy tu przyjeżdżają po pensyę, wstępują do nas i pocieszają. Dziś dostałyśmy nowy transport rannych w liczbie 70, chociaż taksa jeszcze nie ugodzona, pomimo tego przysłali nam. Przed dwoma dniami odwiedziłam Siostry w Żywcu, właśnie w ten dzień pozabierali im wszystkich żołnierzy, aby na to miejsce dać nowych, tak samo jak i u nas.

16 grudnia.

Siostry trochę słabowały, ale już obecnie dobrze, widocznie zmiana powietrza działa. Chorych żołnierzy mamy obecnie do 150. Drożyzna nie do opisania i do tego brak.

Żywiec. *List z 23 listopada 1914.*

Proszę być o nas zupełnie spokojną, jesteśmy gotowe spełnić to, co sobie Najprzew. Matka życzy. S. Synakiewicz z Białej była u nas w zeszłym tygodniu w celu porozumienia się, co robić, gdy niebezpieczeństwo grozić im będzie. Powiedziałam, żeby pozostały na miejscu i nie obawiały się niczego, a w ostateczności niech do nas przyjadą, chociaż i tu jesteśmy niepewne; ale dziej się Wola Boża, ufamy w pomoc Maryi Niepokalanej. Czy Siostry w Tenczynku zostały? Siostry w Suchej podobno pielęgnują chorych żołnierzy. Bardzoby zdały nam się tu ze cztery przynajmniej Siostry na 1500 chorych; nie mają odpowiedniej posługi, umieszczeni są w trzech szkołach, a gorączkowych, chorych na cholerę i czerwonkę do nas posyłają. Z wyjątkiem S. Matkowskiej reszta Sióstr, dzięki Bogu, dobrze się trzyma. Siostry nasze z Husiatyna podobno pisały do Najprzew. Przełożonych do Francyi. Straszna u nich ma być nędza i głód, bo wszystko zniszczone i u nas spodziewać się tego można.

12 grudnia.

U nas już drugi tydzień rezyduje garnizonowy szpital z obsługą Czerwonego Krzyża, mimo to i nasze Siostry mają dużo zajęcia, obejdziemy się jednakże do pewnego czasu bez pomocy. Prócz influenzy, na którą jedna Siostra po drugiej się kładzie, jesteśmy zdrowe, bo po większej części przechodzimy ją tylko. Zdaje się, że nasz kącik tej nieszczęśliwej

Galicyi zostaje jeszcze w spokoju; dałby Bóg. Dużo rannych nam tu przysyłają, umieszczeni są po wszystkich szkołach i gdzie tylko jakie odpowiednie miejsce się znalazło. Siostry w Białej zawsze mało chorych mają.

31 marca 1915.

Przy zbliżających się świętach pilno mi przesłać Najprzewielebn. Matce życzenia zdrowych i pełnych pociechy świąt, o ile w obecnym czasie spodziewać się tego można. Żyjemy nadzieją w Bogu. W Jego mocy i w przyczynie Niepokalanej Maryi jest wszystko. Nadejdą chyba chwile, że zaświta znowu jutrzenka, zwiastująca nam swobodę i pokój, tak bardzo przez wszystkich oczekiwany.

Za pomoc nam przysłaną serdecznie dziękuję. Siostry chore mają się lepiej Reszta Sióstr trzyma się dosyć dobrze. Te same zawsze czynności wykonujemy. Ustawicznie spoglądamy na nędzę ludzką, bo samych tylko ciężko chorych pielęgnujemy. O ile w naszej mocy, staramy się, by im ulżyć w cierpieniach. Z nadzwyczajnym spokojem i rezygnacyą znoszą boleści i doprawdy budują nas tą cierpliwością, z jaką zachowują się tutaj, a są tak wycieńczeni, że mimo najlepszych starań ze strony lekarskiej wielu umiera.

Polecamy siebie i biednych chorych modlitwom całego Zgromadzenia.

5 kwietnia.

Wielką to dla mnie pociechą, że mogę kilka słów poufnych skreślić. Dzięki Bogu, Siostry wraz ze mną trzymają się dobrze. W Wielką Sobotę przywieźli nam ciężko chorych żołnierzy z pod Gorlic i mówią, że szpital tamtejszy całkiem zniszczony, a rannych żołnierzy umieścili po dworach okolicznych. Biedne Siostry! Gdzie one są, czy piszą też kiedy do Najczcigodniejszej Matki? Ksiądz Sadowski powiedział nam kazanie, wszyscy się popłakali; wspomniał o zniszczonych kościołach i całym kraju. Biedni saniteci zostawili swoje dobytki, a po czasie nie będą mieli do czego wracać. Do nas zawsze jeszcze ciężko rannych przywożą. Pracy jest dużo codziennie, czuwanie wyczerpuje siły Sióstr. Dobrze,

że nas jest tyle do pracy, ile być powinno. Codziennie przepisowo przez komendę czuwa jeden urzędnik, t. j. kapral lub medyk, podoficer i urzędnicy z kancelaryi, jedna Siostra i dwóch sanitetów, a wszyscy mają co robić, bo zdarzy się często, że chory w nocy dostaje krwotoku, trzeba więc chorych ratować; zaraz też lekarze robią operacye. Z oddziału zakaźnego zabrali nam chorych żołnierzy, bo mają osobny szpital na Zabłociu, przy stacyi kolejowej, tam przeważnie cywilnych chorych umieszczamy.

24 maja.

Piszę słów kilka, by przypomnieć się, że żyjemy i z łaski Bożej pracujemy i zawsze te same powinności spełniamy. Całem sercem ubolewałyśmy, gdy nam mówiono, że grupa nasza jedzie dalej, jednakże dotąd pozostają, czekają tylko rozkazu. Pan komendant powiedział, że zostawią nam tylko takich chorych, których nie da się przewieźć. Nasze Siostry z takiem zamiłowaniem pracują około najcięższej chorych, że przykro im było, gdy się dowiedziały, że grupa nasza pakuje się do wyjazdu, ostatecznie o to niema kłopotu, bo chorych zawsze mieć będziemy; codziennie niemal pociąg z rannymi przychodzi. Siostry dzięki Bogu trzymają się dosyć dobrze, chociaż raz po raz na influenzę zapadają.

Szkoda wielka dla nas, bo już drugie rekolekcye były, a myśmy nie mogły skorzystać, nie będąc powiadomione.

Sucha. *List z dnia 5 sierpnia 1914 r.*

Siedzimy w swojej ochronce. U nas wojsko nie będzie stać, tylko mają przywozić rannych, więc my będziemy prosić, żeby nas zostawili w naszym domu, choć w jednej izbie. Osobny jest wchód, a wokoło nas będą same szpitale, więc możemy nieść pomoc chorym, o ile się da. Ma być kurs Samarytański, więc my będziemy się uczyć, żeby dobrze szło potem w razie potrzeby. Bardzo dużo jest panien, które na ochotnika chcą za darmo robić około rannych, więc nam z pewnością nicby nie dali. Do tego może nie przyjdzie. Na razie nie można prowadzić ochrony, gdyż lada chwila możemy dostać rozkaz wynosić się; a i wikt drogi, brak fun-

duszów, więc się poczeka jakiś czas; może Pan Jezus przemieni tak ciężkie czasy. Od dziś nie mamy Pana Jezusa w naszej kapliczce, bo się ks. Dziekan boi, żeby nie było jakiego wypadku, choć msze św. teraz mamy częściej. Jak mogą, tak się nami zajmują. My tu nie zginiemy, a bezpieczne będziemy pod opieką Bożą. To mnie trapi trochę, że żadna z nas nie umie po niemiecku, ja na te lata całkiem zapomniałam. Siostry, choć młodsze, też żadna nie rozmówi się z Niemcem. Niech Bóg nas zachowa od tego nieszczęścia. Oby to nastał pokój. Ach jak mi żal, że nie mam medalików dla biednych żołnierzy. Żadnym sposobem dostać nie można, gdyż nikt nie jedzie do Krakowa, a przesyłka droga. Na razie co mam, to daję. My tylko widzimy pociągi, ale wiadomości mamy mało.

1. grudnia.

Zasyłamy usilną prośbę, by Najczcigodniejsza Matka raczyła łaskawie przysłać nam Siostrę do pomocy, gdyż mamy bardzo wielu i to przeważnie ciężko rannych; podołać nie możemy. Gotujemy dla nich i o ile się da, pielęgnujemy ich; nie mamy jednak tyle sił, mimo najszczerszych chęci.

* * *

W innych domach daleko bardziej dały się odczuć skutki tej strasznej wojny. Oprócz bowiem pracy, nieraz nad siły, około rannych, wystawione były na daleko większe niebezpieczeństwa, wskutek częstych przemarszów wojsk, nie tylko naszych, ale i nieprzyjacielskich, a niejednokrotnie i na szykany ze strony kwaterujących w nich szpitali rosyjskich.

Nowy Sącz. *List z dnia 1. stycznia 1915 r.*

Byłyśmy przez trzy tygodnie pod panowaniem rosyjskiem. Mimo, że nam się nic złego nie stało, zmiana ta jednak była okropna, szczególniej dla ludności po wsiach okolicznych. Bardzo wiele ucierpieli oni wskutek rozmaitych rabunków.

13. stycznia.

Mówiono wiele o zajęciu Sącza przez Rosyan, o ich gospodarce i zachowaniu się w szpitalu. W tym względzie dziękujemy Panu Bogu za opiekę. Rosyjscy lekarze podziwiali nawet pracę Sióstr. — Co do Sióstr, to dosyć dobrze się trzymają.

Gorlice. *List z 13. października 1914 r.*

Właśnie otrzymałam kartkę z dnia 8 października i dlatego, chociaż dzisiaj rano wysłałam list, spieszę jeszcze donieść, iż wiem napewno, że Siostry w Jaśle dobrze się mają. Nasz służący był w Jaśle na czas pobytu nieprzyjaciela, który uciekł stamtąd 29. września rano (widać św. Michał go wypędził). Służący ten widział, że nic złego się nie stało, bo nieprzyjaciel tylko przejechał przez miasto. — U nas w Gorlicach chorych znów dzisiaj przybyło.

21. grudnia.

Spieszę złożyć Najczcigodniejszym Przełożonym od nas wszystkich najszczersze życzenia „Wesołych Świąt". Wprawdzie nam wszystkim nie bardzo wesoło, bo wciąż wołamy: *Parce, Domine.* — Przeszło cztery tygodnie gospodarował u nas nieprzyjaciel. Od dziesięciu dni znów nasi powrócili. Rannych mamy ciągle dużo, i naszych i rosyjskich. Od kilku tygodni słyszymy ciągle huk armat, a 11. grudnia przez trzy godziny strzelało bezustannie 25 armat rosyjskich, ustawionych na około szpitala, na wojska austryackie. My wszystkie mamy się dobrze, odczuwamy wciąż cudowną opiekę Pana Jezusa i Matki Najświętszej nad sobą.

O dalszych losach Sióstr w Gorlicach tyle nam dotąd wiadomo, że wskutek ciągłego wahania się linii bojowej tak jak całe miasto, ucierpiał dużo i szpital, a później uległ zniszczeniu. Siostry opuściły Gorlice dnia 14. marca w nocy, dnia 17. marca stanęły w Jaśle, a później podążyły w stronę Lwowa. Gorlice same uległy wreszcie całkowitemu zniszczeniu z początkiem maja.

Jasło.

Z Jasła otrzymaliśmy dość szczegółową kronikę, spisaną przez Siostry, oraz szereg listów, pisanych do Przełożonych.

Z czasu wojny 1914—1915 roku.

W miesiącu sierpniu 1914 r. przychodzili już chorzy żołnierze, ranni przypadkiem, ale przeważnie wewnętrznie chorzy — zresztą nic nadzwyczajnego nie zachodziło.

1. września od 9 wieczór przez całą noc, taksamo dnia 2 i 3. września od wieczora przez całą noc przywozili chorych, samych rannych żołnierzy z pod Tomaszowa, Komarowa i Kraśnika. Razem było 73 rannych, między nimi 27 rosyjskich żołnierzy. Zaraz pierwszego dnia objawiali swoje zdziwienie, że się z nimi tak dobrze obchodzimy.

17. września sekundaryusz tutejszego szpitala postarał się o wywiezienie ze szpitala wszystkich rannych żołnierzy, bo słychać było, że wojsko austryackie coraz więcej się cofa, a zbliża się rosyjskie. 19. września lekarz wyekspedyował resztę 13 rannych żołnierzy, możliwych do transportu, a pozostawił w szpitalu tylko 17 chorych i tego samego dnia on sam jeszcze przed południem wyjechał z Jasła. Tak teraz szpital został bez żadnego lekarza, bo poprzednio dyrektor szpitala został powołany do służby wojskowej. Tego samego dnia, t. j. 19. września od południa zaczęli się zgłaszać do szpitala ciężko chorzy na czerwonkę; tymczasem przyjęto ich tylko 30, ale za 3 dni przeniesiono ich do miasta, do przeznaczonego szpitala dla zakaźnych, bo nasz szpital przeznaczony był wyłącznie dla rannych. — W mieście było przeszło 1.000 chorych na czerwonkę i kilka wypadków cholery. Do 24. września codziennie przyjmowano kilkudziesięciu nowych chorych żołnierzy. W tym czasie objęli obowiązki lekarze wojskowi przy pomocy naszych Sióstr. 25. września zaczęto o 4 rano wywozić z naszego szpitala wszystkich chorych żołnierzy, a pozostawili nam tylko pięciu cywilnych na opiece Sióstr.

Dnia 27. września przed południem o $11^3/_4$ słyszano

z daleka pierwsze strzały. O godz. $1^3/_4$ po południu pokazał się pierwszy żołnierz rosyjski na koniu przed szpitalem i tak potem coraz to więcej patroli rosyjskich się pokazywało. Odtąd do godz. $2^3/_4$ odzywały się wciąż strzały rosyjskie pod Jasłem. Noc była zupełnie spokojna. 28. września przyszedł do szpitala lekarz rosyjski z jasielskim p. Dr. Macudzińskim oglądać szpital; pochwalił porządek i czystość w szpitalu i poprosił, żeby im uszyć jedną chorągiew z czerwonym krzyżem dla ich wozu. Na drugi dzień przyszedł po chorągiew i zapłacił 3 kor. Dnia 28. września przyjęto do szpitala jednego oficera rosyjskiego z ciężkiem zapaleniem płuc. 29. września cicho wszędzie w Jaśle. Z wojska rosyjskiego tylko komenda stoi w Jaśle, a reszta za miastem, bo dla wielkiej liczby chorych zakaźnych nie wpuszczono wojska do miasta; tylko patrol przechodziła. 30. września zaledwie 4 razy dały się słyszeć strzały armatnie za Jasłem. Tego dnia wieczorem zaalarmowane zostało wojsko rosyjskie w Jaśle do ucieczki. Ci uchodząc mówili, że oni idą dalej, a tu przyjdą kozacy. Publiczność okropnie wystraszona całą noc czuwała w mieście. My w szpitalu spuszczałyśmy się na opiekę Matki Najśw. przez Jej cudowny medalik. Wszędzie z góry na dół w całym domu, na strychu i wszędzie do okien poprzybijałyśmy medaliki Niep. Poczęcia i Najśw. Serca P. Jezusa. Po mieście do około 70 ludzi czuwało uzbrojonych. 1. października 1914 roku rano ostatnia patrol rosyjska odeszła, a o godz. $10^1/_2$ pokazała się pierwsza patrol austryacka. W szpitalu naszym pozostał ten chory oficer rosyjski, liczący 20 lat, prawosławny, rodem z Półtawy, który 12. października jako rekonwalescent odjechał w towarzystwie austryackiego wojska do do Węgier. Od 1. października do 2. listopada 1914 r. szło wszystko zwykłym trybem i nie słychać było o niebezpieczeństwie naszego wojska. 2. listopada 1914 r. jeden tren wracał rzekomo do Stróż po prowianty, rzeczywiście 3. listopada wracali ci sami z prowiantami. Tego samego dnia po południu zaczęło się znowu wracanie, z małemi przerwami nieustanne do wieczora i w nocy. 4. listopada od sa-

mego rana wciąż jadą wozy, armaty, wojska konne i piesze. Wyraźnie już widać cofanie się naszego wojska. Dnia 5. listopada zarządzono ogólny transport chorych żołnierzy z naszego szpitala i w mieście. 9. listopada urząd pocztowy z Jasła odjechał 10. listopada do południa odjechała kolej i żandarmerya. 11. listopada przeszły ostatnie wojska i 30 armat dużych koło szpitala, oprócz tego jeszcze innemi drogami; ku wieczorowi się uspokoiło. Nasze wojska wszystkie tutejsze mosty wysadziły — straszny huk. 12. listopada rano o 5-tej zaczęło się wysadzanie reszty mostów. Jeden drewniany podlano naftą i podpalono — straszny widok. Także rafinerya nafty paliła się kilka dni. Po mieście wszędzie pustki, rzadko gdzie widać człowieka. Tego dnia nasze wojsko ułożyło się w Jaśle na cmentarzu pomiędzy grobami i czeka na nieprzyjaciela gotowe do boju — ale nic z tego nie było. W południe tego dnia za Jasłem pojawiła się patrol kozacka; ostro żądają wskazówek, gdzie jest nasze wojsko. Noc przeszła cicho.

13. listopada jeszcze raz kiedyś pojedynczo szli nasi żołnierze do godziny 2, o $3^3/_4$ po południu pokazał się przed szpitalem pierwszy żołnierz rosyjski na koniu. W nocy o 3. słychać zdaleka strzały armatnie, później karabinowe. 16. listopada w nocy o 2. słychać huk armat, po południu karabinów — bili się tuż za miastem. Na wieczór przywieźli do szpitala rosyjskiego huzara, ciężko postrzelonego przez patrol austryacką w brzuch, wnętrzności na wierzchu, bez nadziei życia; za godzinę umarł. Od 7. do 10. grudnia największy ruch wojska rosyjskiego. Całe miasto przepełnione Moskalami. 8. grudnia przybył tu do szpitala jakiś lekarz wojskowy rosyjski oglądać i oznajmił, że oni się zajmą tym szpitalem. 9. grudnia ten sam przyszedł do kancelaryi zarządu szpitala, zajrzał do książek i powiada, że teraz już rządy rosyjskie, ta robota już niepotrzebna, bezcelowa. Siostra pracująca w tej kancelaryi mówi, że jeszcze nie koniec wojny, niewiadomo komu będzie trzeba zdać sprawę ze wszystkich tych czynności, ale ten nic na to nie odpowiedział. Po chwili

znowu mówi, że trzeba będzie ten pokój opróżnić na pokój opatrunkowy. Tego dnia wypróżniono kancelaryę, książki i papiery wyniesiono na strych i gdzie tylko się dało pochować.

Potem musiano wciąż uważać i czuwać nad tem, żeby kto tego nie zniszczył, a czystych papierów nie pokradł. Moskale byli okropnie pewni siebie, że już tu zostaną na zawsze. Tymczasem już 11. grudnia lekarze rosyjscy w szpitalu mówią, że na 3 dni trzeba wstrzymać przyjmowanie chorych żołnierzy. 13. i 14. grudnia rano zapowiedzieli, że na pierwszą wszyscy rosyjscy żołnierze mają być gotowi do odjazdu. Chorych austryackich żołnierzy zostawili nam, tylko ich sobie zanotowali. 14. grudnia do południa reszta wojska rosyjskiego przeszła, ale o 12. wróciło trochę piechoty z oficerami i 8 armatami, bo Austryacy strzelali już pod Jasłem; byliby spostrzeżeni, więc skierowali na górkę koło klasztoru S. S. Wizytek i stamtąd strzelali do $5^1/_2$ wieczór. Potem wyruszyli na drugą stronę pod Jasłem na Gorajowickie góry — stamtąd strzelali całe dwa dni.

16. grudnia noc była spokojna, dopiero w dzień do wieczora strzelali nieustannie. 17. grudnia od samego rana straszna strzelanina, jakby jeszcze więcej zacięta walka. Wciąż gdzieś niegdzieś paliły się domy i stodoły; ludzie postrzeleni zostali. W Jaśle dużo szkody wyrządziło to strzelanie, tak samo u S. S. Wizytek. Przez cały czas strzelania ukryły się w piwnicy. Nasze wojska spotykały wciąż nowe zdrady i to było główną przyczyną niepowodzenia. 21. grudnia dochodzą nas pogłoski, że nasze wojska znowu się cofają — smutek i rozpacz ogarnia biednych cywilnych ludzi, a wojskowi łudzą nas, uspakajają, że niema żadnego niebezpieczeństwa, ale my nie wierzymy i z obawą patrzymy, co się dzieje. Tego samego dnia, w poniedziałek w nocy o $11^3/_4$ przyszedł lekarz wojskowy p. Dr. Gustaw Dobrucki (sekundaryusz szpitala powszechnego w Stanisławowie) z rozkazem, żeby chorzy żołnierze czemprędzej się zebrali, bo wyjeżdżają; i tak w trzy kwadranse prawie wszyscy chorzy

żołnierze wyjechali. Dnia 22. grudnia nasze wojsko znowu rozłożyło się na cmentarzu, że nie znać było grobów, oczekując nieprzyjaciela; i znowu nie było nadzwyczajnej bitwy. 23. grudnia odeszli nasi z cmentarza, ale do wieczora słychać nieustannie strzelanie karabinowe. Żołnierze austryaccy nawet z pomiędzy domów strzelali na Moskali, a o $3^1/_2$ po południu słychać ostatni strzał armatni gdzieś przed Jasłem bardzo blizko. Na wieczór pokazała się już patrol rosyjska.

24. grudnia rano już wszędzie w Jaśle pełno wojska royjskiego. Najpierw zabrali się bardzo gorliwie do rabowania, gdzie co było, przedewszystkiem ze sklepów opuszczonych przez właścicieli. Strzelanie słychać coraz dalej za Jasłem. Przez święta Bożego Narodzenia cały parkan dookoła szpitala został porąbany przez Moskali do ogrzania się w nocy. 27. grudnia Moskale wciąż jadą naprzód, ale na ogół robią wrażenie, że są w obawie, aż do 3. stycznia 1915 r. W międzyczasie od Bożego Narodzenia do 4. stycznia 1915, kiedy wojska rosyjskie po trzeci raz przybyły do Jasła, z Magistratu miasta Jasła p. Michnik, adwokat krajowy, zastępca burmistrza przysłał do tutejszego szpitala pewną panią jasielską z pismem, że poleca się jej administracyę szpitala, a Siostry według pogłosek od ludzi mieli zamiar usunąć. Siostra Przełożona jej na to odpowiedziała: „Ja prowadzę administracyę szpitala już od 22 lat, więc znam dobrze jak dom prowadzić, a pani musiałaby się dopiero uczyć. Jeżeli p. Michnik ma co do mnie, niech tu sam przyjdzie, a rozmówimy się. Zresztą my nie zależymy od Magistratu, tylko od Wydziału Krajowego“. Tak poszła z kwitkiem, ale Magistrat zawsze najgorzej usposobiony dla szpitala wciąż nas podkopywał. 4. stycznia już są pewniejsi. 5 stycznia wieczór o $5^3/_4$ przychodzi do tutejszej Siostry Przełożonej posłaniec z Magistratu bez pisma, tylko ustnie na polecenie Magistratu i gradonaczalnika z zapytaniem i stwierdzić, czy prawda i dlaczego Siostra Przełożona utrudnia przyjęcie chorych do szpitala, i że w szpitalu ma mieszkać jakiś ksiądz. Wytłumaczyło się

mu, że ani jedno, ani drugie nie jest prawdą; ksiądz przychodzi z parafii, odprawi Mszę św. i idzie; a oprócz tego przychodzi czasem dwóch kleryków pomagać przy opatrunkach i odchodzą, a przyjmowanie chorych zależy zawsze od orzeczenia szpitalnych lekarzy. Tego samego wieczora o 7 przychodzi do Siostry Przełożonej lekarz rosyjski, żeby wypróżnić refektarz Sióstr, bo im jest ten pokój koniecznie potrzebny. 6. stycznia lekarz rosyjski na wizycie u chorych z pomiędzy cywilnych wypisał jedną 70-letnią staruszkę postrzeloną, z kulą w boku, i kazał jej iść gdzie chce, bo oni potrzebują miejsca dla żołnierzy. Tak samo kilkakrotnie postąpili, pomimo, że chorzy ci pochodzili z innych powiatów, a tu nie mieli żadnych znajomych. U nas w szpitalu było obecnie samych chorych 83 osób. Szpital ten rosyjski, który się teraz u nas ulokował, nazywa się „Besarabski". W święto Trzech Króli po południu o 2½ sestra rosyjska żąda od Siostry Przełożonej, żeby jej pokazała wszystkie komnaty. Wszystkie ubikacye szpitalne szczegółowo przeglądnęła aż do strychu i wszystkie zapasy, gdzie co było. Było tych sestryc 12, a lekarzy 2 i 2 medyków, wszyscy byli jak najlepiej dostosowani do siebie; ale najwięcej rażące było całe zachowanie się tych mniemanych sestryc. Spodziewali się oni, że przed niemi będziemy chować jakie zapasy — więc od razu zażądali kluczy od magazynu, gdzie wszelkie zapasy szpitalne były przechowane, i powiedzieli, że nam nic nie zginie. Nam był wstęp wzbroniony do tego magazynu.

Dnia 8. stycznia wieczór o wpół do 6 odwiedził tutejszy szpital wielki książę rosyjski, Mikołaj Mikołajewicz. Przyszedł także do Sióstr osobno ze swymi przybocznymi i dziękował nam za pielęgnowanie jego chorych. Wcale nie rozmowny, do chorych wcale się nie przybliżał i ani jednego słowa nie przemówił do nich, co robiło niemiłe wrażenie. Tysiące wojska rosyjskiego wracało od Gorlic w stronę Pilzna, żeby zastąpić drogę wojsku austryackiemu, bo znowu grozi im niebezpieczeństwo i tak im często przychodzi. Święta Bożego Narodzenia ruskie bardzo uroczyście

i wesoło obchodzili. Ruski pop miał mowę osobno na każdem piętrze u chorych; w tej wyraził życzenie, żeby wroga Austryaka co do nogi wybili — dodawał im bardzo ducha i męstwa. Potem podawał wszystkim krzyż swój do pocałowania, ale leżący pomiędzy chorymi austryaccy żołnierze odmówili — wzdrygnęli się na to. Urządzili chorym drzewka, wzięli z kancelaryi dwa krzesełka, wydrążyli w środku dziury, w nich umocowali te drzewka; od cara czy carowej dostali małe podarunki, każdy w małym perkalowym woreczku, n. p. papier listowy, ołówki, chusteczki do nosa, cukierki i tytoń. Nowy Rok także uroczyście obchodzili, a najwięcej według swego zwyczaju święto Jordanu, śpiewy nieskończone i t. d. Przystroili na ten cel jedną dużą salę chorych.

12. stycznia bez zmiany. 13. stycznia bardzo dużo przejeżdżało z powrotem wozów amunicyjnych i t. d., jakby cofnięcie się ich.

Dnia 14. stycznia przed południem przychodzi oddziałowa Siostra Wincenta z nowiną do Siostry Przełożonej, że wino mszalne, przynajmniej 40 flaszek, z magazynu wykradziono. Naturalnie to tylko te sestrycc rosyjskie wykradły, przydało im się na Nowy Rok i wszędzie były ślady tego rabunku. Flaszki, których nie mogły odkorkować, z utrąconemi szyjkami rozrzucone leżały po ogrodzie i t. d. Na korytarzu wino porozlewane, a sami byli pijani — sestryce też, aż się pochorowały niektóre, tak się tem winem uraczyli. Zaraz Siostra Przełożona z drugą Siostrą poszły do komendanta tego szpitala, Schmidta, opowiedziały wszystko i on obiecał, że przyjdzie sprawdzić, ale się nie pokazał; także obiecał, że nam klucz od tego magazynu odda, ale niczego żeśmy się nie doczekały. Pożaliła się Siostra Przełożona starszemu lekarzowi, a ten niby się zdziwił i mówi: Szkoda, że Siostra Przełożona zaraz nie powiedziała, że tam jest wino; a Siostra Przełożona mówi: Przecież p. Profesor powiedział, że nam nic nie zginie, więc myśmy też nie wynosiły.

15. stycznia. Siostra oddziałowa poszła ukradkiem do tego magazynu, kiedy zastała go przypadkiem otwartym, żeby

wybrać trochę krup do kuchni i wzięła 3 woreczki. Wtem jedna sestryca spostrzegła to, okropnie na to powstała i zaraz poszła ze skargą do p. komendanta Schmidta. Ten zaraz się zjawił w szpitalu i z największem oburzeniem powstał na nasze Siostry; Siostry tłómaczyły, że przecież to nasze i nie gdzieindziej, tylko do naszej kuchni się to wzięło do gotowania. Ten ani nie zważał na to i wciąż strasznie uniesiony zagrażał, że jak jeszcze raz się to zdarzy, to Siostry wyrzuci, a będą tylko ich sanitetki. W Bursie gimnazyalnej w Jaśle tak zrobili, że 3 Siostry Służebniczki wypędzili i nie pozwolili im nawet swoich wszystkich zapasów pozabierać. Umieściły się w drugim swym domu w Jaśle, w ochronce.

Chorych w szpitalu mamy wciąż do 80. Jedni przychodzą, drudzy odchodzą, a raczej odwożą ich do Rosyi, bo to ciężko ranni. Rosyjski ten personal nie chciał naszych Sióstr do operacyi, opatrunków i t. d., że oni lepiej będą chorych pielęgnować. To też tak pielęgnowali, że 5 lub 6 chorych żołnierzy rosyjskich dziennie umierało. Często zdarzało się, że zaraz po operacyi umarł. Sami ci Moskale, lekarze i t. d. wstydzili się tego, co to jest — co się dzieje? A austryaccy żołnierze, jak na złość, dobrze i energicznie się trzymali. Wyjątkowo jeden Węgier 20-letni po amputacyi obu nóg wyżej kolan dostał żółtaczki i umarł. Źli byli, jak austryaccy żołnierze (za naszą radą w sekrecie) nie dali sobie amputować rąk i nóg — potem sami widzieli, że na wyleczeniu wychodzili ze szpitala. Z Austryakami zawsze obojętnie, a często i brutalnie się obchodzili.

Dnia 18. stycznia po południu od 2 do wpół do 4 nieustannie jechało bardzo dużo kozaków i kilka lekkich armat, jako górska lekka artylerya naprzeciw Austryakom w Karpatach. 19. i 20. stycznia nie słychać strzałów. 20. stycznia szło bardzo dużo piechoty rosyjskiej w tę samą stronę. 21. stycznia słychać strzały w nocy na 22. stycznia. Rychło rano bardzo strzelali. Od 22. stycznia zdradzają jakąś obawę. 26. stycznia od południa do wieczora szło wciąż bardzo dużo wojska z powrotem; mówią, że na Przemyśl, bo im się

w Karpatach nie powodzi. Tego dnia jeszcze na wieczór wyszło z tutejszego szpitala 28 chorych, przeważnie austryackich żołnierzy. 30. stycznia przyszło do szpitala 30 rannych żołnierzy rosyjskich i 3 oficerów rosyjskich. Siostra z kancelaryi poszła do nich, żeby ich zapisać, a oni stanowczo nie chcą nic powiedzieć i mówią do siebie, że teraz są rządy rosyjskie a nie austryackie.

Potem Siostra ta spotyka się z profesorem szpitala rosyjskiego i mówi mu o tem, a on niby to grzecznie, ale stanowczo mówi, że nie powinna się Siostra o to dopytywać, gdzie który urodzony, w której gubernii, z jakiego pułku, gdzie i na jakiej pozycyi raniony. Jest im to zakazane od komendanta armii i pyta się, na co to Siostrze potrzebne? Siostra mówi, że taki jest zwyczaj. Jak za czasów spokojnych, tak i w czasie wojny wszystkich chorych się zapisuje. Profesor ostatecznie mówi, że można tylko o nazwisko się zapytywać, ale Siostra ta przestała już całkiem zapisywać żołnierzy rosyjskich, żeby się nie narażać na jakie nieprzyjemności, tem więcej, że w sekrecie dowiedziała się, że oni chorym rosyjskim żołnierzom zapowiedzieli, że jak „sestra austryjska“ będzie się ich o to wypytywała, żeby nic nie odpowiadali.

31. stycznia w niedzielę przyjechał do nas z wizytą, tylko do Sióstr Miłosierdzia, objeżdżający gubernator N. N., z którym znałyśmy się już od listopada, i dopytuje się, czy nam kto nie robi jakiej krzywdy, czy lekarze i te sestry są grzeczne dla nas. On spostrzegł po naszych twarzach, że mamy jakieś urazy, ale nie chcemy mówić; popatrzałyśmy jedna na drugą, ale on jeszcze się pyta. Tak jedna Siostra oddziałowa, Siostra Wincenta, powiedziała wszystko, jak się wobec nas zachowują i że nam wino skradli. Tak ten gubernator mówi, żeby Siostra Przełożona poszła z drugą Siostrą do komendanta żandarmeryi, ale Siostra Przełożona mówi, że nie pójdzie, bo już były u komendanta szpitala, p. Schmidta, i nasz miejscowy lekarz, Dr. Macudziński, pensyonowany dyrektor szpitala, był u gradonaczalnika, ale to

nic nie pomogło, bo wszyscy sprawcy tej kradzieży wyparli się przed nami, że to nie prawda. Więc mówi ten gubernator, że zatelegrafuje do tego komendanta żandarmeryi, bo teraz nie może dłużej bawić. Następnej środy zjawia się w szpitalu komendant kozackiej żandarmeryi i u wejścia pyta się medyka rosyjskiego o austryackie Siostry; ten prosi nas i tak przy nim pyta się: to wam zabrali to wino? Medyk zmieszał się bardzo i zaraz poszedł swoim powiedzieć, a komendant poszedł na górę do Sióstr Miłosierdzia. O wszystkiem był szczegółowo poinformowany i to wiedział, że na wino to wydano 100 kor. Sam przyznał. że to nie ładnie, brzydko, paskudnie i zapłacił Siostrze Przełożonej 33 ruble.

Do 5. lutego nic nadzwyczajnego. 5. lutego był u nas na górze u Sióstr w izbie generał N. N. i dwóch innych oficerów o informacye, żeby u SS. Wizytek urządzić szpital. Tłómaczyło się im trudności w tej sprawie. Poszli sami na górkę do klasztoru. Tutejsza Siostra Przełożona uprzedziła ich o tym zamiarze bilecikiem do Matki Przełożonej. I tak kilkakrotnie chcieli tam szpital urządzić, ale zawsze jakoś skończylo się na niczem. Raz miały wielką przykrość za podszeptem złośliwych ludzi cywilnych. (To sam Moskal w sekrecie powiedział). Gradonaczelnik przysłał swoich wojskowych do zrobienia rewizyi w klasztorze, bo Siostry Wizytki mają mieć telefon do Austryaków i w zapasie piwo i spirytus. Wszystko to było bezczelnem kłamstwem, bo telefonu nigdy nie miały, a spirytusu i piwa w czasie wojny nawet na lekarstwo nie miały. Jedyną ich obroną był ksiądz kapelan klasztoru. Po wielu trudnościach zgodzili się na to, że ksiądz kapelan i Matka Przełożona podpisała, że to, co mówią, jest prawdą i skończyło się na tem bez rewizyi.

W tym czasie przychodzący ranni rosyjscy mówią, że Austryacy biją ich bez miłosierdzia jak psów. Wszystko wojsko rosyjskie, które idzie w Karpaty, tam ginie. W szpitalu coraz więcej chorych — do 200; czasem odrazu przywieźli 50 do 70 rannych. Taki ruch chorych, przeważnie rosyjskich, bo austryackich często u nas wcale nie było, był przez cały

luty i marzec 1915 r. W marcu to i na korytarzu na barłogu leżeli ranni żołnierze. Największa liczba chorych w szpitalu była 295.

Dnia 13. lutego odjechał od nas „Besarabski“ szpital. Po ich odjeździe spostrzeżono, że dużo narzędzi chirurgicznych zabrali, a mniej wartościowe rzeczy, które zostawili. były zniszczone w straszny sposób. Kiedy się wybierali, to Siostra oddziałowa już im śmiało powiedziała, żeby nie zrobili tak, jak w Sanoku, gdzie wypróżnili całą salę operacyjną, więc jeszcze liczyli się trochę. Bielizny według dawnej wartości na 400 kor. przynajmniej pokradli, a prócz tego inne sprzęty zabrali albo kompletnie zniszczone zostawili. Na ich miejsce sprowadził się inny szpital „Czerwonego Krzyża“. Ten personal cały znowu najlepiej do siebie dobrany, ale tak, że w porównaniu z poprzednim został nazwany „inteligentny“. Żyłyśmy z nim w najlepszej zgodzie. Przy tym szpitalu było 9 sanitetek (sestryc), między niemi jedna austryacka, z pod Radymna, panna Romana K., zabrana przez nich w Rzeszowie z cholerycznego szpitala. Nasze Siostry pracowały teraz wspólnie z niemi, oprócz operacyi i opatrunków. Szpital ten stał u nas do 4. marca; żal im było od nas odjeżdżać. Panna Romana także z nimi pojechała do Ustrzyk. Po ich odjeździe także spostrzegłyśmy, że zabrali nam (czy przez pomyłkę czy umyślnie, niewiadomo) stolik żelazny z mosiężną płytą z sali operacyjnej, wartości około 200 koron. Po nich przyjechał jakiś szpital „Kurski“. Z nimi także wpólnie pracowałyśmy, a co czwartą noc nasze Siostry czuwały. Ten szpital był tylko dziesięć dni, bo budynek im się nie podobał — był za stary. Sprowadza się szpital wojskowy. Lekarz, pracujący u nas w szpitalu, nazywał się Kostanecki, z polskiej rodziny, ale dziś zacięty Moskal. Teraz był szpital urządzony tylko jako opatrunkowy stacyjny. Chorzy pozostawali tu jeden do trzech dni i odjeżdżali do Rosyi.

Dnia 12. marca przyjechało dwóch księży z Gorlic do Jasła. Mówią, że niemożliwe jest tam dalej mieszkać. Dnia

17. marca przyjechały do nas Siostry Miłosierdzia ze szpitala powszechnego z Gorlic. 14. marca wyjechały w nocy z Gorlic, a 16. wieczorem stanęły w Jaśle. Oficerowie rosyjscy stanowczo im proponowali, żeby wyjechały, że dłużej tam pozostać jest niepodobieństwem. 9. marca wojsko austryackie zaczęło na dobre strzelać do szpitala, bo spostrzegli, że Moskale robili okopy koło szpitala. Trzy fury rozmaitych rzeczy wywiozły z sobą, a resztę, bardzo dużo zapasów żywności i. t. d. pozostawiły. W szpitalu tym pozostało 7 dziewcząt służby. Całą noc z 16. na 17. marca i cały dzień słychać od Gorlic straszne strzelanie; taksamo 18. i 19. całą noc i cały dzień i 20. do południa, po południu mniej.

22. marca. U nas w szpitalu Dr. Kostanecki mówi, że przyszedł telegram, że Przemyśl zdobyty, że dla głodu sami Austryacy się poddali. Za dwie godziny mówi, że przyszedł drugi telegram o zdobyciu Przemyśla. Myśmy na to zawsze odpowiadały, że nie wierzymy, bo już wiele razy tak mówiono, a nie prawda. 23. marca we wtorek policyant miejski austryacki bębnił wszędzie po mieście o tem zdobyciu i że 24. przed południem będzie na rynku dziękczynne nabożeństwo polowe, na które zaprasza się i całą cywilną publiczność. Rzeczywiście odbyło się to najuroczyściej.

Moskale uciekli z Jasła 5. maja.

Nasze wojska, austryackie i niemieckie, pokazały się w Jaśle 6. maja, we czwartek, o 9 rano.

Od 10. do 23. maja był u nas szpital wojskowy węgierski.

Dolę Sióstr w Jaśle szkicują nadto listy Siostry Jasińskiej, jeden do Przew. Ks. Wizytatora, a kilka do Przew. S. Wizytatorki.

List z dnia 21. września 1914 r.

U nas w Jaśle, straszny ruch. wojska pełno. Jesteśmy bardzo zaniepokojone, co będzie dalej. Przedewszystkiem, co nam wypada zrobić, jak rozkażą Jasło opuścić. Siostry Służebniczki jechały z rannymi na Węgry, a dziś Zakonnice

z Jarosławia także jechały na Ślązk, a my co mamy zrobić? S. Józefowska powiada, że się nie ruszy z Jasła. W każdym razie proszę Najczcigodniejszego Ojca o jakąkolwiek informacyę. W naszym szpitalu są wojskowi lekarze, bo p. dyrektora zabrali na wojnę, a sekundaryusz żydek przedwczoraj uciekł z Jasła. Chorych żołnierzy mamy przeszło 70. Roboty dużo, a tu ta niepewność zupełnie siły odbiera. Dotąd miałyśmy codziennie mszę św. w domu, ale dziś ksiądz Szpila także wyjeżdża, a więc nie ma już żadnego księdza, któryby do nas przychodził, bo wszyscy powyjeżdżali z Jasła, tylko Ks. Proboszcz jest i księża Wikarzy, ale i ci gotowi do wyjazdu. Franciszkanie także dziś wyjeżdżają, a więc będziemy pozbawione wszystkiego, co jeszcze trochę krzepiło ducha, to jest mszy św. i Komunii św.

6 września.

Listem Najczcigodn. Matki bardzo się ucieszyłam. Gdym go odebrała, już miałyśmy przeszło 60 rannych żołnierzy, a dziś mamy 72. Z największą radością oddajemy im usługi, a oni są bardzo dobrzy i wdzięczni. Mamy Bośniaków, Czechów, Węgrów, Niemców, Moskali, a pomiędzy nimi jednego Polaka z Sokala. Wszystko idzie dobrze, tylko zdałaby nam się Siostra, któraby się rozumiała na chirurgii. Dwie pierwsze noce, jak nam przywieźli rannych, to tak, że się krew w żyłach ścinała patrzeć, jak niemal każdy z nich rękę i nogę miał złamaną, a rany, pełne materyi, bo po kilka dni nie mieli zmienionego opatrunku. Do pomocy przychodzi codziennie trzech kleryków, nawet i czuwają po kolacyi. Dziś czuwał sędzia tutejszy, bo mamy mało służby, a na każdą z nas przypada co czwartą noc. Mamy żołnierzy i na dezynteryę, to jest mój oddział. Wczoraj był pogrzeb Bośniaka, który umarł na tyfus. A Niemiec jeden, który ma płuca przestrzelone, już dogorywa, drugi Madziar, który ma kulę w mózgu, ma się lepiej. Wczoraj była amputacya nogi, chory ma się nieźle, a jest kilku, którzy mają kule w brzuchu. Teraz można mieć jakie takie pojęcie, co to jest wojna. Co słychać z naszymi Najprzewielebniejszymi Przełożonymi?

Już kończę na tych kilku wiadomościach, bo jest tyle roboty, że teraz niema czasu ani spać, ani się modlić, ani nawet jeść.

Mszę św. mamy codziennie. Odprawia ks. Szpila, a potem idzie mierzyć chorym gorączkę przed wizytą. Widzi Najczcigodniejsza Matka, że naszych żołnierzy obsługuje samo duchowieństwo.

14. października.

Bardzo się cieszę, że poczta już urzęduje. Po tak długiem milczeniu opiszę o naszem powodzeniu, przedewszystkiem, żeśmy przez cztery dni były pod panowaniem Moskala. W sam św. Wincenty 27. września zawitał do Jasła po południu. A tak strzelali z maszyn, że szyby pękały. Takie było przerażenie w mieście, że strach wspomnieć o tem. Ludzie, którzy zostali w mieście, uciekali do szpitala, bo tu czuli się bezpieczniejsi, ale i my się bały. S. Zatecka skryła się w kaplicy za konfesyonał i jeszcze dziś gniewa się na Moskala, że narobił tyle strachu.

Przez ten czas mieliśmy dużo rannych. Na początku września przeszło tydzień było po 110 żołnierzy, w ten czas było nam bardzo ciężko, bo nie było odpoczynku, ani w dzień ani w nocy. Służba nam się pochowała, sekundaryusz uciekł. Dopiero wojskowi lekarze objęli szpital, ale i oni przed Moskalem uciekli i znów zostałyśmy same, trzymamy się tylko dzięki energii S. Adamskiej, która nad podziw pracuje przy rannych, bo nawet kule wyjmuje. W mieście został tylko sam p. Macudziński, ale on cóż zrobi przy takim nawale pracy. W Jaśle Moskale nie zrobili żadnej szkody. W mieście straszna drożyzna, a najgorzej o chleb. Były dni, w których nie miałyśmy chleba dla rannych żołnierzy. Dzisiaj 1 kg. kosztuje 60 hal., a litr mleka 36 hal., a nie można go dostać, bo ciągle pełno wojska w mieście; dopiero od wczoraj trochę przestali iść. Obecnie już chorych i rannych mamy tylko 50, a zakaźnych żadnych nie przyjmuje się do naszego szpitala.

Co do nas, to trzymamy się dzięki Bogu zdrowo, boć

też nie było czasu nawet chorować. S. Józefowska nieraz zapowiadała wieczorem, że jutro nie wstanie, ale na drugi dzień była pierwsza na nogach. Rzeczywiście Pan Bóg daje jej nadzwyczajne siły. Oprócz pracy w kuchni bardzo wiele nam jeszcze pomagała przy chorych, boć do pracy, tak naprawdę powiedzieć, jest nas tylko trzy.

Przez cały czas mamy codziennie mszę św. w domu Nim wyjechał ks. Szpila, on odprawiał, a teraz przychodzi ks. Piwiński, katecheta ze Lwowa, który uciekł także przed Moskalem, a teraz żałuje, bo nie ma ani pensyi, ani jechać nie może do Lwowa, bo kolej nie idzie. Ale nam zato dobrze, bo przychodzi codziennie ze mszą św., a po południu odprawia nam nabożeństwo Różańcowe i chorych opatruje. 11. października odebrałam list od Najczcigodniejszego Ojca, wysłany we wrześniu, ale że poczty nie było, więc dopiero teraz go odebrałam.

29. października.

...U nas spokój. Żołnierzy rannych mamy tylko 37, bo tu przyjmują tylko ciężko rannych, a lżejsze wypadki idą do szkoły. Tam mają wojskowy szpital. Nasz sekundaryusz już wrócił i urzęduje napowrót w szpitalu. Zresztą nic nowego nie zaszło.

8. listopada.

Korzystam, że jest jeszcze poczta, posyłam list, aby dać znać Najczcigodniejszej Matce, że żyjemy, jesteśmy zdrowe. Poza tem nie mogę nic pomyślnego donieść, bo już znów z Jasła uciekają, znowu niepokój wielki. Co do nas, ufamy P. Bogu, że bez Jego woli nic złego nam się nie stanie. W tych dniach zjawił się p. Lipski w Jaśle, bardzośmy się nim ucieszyły, bo we wielu rzeczach nas poinformował i cieszył się, żeśmy odważne i wesołe. Chciał jechać do Sanoka, ale go nie puścili i wrócił napowrót. Znów jesteśmy bez lekarza. P. Lipski obiecał nam przysłać lekarza ze Sącza, ale nie wiem, czy dojedzie, bo kolej pewno w tych dniach odejdzie.

Co do wiktuałów jesteśmy zabezpieczone, tylko węgla mało.

20. grudnia.

Korzystam ze sposobności i przesyłam kilka słów Najczcigodniejszej Matce, że żyjemy, ale przechodziłyśmy straszne chwili. Dzięki Bogu, wszystko przeszło szczęśliwie i znów zwycięsko wkroczyła nasza armia austryacka.

10. maja 1915.

Pewno Najczcigodniejsza Matka się ucieszy, że po tylu miesiącach odbierze kartkę od swoich dzieci, które jęczały niemal przez pięć miesięcy w okrutnej niewoli. Ale z łaski Bożej wszystkośmy przetrzymały i już od od 4. maja oddychamy spokojnie. Nie mogę się dużo rozpisywać, tylko to najważniejsze, że wszystkie żyjemy, jesteśmy zdrowe. Ciągle pracy dużo, dziś mamy 199 rannych, ale to wszystko nasi.

30 maja

Za kartki datowane 16. i 21. maja najserdeczniej dziękuję, a jeszcze więcej za tę obietnicę, że Najczcig. Ojciec i Najczcig. Matka wybierają się nas odwiedzić. Coby to była za radość dla nas! Ale kto wie, kiedy to nastąpi. Obecnie mamy tylko cywilnych rannych około 40, ale roboty dużo, bo trzeba jakoś uporządkować ten nasz biedny szpital, który przetrwał takie burze, a nad którym cudownie Opatrzność Boska czuwała, bo nawet jedna szybka nie wypadła, jak grzmiały armaty przez półczwarta dnia. A co za świst był w powietrzu od kul, to nie da się opowiedzieć. Kilka domów zostało uszkodzonych od szrapneli i ludzi poraniło. A już największy był strach, jak aeroplan rzucał bomby. Raz ksiądz kończył u nas mszę św., a jak bomba padła niedaleko szpitala, to S. Józefowska krzyknęła w głos „Jezus, Marya“, a wszyscy zbledli jak trupy, bo zdawało się, że to szpital się wali, taki był łoskot. Ach cośmy przeżyły, to nie da się opisać na papierze. Dziś już cicho w mieście, jakby wojny nie było. Uciekinierzy powoli wracają do swych siedzib, które zostały zniszczone przez nieprzyjacielskie wojska, bo biada temu, kto dom zostawił i wyjechał; tam nie zostało nic, tylko prawdziwe spustoszenie. My byłyśmy w domu, a i tak nam pokradli i instrumenta kancelaryjne i bieliznę,

pomimo żeśmy to z miejsca na miejsce przenosiły. Teraz dopiero bieda, drożyzna nie do opisania, a mąki nie można dostać za drogie pieniądze.

Sanok.

Pierwszy raz weszli Moskale dnia 26. września zachowali się spokojnie, było ich mieście nie wielu, nie rabowali i nie robili nikomu krzywdy, może dlatego, iż wiedzieli, że będą niedługo, gdyż już 4 października pokazały się nasze patrole. Moskale ustawili armaty na t. zw. „Aptekarce" i strzelali z nich, uszkadzając dość silnie budynek Dyrekcyi skarbowej i dom ochronki Sióstr Służebniczek, nie zabijając nikogo z mieszkańców, za to jeden z obywateli strzelając do Moskali na ulicach miasta, miał ich zabić siedmiu. Siostry nasze były w tym dniu na sumie, gdyż była to niedziela, święto Najśw Panny Różańcowej; i doznały tu opieki Najśw. Matki, gdyż już rozpoczęła się strzelanina i kule świstały nad miastem. Najsilniej strzelano po południu między godz. 1. a 4. i jeszcze trochę w poniedziałek, a we wtorek już wkraczało nasze wojsko i pozostało do 9. listopada. Ustępując zostawili nam kilku ciężko rannych, tak naszych jak i rosyjskich żołnierzy Rosyanie weszli znów do miasta 10. listopada; wejście ich było straszne, gdyż zaczęli od palenia domów w blizkości szpitala, tak iż już gotowałyśmy się do ucieczki, lecz P. Bóg zachował nas od nieszczęścia. Cały pierwszy tydzień był pełen strachu, gdyż co noc palili w mieście różne domy. Do szpitala przychodzili lekarze rosyjscy, którzy byli grzeczni i uprzejmi, dopiero gdy zjechał „Czerwony krzyż besarabski", z Dr. Pawłowem na czele, doznałyśmy wiele przykrości. Zaraz pierwszego dnia zabrano nam klucze od szaf z bielizną, lekarstwami i narzędziami chirurgicznemi, oraz od magazynu i piwnicy, skąd zabierano artykuły żywności; nam nie było wolno wychodzić za bramę szpitala bez narażenia się na odesłanie do komendanta miasta, a osoby nas odwiedzające miały dostać po 25 nahajek. Ksiądz przychodzący ze Mszą św. musiał się meldować lekarzowi dyżurnemu. Ale Najśw. Panna nami się opiekowała, gdyż zesłała nam opiekuna

w osobie ks. wikarego Janika, który ujął się za nami, opowiedziawszy nasze przykre położenie ks. kapelanowi, będącemu przy sztabie rosyjskim, który przybył do szpitala i rozmówił się z dr Pawłowem; odtąd byłyśmy swobodniejsze, ale kluczy już nam nie oddano. Najgorsze to były pielęgniarki, dziewczęta proste, ordynarne, które robiły dużo przykrości; szczęście, iż tylko byli trzy tygodnie, gdyż musieli uciekać, bo się pokazały patrole austryackie. Opuszczając szpital zabrali wszystkie narzędzia chirurgiczne i nie wielką ilość bielizny szpitalnej: pozostawili nam 48 rannych i trochę żywności, jak cukru, herbaty, trochę kaszy hreczanej, słoniny, chleba i 25 główek kapusty, napół zgniłej, i odbiór tego kazali sobie potwierdzić. Radość nasza była wielka, że uciekają i że znów przyjdą nasi, lecz była tylko chwilowa, bo tylko dwa dni, t. j. 16. i 17. grudnia były patrole; musiały ustąpić przed naporem moskiewskim. I tu znowu doznałyśmy jawnej opieki Najśw. Panny, gdyż 17. grudnia idąc do kościoła o wpół do 7 rano dostałyśmy się w środek dwóch patroli, naszych i rosyjskich; przy skręcie z głównej ulicy w boczną zobaczyłyśmy przed sobą czterech naszych żołnierzy stojących razem, wtem za nami słychać tętent koni, obracamy się, a to dwóch kozaków z pikami, oddalonych od nas o jakie dziesięć kroków. Zdrętwiałyśmy, gdyż gdyby zaczęli do siebie strzelać, wszystkie cztery pewno byłybyśmy zabite, ale P. Bóg obronił nas; nasi żołnierze rozsunęli się tak, iż zostawili wylot małej uliczki, a kozacy myśleli może, iż tam stoi więcej wojska, gdyż zawrócili i pędem uciekli, a myśmy szczęśliwie zaszły i wróciły do domu. Po ucieczce szpitala besarabskiego przyjechało dwóch lekarzy z Sambora, ale bez pielęgniarek. Byli to ludzie dobrzy i grzeczni, starali się o wszystko dla szpitala, by chorzy mieli co jeść; byli aż do 31. grudnia. Dnia 1. stycznia objął szpital Świerski Czerwony krzyż, ze starszym lekarzem dr. Lewikowem na czele. Przyjechały też i pielęgniarki, lecz były to osoby inteligentne i grzeczne, choć i te czasem dokuczyły. Szpitalowi i nam za cały czas ich pobytu nic nie brakowało, dawali wszystko

i o wszystko się starali. Pozostali do 7. maja, którego to dnia uciekli, nie mając czasu, by zabrać swój magazyn, który zostawili, prosząc, by się nim zaopiekować, a oni przyjdą i wszystko zabiorą; i rzeczywiście w niedzielę i poniedziałek zabrali, choć nie wszystko, bo już nie zdążyli, gdyż nasze wojska już były blizko i we wtorek 11. maja weszły do miasta, wśród ogromnej radości biednych ludzi, którzy zostali w mieście, a których Moskale obdarli ze wszystkiego.

List z dnia 24. maja.

Chwała Bogu, po sześciu miesiącach jesteśmy wolni, za co proszę wraz z nami dziękować Bogu Najwyższemu. Wieleśmy przeszli i doznali strachu, zmartwień i trudów, ale najwięcej dokuczyła nam choroba Sióstr.

Teraz, po przybyciu naszych, znowu pracy więcej. W naszej kuchni gotujemy dla czterech szpitali, przeciętnie dla 400 osób. W pierwszych dniach dla pięciuset się gotowało. U nas mamy rannych 150 i więcej. Proszę więc bardzo o przysłanie pomocy, bo jesteśmy prawie wyczerpane pracą nad siły, a przytem co czwartą, a od przybycia S. Stanisławy, co piątą noc, dyżurem nocnym.

Rzeszów. *List z dnia 13. września 1914.*

Najpierw przepraszam, że tak długo milczałam, gdyż dotąd jako tako szło, byłyśmy bezpieczne. Wydział krajowy poczynił zarządzenia, abyśmy się ze szpitala nie wydalały, chorych cywilnych kazał powypuszczać i nie przyjmować, tylko dla żołnierzy przygotować miejsce i już od miesiąca mamy tak około 150 żołnierzy rannych. Dyrektora obecnie nie mamy i innych lekarzy szpitalnych; wszystko do wojska poszło, wszystkie opatrunki prawie same robimy, tylko przychodzi miejscowy lekarz rano i na tem koniec; mamy dosyć roboty. Siostry do nas jeszcze żadne nie przyjechały i u nas także nic nie można się dowiedzieć; dzisiaj jest większe niebezpieczeństwo i cywilni uciekają na Węgry. A my w razie niebezpieczeństwa co zrobimy? czy mamy pozostać przy rannych żołnierzach, czy mamy czekać na rozkaz władz, nie wiemy; proszę łaskawie upewnić nas w tych wątpliwościach.

Siostry jako tako się trzymają; muszą, bo często w nocy rannych wożą. Ja byłam kilka dni chora na zapalenie gardła, ale już przychodzę do sił. Ach, ciężkich doczekaliśmy się czasów, bardzo ciężkich; kto to przetrzyma, kto przeżyje?

17. października.

Jużeśmy odetchnęli troszkę po tej uciążliwej niewoli. Proszę sobie wyobrazić, byliśmy odcięci od świata całkiem, ani kolei, ani poczty, ani żadnej wiadomości, dopiero w dzień św. Jadwigi zaczęła poczta kursować.

Mieliśmy gości rosyjskich całe dwa tygodnie; prawda, że nam nic złego nie robili, owszem mówili nam, że Siostry Miłosierdzia są ich; ale biedni ludzie! niszczyli ich, rabowali, co się dało, szczególniej dwory całkiem zniszczone. Cośmy się strachu najadły, jak wkraczali do miasta kozacy z dzidami przed sobą, czerkiesi, straszne wojsko — za nimi inni Moskale z nahajkami. Gdyśmy się troszkę opatrzyli z nimi, zaraz nam chorych dawali, gdyż nie było innego szpitala, tylko nasz. Wszystko pouciekało. Mieliśmy chorych Moskali, 100 rannych i tyfusowych, lekarza żadnego, miejskich 25 uciekło, tylko rosyjscy zaglądali; wszystko w mieście wyjedli, ani chleba nie było dosyć, bułek wcale przez całe dwa tygodnie. Ach, jak ta niewola była uciążliwą, nic nie było można dostać, a wszystko prosiło o chleb, serce się krajało na ten widok.

Po dwóch tygodniach nasi wypędzili Moskali. Ach, jakież to było przerażenie: pół godziny przedtem Moskale wysadzili most w powietrze, nasze patrole w pół godziny potem wjeżdżają do miasta, strzelają po ulicach do pozostałych jeszcze Moskali, ranią także i cywilnych. Z jaką radością ludność wita naszych, gromadami wołają po mieście: hurra! Wieczorem illuminacya w całem mieście z wielkiej radości; wszyscyśmy byli przepełnieni radością i wdzięcznością ku Bogu.

Uciekinierzy z miasta pomału wracają, nasz szpital znowu przepełniony rannymi, gdyż za Rzeszowem rozegrała się straszna bitwa, armaty grały cały dzień — znowu ogólne

przerażenie. Mieliśmy przeszło 200 rannych żołnierzy, sami Niemcy, Węgrzy i Czesi, gdyż zamiast Polaków oni teraz oczyszczają Galicyę z Moskali.

Naszego dyrektora jeszcze nie mamy, obecnie trzech Niemców, Wiedeńczyków, mamy, tęskno nam bardzo za swoimi; da Bóg, może się to już skończy. Mniej więcej opisałam Najczcig. Matce naszą niewolę miesięczną prawie. Ach, dałby Bóg, żeby Moskale do nas już nie wrócili; modlimy się dzień i noc.

Generał rosyjski dał nam na piśmie dokument, własnoręcznie podpisany, aby nam się nic złego nie stało. Komendanci chodzili i okazywali nam wdzięczność, żeśmy się ich rannymi zajęły. Komendant czerkiesów bardzo życzliwy, tylko ostatni komendant, jak już widzieli, że nasi im na pięty nastawają i pędzą ich, zażądał, abyśmy wszystkie miały legitymacye, gdyż pod naszemi ubraniami, tak się wyrażał, szpiedzy mogą być ukryci, ale to nie długo, gdyż i on musiał opuścić miasto.

14. czerwca 1915.

Niezawodnie wiadomo, że listy z Rzeszowa nie odchodziły wcale; na razie nie wiedząc o tem, pisałam coś cztery i żaden nie doszedł, jak się dowiedziałam. Dzisiaj już kursują; skorzystałam z tego dnia szczęśliwego i choć kilka słówek skreślę.

Nawiedził nas P. Bóg krzyżem, gdyż aż dwie Siostry zachorowały. Proszę sobie wyobrazić moje zmartwienie; obie choroby zakaźne. Musiałam je odłączyć zaraz na pawilon zakaźny. Dwóch robotnic mi brakuje, rannych pełen szpital, zakaźnych chorób cywilnych coś 12 wypadków; straszne męczarnie i jakoś P. Bóg nam udzielił sił, że dosyć się ta reszta trzymamy przy zdrowiu jako tako. Bardzo się cieszę, że się skończyła ta męka, jak to przykro tyle miesięcy być odciętym od tych, w których całe nasze szczęście, całe nasze zadowolenie i cała nasza pomoc w trudnościach, od Najczcig. naszych Przełożonych. Dotąd żyłyśmy jak po omacku, samym sobie oddane. Ach, żeby się to już więcej nie

powtórzyło. Dlatego proszę łaskawie skreślić nam kilka słówek, jesteśmy spragnione coś usłyszeć od Najczcigodniejszego Ojca. Byłoby wiele pisać, jakeśmy musiały walczyć z nieprzyjacielem, który nas tak uwięził, jak nieraz były ciężkie przeprawy z nimi, ale jakoś nam Pan Bóg pozwolił zawsze zwycięsko wyjść z przeróżnych tarapatów; widoczna opieka Boska. Może się przecież już teraz zobaczymy; ach, żeby jak najprędzej.

Przeworsk. *List z dnia 28. października 1914 r.*

Ciężkie tutaj przechodzimy chwile, choć dziwnie czuwa nad nami P. Jezus i nasza cudowna Najśw. Panna. Od trzech miesięcy ani chwili spokoju nie mamy, ani w dzień ani w nocy. Dom nasz przy głównym trakcie, więc ciągły przemarsz rekrutów, wojska, koni, bydła, trenów. Potem znów to wszystko cofa się. Wreszcie wszystko, co tylko mogło, wyjechało z Przeworska: starostwo, inteligencya, OO. Bernardyni, dwóch wikarych, poczta itd. Powysadzali za sobą mosty — to było straszne. Wszystkie mieszkania puste, sklepy pozamykane — żadnej władzy, wszędzie cicho, bo i ci, co pozostali bali się wyjść z domów. Tak oczekiwałyśmy kozaków. Okropne to były chwile. Każda z nas oddała się zupełnie P. Jezusowi i byłyśmy przygotowane na najgorsze rzeczy.

Przyszli wreszcie kozacy. Jeden zadzwonił do furty i pytał, czy to szpital i czy przyjmujemy ruskich. Na potwierdzającą odpowiedź oddalił się i byli dla nas dość względni. Rabując cukrownię przywieźli nam 26 głów cukru, to znów beczułkę miodu zrabowaną itp., wszystko z tem zastrzeżeniem, że to dla „ranionych“. O cukrze doniosłam teraz cukrowni.

Za kozakami przyszły wojska regularne. Umieszczali u nas swoich chorych i rannych. Miewałyśmy po 70 chorych dziennie. Szpitale ich u nas funkcyonowały. Starszyzna, doktorzy i chorzy byli bardzo grzeczni i wdzięczni; dawali nam trochę pieniędzy, a także żywność w naturze.

Tu w domu prawie że nie miałyśmy szkody. Ale na folwarku zrabowali nam paszę, słomę; rozebrali i spalili

całe ogrodzenie. Tak gościli u nas trzy tygodnie. Okropne to były chwile: zupełne odcięcie od świata, żadnej od nikogo wiadomości, ciągła niepewność. Trudno to opisać i zrozumieć, bo trzeba przez to przechodzić. Byłyśmy wszystkie zupełnie wyczerpane.

Odwrót Moskali był również straszny. Z nieopisaną radością powitałyśmy powracające nasze wojska, urzędy itd. Tylko znowu praca przechodząca nasze siły. Bywało po kilkuset chorych dziennie nieraz, a tysiącom rozdawało się zupę, herbatę itp. Tak trwało tydzień.

W tym tygodniu praca trochę umniejszyła się, choć ciężko także, osobliwie z kuchnią, bo nie tylko chorzy, ale i doktorzy, oficerowie, księża wojskowi stołowali się tutaj; odmówić nie było można, bo w mieście zrabowanem i wyludnionem nic nie można dostać.

Przez Przeworsk przechodziła główna linia bojowa, kilka kilometrów od nas pole bitwy. Kule znajdujemy w podwórzu, a nawet jedną na dormitarzu. Nieustanny huk armat i karabinów. Na gościńcu zaś nieustanny turkot wozów, automobilów itp. Wszystko to bardzo przykre, a czasem nie do zniesienia. Siostry upadają na siłach od pracy, codziennego czuwania. Chętnie jednak byłybyśmy to jeszcze znosiły, gdyby szło do zwycięstwa. Ale widać inne zamiary Boże. Powtarzamy sobie *Fiat*, ale znów mimowoli opanowuje nas strach i niepokój. Nie wiem, czy potrafimy to przenieść, co nas czeka.

Dziś znów opróżniono szpital, jakieś niedobre przedostają się wieści. Niech będzie, co P. Jezus da, ale to oczekiwanie straszne. Przytem cholera, dyzenterya okropna tu panuje między wojskiem, a także między ludem. Siostry w Krakowie nie mają pojęcia, co się tu przechodzi. Może kiedyś ustnie opowiemy, jeśli się zobaczymy.

Zabłąkały się tu do nas dwie Siostry Służebniczki, było ich więcej, ale pojechały dalej. Te dwie uciekły z Sieniawy. Teraz chciały wrócić, ale o tem niema mowy. Nie mają się gdzie podzieć, więc zostały i pomagają nam, w czem mogą.

Jutro będzie u nas cisza, może przed burzą, bo zabrali chorych wszystkich. Siostry porządkują sale, pewnie dla Moskali. Ostatni szpital rosyjski odjeżdżając powiedział nam: „do widzenia“. Nie daj Boże, by to się spełniło, ale niech się dzieje wola Boża.

21. maja 1915.

Trafia się okazya, mam tylko chwilkę czasu, korzystam więc, by złożyć Najczcigodniejszym naszym Przełożonym od całego domu naszego wyrazy najgłębszego szacunku i przesłać list z Paryża, przysłany mi ze Lwowa. Dzięki Bogu, żyjemy stosunkowo dość spokojnie pod opieką naszej cudownej Najśw. Matki. Wszystkie Siostry trzymają się dość dobrze, mimo wielkiej pracy. Dużo miałyśmy rosyjskich chorych. U nas mieściły się ich szpitale. Zniszczyli nam dom szkolny, ale za to dzięki Bogu nie zabrali nam ani bydła, ani koni, a dawali potrochu zapomogi w wiktuałach, tak że do dziś nie czułyśmy bardzo wojny. Dopiero teraz zaczyna się bieda, bo pola choć częściowo były obsiane, teraz wypasione zupełnie. Smutno bardzo, ale ufamy Bogu. Od Wniebowstąpienia mamy wojsko pruskie, pokazuje się czasem i nasze. Znów mamy rannych całą szkołę. Odżyłyśmy po odejściu Moskali, bo choć byli dla nas bardzo grzeczni, i żołnierze i władza, żyło się jednak w ogromnem przygnębieniu, a ostatnie chwile ich cofania się były okropne. Spalili połowę cukrowni, dworzec i dużo domów, przytem rabowali ostatniej nocy. Nam nic złego nie zrobili.

10. czerwca.

Dotychczas w dziwny sposób opiekował się P. Jezus poświęconemi sobie duszami. Nie wiadomo, jaka nadal będzie Jego Najświętsza wola; bądź co bądź ufać nie przestaniemy, choć czasem ciężko i siły opadają.

Jak już pisałam, jest u nas teraz szpital maltański: dwóch księży, kilkunastu kleryków jezuickich, ośm Dominikanek. Pielęgnują rannych. My mamy chwilowo wakacye od żołnierzy, ale za to mamy trzydziestu kilku rannych cywilnych

od kul i szrapneli, także gorączkowych. Masa ubogich przychodzi o poradę i opatrunek, bo tylko jeden doktor w mieście.

My dotychczas żyjemy jako tako. Moskale zaopatrzyli nas w niektóre wiktuały, wywdzięczając się za pielęgnowanie rannych; ale teraz wszystko już na ukończeniu i bieda zagląda. W polu nic a nic nie mamy. Zboże wypasione, taksamo łąki i konicze. W ogrodzie nic niema, bo straszna posucha, od dwu miesięcy niema deszczu.

Moszczany. *List z d. 29. maja 1915.*

Drżącą ręką piszę do mojej Najdroższej Matki, żeby choć temi paroma słowami dać znać, że żyjemy. Od poniedziałku (24. maja) już jesteśmy oswobodzone od Moskali, ciężkie chwile spędziłyśmy, bo byłyśmy wśród strasznych kul, w koło nas zrobili sobie Rosyanie szańce, więc kule leciały ze strony Rosyan i od strony naszych. Dom nasz pomimo grubych murów drżał cały. Zupełnie przygotowane byłyśmy na śmierć. Wszyscy jednogłośnie powtarzają sobie, że to cud prawdziwy, żeśmy zostały ocalone. Opieka Najśw. Serca Jezusowego i Najśw. Maryi Panny czuwała nad naszym domem. Trzy czy cztery kule wpadły do naszego domu, ale to były karabinowe, a te ogromne kule padały na nasze pola i przelatywały przez dom na folwark. Siostra Eleonora ze strachu umarła, jak były pierwsze walki koło nas, to jest w jesieni. Teraz mamy cały dom zapełniony rannymi. Mieszka tu syn cesarza Wilhelma, który dowodzi. Zajmuje wszystkie pokoje w narożnem skrzydle, gdzie poprzednio mieszkały panie. Siostry dosyć dobrze się trzymają, tylko są bardzo zmęczone pracą, bo nietylko w dzień, ale i w nocy, jak tylko przywiozą rannych, muszą być na ich usługi. Ks. proboszcza zabrali Moskale, ks. Frączkiewicza zbili okrutnie, chcieli go zakłuć kozacy, a ks. wikarego mieli powiesić, lecz cudem Bożym ocalał. Nasz dom to arka Noego, od samego początku wojny wszyscy się chronią do niego, jak grozi niebezpieczeństwo.

Sambor. *List z dnia 13. czerwca 1915.*

Po dziesięciomiesięcznej przerwie wszelkich korespondencyi, byłoby bardzo dużo do opisywania, ale z powodu

braku czasu poprzestanę na krótkiem doniesieniu Najczcigodniejszej Matce, cośmy przeżyły. Przez całe ośm miesięcy mieliśmy Moskali. Czerwony Krzyż zajął szpital od 28. września 1914 i stale przebywał do 13. maja 1915, odsunąwszy pana dyrektora, którego przeznaczyło naczalstwo do baraku cholerycznego, ale on nie objął go, z powodu słabego zdrowia. Nam pozostawiono zarząd nad kuchnią i pralnią, dawano żywność w naturze, a na mięso, mleko i inne potrzeby pieniądze, które jednak prawie zawsze trudno było wydusić, chociaż ciągle się przechwalali, że Czerwony Krzyż jest bardzo bogaty, i przeto nie radzili oszczędzać

Przez dwa miesiące nasze Siostry same pracowały przy chorych, a było ich bardzo dużo, bo nie daleko od nas były walki. Opatrunki i operacye codziennie do późnej nocy się przeciągały.

Po upływie tych dwóch ciężkich miesięcy, przysłano do chorych cztery siostry ruskie. Z niemi już trudniejsza była sprawa, bo praca wszystka, jak przedtem, ciążyła na nas, a one ciągłe skargi zanosiły do naczalstwa, ciągłe podejrzywania i niezadowolenia z wiktu itd., kwitły; dążyły one do tego, żeby nas wydalić, by same mogły objąć cały zarząd. Ponieważ jednak lekarze oceniali pracę naszych Sióstr, więc nie dopuścili, by nas odsunięto od naszych zajęć.

Urządzili też sobie u nas jakby sanatoryum dla chorych sióstr swoich, i jeśli tylko jaka zachorowała albo potrzebowała wypoczynku, nie tylko ze Sambora, lecz i z okolicy, do nas ją przysyłali; dwie nawet były operowane.

Przemęczyłyśmy się więc przez te ośm miesięcy. Na odchodnem kazała władza zabrać wszystkie sprzęty, pościel i bieliznę. Lekarzom to było ogromnie przykro, ale temu zaradzić nie mogli, bo na rozkaz władzy saniteci rzucili się na tę zdobycz z dzikiem zadowoleniem.

Obecnie pozostaje nam wspomnienie po ucisku i już cztery tygodnie pracujemy koło naszych rannych; przez dwa tygodnie było wielkie przepełnienie w szpitalu, teraz już mniej, ale ciężko ranni, bo z innych szpitali tutaj przysyłają

do operacyi. Lekarzy jest sześciu, z tych trzech z Krakowa. Wszyscy bardzo gorliwie pracują.

Po Moskalach został nam spory zapas żywności i opatrunków, co bardzo się przydało, gdy przyszli nasi. — Dyrektora i wielu innych znaczniejszych panów zabrali Moskale, gdy uchodzili ze Sambora, jako zakładników. Pozostał jeden lekarz na całe miasto, a i ten przed dwoma tygodniam umarł na tyfus plamisty — panuje tu bowiem epidemia tyfusu plamistego — tak, że miasto barak otworzyło na pomieszczenie chorych tyfusowych. Najwięcej wypadków zdarza się u żydów. Chorych w baraku pielęgnują Siostry Rodziny Maryi z Łomny.

Komisarz (bo burmistrza niema) żądał, byśmy objęły barak epidemiczny i był bardzo niezadowolony, że odmówiłam jego żądaniu, bo niemożebnem mi było podjąć się tego, gdyż Siostry wyczerpane z sił tylomiesięczną pracą przy Moskalach, a obecnie znowu zajęte bardzo przy naszych rannych; przytem Siostra Poniecka zachorowała na tyfus (dwa tygodnie leży, ale już jej lepiej); Siostra Natalia ledwie chodzi na swych spuchłych nogach, to też bardzo się cieszę, że poczciwe Siostry Rodziny Maryi łaskawie służą tym nieszczęśliwym.

Stryj. *List z dnia 25. czerwca 1915.*

Z wielką radością odzywam się, lecz nie wiem, jakiemi słowy, bo serce ściska się z boleści i radości, że po tak długiem milczeniu mogę te parę słów napisać. Donoszę, że 31. maja weszły do naszego miasta wojska niemieckie i miasto zostało oswobodzone, jednak jeszcze przez dwa tygodnie straszne były walki koło Stryja i zdawało się, że lada chwila się wrócą, tak że już nawet wojsko zaczęło się cofać; lecz mamy w Bogu nadzieję, że już nie wrócą. Wprawdzie i Lwów ma już być wolnym, ale tu koło Mikołajowa jeszcze huk armat słychać.

Donoszę Najczcigodniej Matce, żeśmy te straszne chwile przeszły wszystkie dosyć zdrowo przy obsłudze rannych żoł-

nierzy, których zawsze miałyśmy dosyć dużo, a przytem i cywilnych teraz 50, prawie wszyscy ranni od kul.

Nie da się to tak opisać, jak było rzeczywiście, ale wiem, jak dziękować Bogu za Jego opiekę nad nami, a Marya Niepokalana widocznie nieraz nas swoim płaszczem okryła. Kilka kul wpadło do naszego mieszkania, przez okna do sal, a jedna przebiła szyby i na mojem łóżku weszła do poduszki, ale z ludzi w szpitalu nikogo nie zraniło. Pan Dyrektor przez cały czas wojny był z nami w szpitalu, rodzinę zaś wysłał do Czech, a Czcigodny Ks. Dziekan prawdziwie po ojcowsku się nami opiekował, za co niech mu P. Bóg niebem nagrodzi. Siostry na Przytulisku taksamo wszystko przechodziły.

Lwów. — *Szpital św. Wincentego.*

List z dnia 6. sierpnia 1914.

Dzisiaj musimy żyć nader oszczędnie, bo straszna chwila zaskoczyła nas niezaopatrzonych w zapasy. Przed dwoma tygodniami za resztki grosza zakupiłam kilkanaście cetnarów różnych krup i ryżu, trochę mąki, parę wagonów węgla; to opędzać możemy biedę jakotako. Gdyby jednak wojna długo trwała, to źle byłoby z nami.

W Choderkowcach tylko kilkaset kóp zboża sprzątnięte, reszta się prosi, by żąć i sprzątać, a tu ludzi brak. Zabrano do wojska na razie 14 koni naszych, naturalnie i ludzi. Zamówiono na dalsze wypadki jeszcze 20 koni, to znaczy cały inwentarz. W sobotę zabiorą na razie 18 krów. Trochę zboża cepami młócą, by zemleć na chleb. Ta sama historya w Podborcach. Folwark zostanie tylko w ręku Sióstr.

Dotąd nie dali nam wojska. Wprawdzie nasze gospodarskie ubikacye w szpitalu zanotowali dla koni i żołnierzy, ale dotąd ich nie dali. Szpital zostawiam losowi. Oddać go wojskowości sama nie mogę, bo skąd zapewnię utrzymanie całe? Naszych chorych pousuwać zbyt trudno, mamy ich dzisiaj 63, a nikogo nie przyjmuję. Do Czerwonego Krzyża zgłosiłam jedną salę na 18 łóżek. Gdy jednak zajdzie konie-

czność, a wojskowość zażąda, oddam cały szpital do dyspozycyi.

W poniedziałek nie dostarczył piekarz ani bułek, ani chleba, ani nie dostał nikt kupić. Obraz Lwowa trudno odszkicować. Napływ rezerwistów był do 80 tysięcy ludzi. Wczoraj odjechała artylerya na granicę rosyjską ku Sokalowi. Może za parę dni ubędzie ludności, a Magistrat może ułatwi nabywanie artykułów spożywczych. Tylko dla najsłabszych ukradkiem kupujemy parę bułek. Myśmy reszta na chlebie; oby zawsze mieć go można!

Mamy trochę drobiu, to „od wielkiego dworu“, jak to mówią, będziemy mieli.

Dwustu rezerwistów nocowało w domu ubogich. Dostawali trochę ciepłej herbaty, biedni zgłodniali. Siostry od ubogich rozdają tysiące medalików, jakie tylko miałyśmy zapasy różańców, szkaplerzy, wszystko poszło.

O nic się nie lękam, tylko proszę Boga o pomoc i mocno ufam w opiekę Najśw. Panny. Nasz p. doktor pełni służbę w wojsku, wieczorem do nas przychodzi, dopóki nie wyjedzie na pole bitwy.

W Pijarach tylko przyszło 250 chorych. Brak zapasów żywności dla większej liczby. Biedne Siostry w Kulparkowie bez męskiej służby.

12. sierpnia.

Załączam wyjątek z „Dziennika Polskiego“: „Stacyę wypoczynkową urządził Czerwony Krzyż na głównym dworcu dla rannych, których stan w drodze pogorszył się w ten sposób, że są niezdolni do dalszego przewozu. Stacya ta wyposażona jest wzorowo we wszelkie przybory i personal do niesienia pomocy chorym żołnierzom. Przy stacyi tej urządzono zarazem stacyę ratunkową dla udzielania pomocy żołnierzom, przewożonym przez nasz dworzec. Prowadzenie tych obu stacyi powierzono doświadczonym Siostrom Miłosierdzia, a znana w szerokich kołach naszego miasta Siostra Kazimiera zbiera już obecnie w prywatnych domach wino, koniak, bulion, sok malinowy, herbatę, wodę mineralną itp.,

przeznaczone dla pokrzepienia osłabionych żołnierzy. Powyższe środki orzeźwiające, jak i również datki pieniężne, można pod adresem Sióstr Miłosierdzia odsyłać wprost na dworzec główny, do hali wchodowej". — Tyle „Dziennik Polski".

Chwalą wyposażenie. Biedne Siostrzyska, jak mogły najlepiej, tak urządziły. Mają przydanych 5 żołnierzy i kaprala. Komisya wczorajsza prosiła, by od dzisiaj objąć dyżury; wypadnie i w nocy tam zostawać. Siostry mają pokoik o dwóch łóżkach.

S. Zamysłowska też się ofiarowała z pomocą naszym Siostrom, które, o ile czasu starczy, ćwiczą się w robieniu opatrunków wraz z Siostrami z Pijar. Wszystko rozochocone do niesienia ulgi rannym żołnierzom.

Biedne Siostry w Załoźcach pewno w przestrachu. Jakiś pan przyjechał stamtąd, mówił o napadzie Moskali. Szczęściem, że niecelnie strzelali na naszych.

W tej chwili słyszę, że Sokal w ogniu. To niedobrze! Bóg z nami. Oby nam dał dużo siły. O modlitwę prosimy pokornie.

23. sierpnia.

Nie będąc pewną, czy Siostry z Husiatyna pisały do Krakowa, donieść mi wypada, co dzisiaj mówił mi ks. wikary z Husiatyna, który tej nocy do nas przyjechał. Na Tarnopol niema komunikacyi, zdążył jeszcze na Czortków, Stanisławów. Czy i jakim cudem będzie mógł wracać? Nie wiadomo. Od dwóch tygodni Siostry się nie kładą, miały rannych, tych zabrano do Czortkowa, stąd do Stanisławowa. Są tam same strwożone, w mieście i w szpitalu pustki. Biedaczki! Kiedyś może same opowiedzą i odszkicują swoje wrażenia; szczegółów trudno mi opisywać.

My dotąd, dzięki Opatrzności, jesteśmy pod Jej opieką najświętszą bezpieczne.

Modlimy się za walczących i jesteśmy gotowe do usług potrzebującym. Aeroplany wciąż nad głową warczą, niech ich Bóg strzeże!

27 sierpnia.

Pracy dużo czeka, a siły nędzne. Pijary biedaki wiele pomagają, inaczej nie dałybyśmy rady. Na dworcu od rana do wieczora i w nocy robota, a więcej nas czeka zajęcia z dniem każdym. W szpitalu mamy parę sal już przygotowanych. U Maryi Magdaleny mają kilkudziesięciu infekcyjnych, zatem już nam się nie udzielą. Siostry w Pijarach mają do pomocy SS. Felicyanki. Gdyby z Husiatyna mogły Siostry wyjechać, ale zdaje się o tem ani mowy, przydałyby się bardzo. Nadzieja w Bogu, że jeszcze i na kresach wschodnich będą Siostry bardzo potrzebne. Trudno się gdzie dostać mimo legitymacyi, pociągi dla celów wojskowych wyłącznie. Nie chcę biadać, boć to nie pomoże, w głowie chaosu nie mało. Zazdroszczę tym, co mogą łatwo dostać się do Krakowa i sprawy omówić.

Trzymamy się wszystkie na nogach, nawet S. Cecylia jeździ na dworzec; ja co drugi dzień tam zaglądam.

Od początku września do końca czerwca, z powodu zalewu rosyjskiego, komunikacya z Siostrami we Lwowie i dalej na wschodzie zupełnie była przerwana. Okrężną drogą dawały znać, że żyją i przeciążone są pracą.

Białykamień. *List z dnia 12. sierpnia 1914.*

Dzisiaj pierwszy dzień spokojniejszy mamy od czasu, jak ostatni list pisałam do Najczcigodniejszej Matki, to też korzystam z tej sposobności, by kilka słów skreślić, donosząc o naszem tu położeniu niebezpiecznem, gdyż w razie napadu nieprzyjaciela tutaj staczać się mają walki. Tymczasowo oczekiwania, a wszystko w pogotowiu na zawołanie. U nas stoi cały sztab z jenerałem na czele, codzień mamy na śniadaniu, obiedzie i kolacyi około 40 osób starszyzny wojskowej, która śpi w tem skrzydle, gdzie szkoła gospodarcza; całe podwórze pełne wojska, wszystkie stajnie zajęte końmi, a nasze bydło na pastwisku musi biedować.

Siostry ze szkoły pomagają w kuchni i usługują w pokoju gościnnym. Panowie ci umieją oceniać poświęcenie

Sióstr i starają się nam o rozmaite ulgi. I tak wzięto nam lepsze konie do wojska, lecz zostawili nam dwa konie swoje, które się pokaleczyły i muszą się leczyć, zakazali wojsku kradzieży na polu naszem i podwórzu; dzisiaj przynieśli do kuchni worek mąki, grochu, kawy i kilka kilo cukru, prosząc, byśmy przyjęli dla ubogich. Dom nasz dzisiaj to kasarnia; ustawiono patrol, wyjazdy wojska, powrót, a do $12^1/_2$ w nocy furta musi być otwarta, bo wraca straż z nad granicy i składa raport jenerałowi. W tej chwili, doniesiono mi, że wraca patrol i mają ze sobą jeńca kozackiego, którego za chwilę zobaczymy. Nieprzyjaciel zbliża się. Stare Założce podobno spalili, a Siostry nasze dotąd zupełnie spokojne. Olejów cztery mile od nas zajęty został przez Kozaków. W Złoczowie popłoch, wyjeżdżają ludzie na wszystkie strony, nie chcąc się spotkać z wrogiem, który wszędzie pali i niszczy wszystko. My tutaj wszystkie ufamy niezmiennie w opiekę Najświętszej Panny i w zupełnym spokoju wszystko się robi w polu i w domu. W braku robotnika żydzi przyszli pomagać; w polu zbierają i pracują, z nadzieją, że jak się nieprzyjaciel zbliży, wszyscy u nas się ukryją. Ogólne jest mniemanie, że w razie niebezpieczeństwa u nas wszyscy będą bezpieczni, to też garną się, by sobie zapewnić kącik u nas na czarną chwilę. Uspokajam jak mogę każdego i zapewniam, że w razie napadu mogą się schronić, o ile same bezpiecznemi być możemy.

W tym czasie niepokoju i postrachu prosimy pokornie o św. modlitwy, Matko Najczcigodniejsza, tylko nas P. Bóg obronić może.

20. sierpnia.

W tej chwili wróciłam ze Złoczowa, gdzieśmy pojechały umyślnie, by odwiedzić rannych żołnierzy, których jest już około 200, leżą w gimnazyum, obsługiwani przez młodzież gimnazyalną. Rozdałyśmy im trzy pudła biszkoptów i pokrzepienie, na jakie nas stać. Tam właśnie mówiłam z rannym, który był w potyczce pod Założcami; opowiadał, że Trościaniec spalony, a Siostry z dziećmi ze Załoziec uciekły w cza-

sie napadu, a kiedy kozacy zostali przez naszych wyparci z miasta, Siostry wróciły, gdyż klasztor nie był naruszony, o ile tu jest prawdy, bo rozmaicie ludzie mówią, no ale to naoczny świadek, który mówi, że po bitwie 8 rannych leżało w szpitalu Sióstr naszych, a stamtąd dopiero w kilka dni odwieziono ich do Złoczowa. Dzisiaj straszliwa panika w Złoczowie, gdyż alarmują, by się starostwo wyniosło ze swymi papierami, poczta również ostatni raz funkcyonuje, wszystko się pakuje i ucieka, bo nieprzyjaciel blizko, a naszego wojska niema nic; myśmy się również spieszyły, by do domu wrócić. Siostry w szpitalu złoczowskim nie mają jeszcze rannych, tylko 40 chorych cywilnych.

Siostry zdrowe i oddane woli Bożej. Myśmy również opuszczone, wszystko zostało wezwane alarmem do Brodów, gdzie Moskale pustoszą ogniem i mieczem, ale nasi ich tam dobrze biorą, miałyśmy już tutaj dwa razy jeńców moskiewskich, którzy się niezmiernie cieszyli, że się dostali do Austryi, lecz straszny był widok szpiega moskiewskiego, którego przyprowadzono na stryczku i powiedziano mu na korytarzu: „będziesz jutro wisiał na gałęzi“; potem go skrępowano sznurami i rzucono na wóz i odwieziono do Sassowa. Tak smutne miałyśmy widowisko; obecnie w domu cisza, a my dalej przygotowujemy szpital, gdyż nam mówił p. fizyk, że wkrótce dostaniemy chorych, więc Siostry zaopatrują się, aby naszym rannym dobrze u nas było.

Błagamy o modlitwy, gdyż nie wiemy, co za chwilę stać się z nami może. Jesteśmy w samem centrum niebezpieczeństwa, ale Bóg z nami, niech się dzieje Jego Wola Najświętsza.

20. sierpnia.

Jak powiadają, dziś ostatnia poczta stąd odejdzie, bo podobno Złoczów ze swoją pocztą się wybiera. Okropne tam panuje zdenerwowanie, panika przed kozakami, których wciąż fałszywe alarmy moskalofilów zapowiadają. Przyszłość okaże, o ile te obawy były słuszne. Z dnia na dzień, z godziny na

godzinę możemy się czegoś spodziewać; ufamy jednak w opiekę Matki Najświętszej.

Biedne Założce już przeszły cięgi. Najrozmaitsze dochodziły nas wiadomości o Siostrach.

Modlimy się duszą całą o zwycięstwo naszej armii i ufamy, że Bóg dobrej sprawie da zwyciężyć. Wojska od nas już wymaszerowały. ·

Prosimy najpokorniej o modlitwy, których nam bardzo potrzeba.

Dotąd rannych, których pielęgnowanie nie małą byłoby dla nas pociechą, nie mamy; obecnie przygotowujemy wszystko dla chorych, by im było u nas jak najlepiej.

2. stycznia 1914.

Pragniemy złożyć życzenia najserdeczniejsze i dać znak życia o sobie, jako dowód, że myślą i sercem jesteśmy złączone. Dzięki szczególnej opiece Matki Najśw., dotąd nie najgorzej wyszłyśmy z całej zawieruchy wojennej. Nasi księża tak tutaj jak w Milatynie przy życiu i zdrowiu.

Tarnopol. *List z dnia 27. marca 1915.*

Podobno tam wszyscy bardzo się o nas kłopoczą. Ja już dawno miałam ochotę napisać, ale się nie spieszyłam, teraz próbuję na adres podany przez Rumunię. Otóż więc żyjemy wszystkie w poblizkich domach i zdrowe jesteśmy, nic nam się złego nie stało. Oko Boże czuwa nad nami, szczególniej tu u nas jakby wojny nie było. Utrzymujemy się z chorych samopłacących i otrzymujemy od gubernatora zaliczki na ubogich; chorych mamy zawsze około 100. Jest nas 8. Kartkę do Stanisławowa dziś wysyłam, ale nic nie wiemy, co się tam dzieje. Od czasu do czasu odwiedzają nas Siostry z Czerwonogrodu i Załoziec; S. Zientak pisała także kilka razy; od niej miałyśmy list noworoczny i wiadomości z Paryża w swoim czasie. Proszę więc nie martwić się nami, może Bóg da, że bez szkody przeżyjemy wszystko. Tylko Siostry z Husiatyna miały zaraz z początku komiczne przygody; a teraz żyją jak mogą. Opiekuje się niemi pro-

boszcz tamtejszy, względnie zastępca, bo proboszcz umarł w tym czasie.

Śniatyn. *List z dnia 24. kwietnia 1915.*

Listy obydwa otrzymałam. Pierwszy trzy tygodnie szedł, drugi dwanaście dni. O, jak bardzo ucieszyły nas te listy Najczcigodniejszej Matki, oddawna bowiem z upragnieniem wyglądałyśmy wiadomości. Może P. Bóg zmiłuje się i skróci tę straszną wojnę, wszyscy tego pragną.

Od Siostry mojej (w Zaleszczykach) i ich domu, pomimo że ciągle dopytuję się, żadnej wiadomości od października nie miałam. O innych także nic nie wiemy. Zdawało się z początku, że Śniatyn na uboczu nie zobaczy nic, a tu przeciwnie, bezustanny ruch, widowisk przeróżnych dosyć, a i szpital przy rozstajnych drogach, będzie co opowiadać.

U nas z łaski Boga Siostry dosyć zdrowe, trzymają się, mimo pracy i ciągłego ruchu, bo przywożą i odwożą. Mamy rannych i wewnętrznych chorych, tyfusów dużo. Lekarzy czterech, jeden chirurg z kliniki lwowskiej.

Wydział krajowy polecił, by urząd podatkowy z Kołomyi tytułem zaliczki wypłacił na utrzymanie szpitala 1000 K. Jutro jadę po to.

Kołomyja. *List z dnia 4. sierpnia 1914.*

Nie odzywamy się, bo znane są obecne stosunki nasze Najczcigodniejszym Przełożonym. Żyjemy w ciągłej niepewności, co z nami będzie. Modlimy się za tych, co cierpią, a siebie oddajemy Bożej opiece. Lekarzy nam zabrali, został się sam dyrektor, przeznaczony również na dworzec, jest przy odbiorze wojska. Inspektor Müller został przeznaczony do wojska do Kołomyi.

Dał nam pewne rozporządzenia, prawdziwie z życzliwością, ażebyśmy zawczasu postarały się o różne zapasy na czas niepewny. Mamy dostać pieniądze, bo dostawcy nie chcą kredytować. Chorych biedaków sam powydalał. Zostały tylko same kaleki, którzy wyjść już nie byli w stanie. Szpital ma być w pogotowiu na rannych.

Za wielkiem staraniem Wydziału krajowego p. Müller został odwołany do Lwowa. Dziś był u nas kapitan, aby umieścić żołnierzy na tyfus plamisty, lecz p. Dyrektor bronił się i nie przyjął. W takim razie musielibyśmy szpital zamknąć dla innych chorych. Obawiają się cholery, bo już panuje dyzenterya i choleryna. W mieście zamieszanie, popłoch, zdenerwowanie ogólne i płacz, jak wszędzie. Na rekolekcye maryampolskie niema co liczyć pewnie, bo miały Siostry jechać. Mamy ciągłe rekolekcye w tych ciężkich dla kraju czasach. Dotąd jeszcze nic złego nam się nie stało, ale płaczemy razem z naszymi drogimi. Niema dnia, byśmy nie zapłakały z biednemi dziećmi i matkami, patrząc na te pożegnania jakby na śmierć.

20. marca 1915.

Przez pięć miesięcy byli u nas Moskale. Rozmaicie nam było. Opatrzność Bożą nad nami mieliśmy na każdym kroku, szczególnie przy zdobywaniu Kołomyi, i pomoc Matki Bożej przez Cudowny Medalik. Dzięki Bogu Siostry dobrze się trzymają, pomimo przesilenia pracą. Obecnie przebywa u nas grupa chirurgiczna prof. Rutkowskiego z Czcig. Ks. Witaszkiem. Chorych rannych mamy koło 200, a codzień świeży transport przybywa. Przez dłuższy czas mieliśmy tyfusy, obecnie samych rannych. Cieszymy się pomimo wielkiego zmęczenia, że możemy coś pomódz tym biedakom. Na naszą uroczystość w tym roku będzie całem przygotowaniem praca przy chorych. Tłómaczymy sobie, że to P. Bóg przyjmie za wszystkie ćwiczenia. Byłyśmy w obawie o Kraków, dopiero nas Ks. Witaszek uspokoił.

O Siostrach w sąsiedztwie dokładnych wiadomości nie mamy. O ile się słyszy, również opieka Boska była nad niemi. Mamy w Bogu nadzieję, że znów nastaną miłe czasy. Nowenny ciągle odprawiamy i gorąco modlimy się, aby Pan Bóg wrócił nam czas spokojny.

9. maja.

Zapewne Najczcigodniejszy Ojciec moje milczenie uwzględni w tych ciężkich czasach, że taka trudność z listami, to

i nie ma się ochoty pisać. Nie jest się nawet pewną, czy list dojdzie. Zapewne od jakiegoś czasu miał Najczcigod. Ojciec wiadomości o naszym domu. Dzięki Bogu, Opatrzność Boża zawsze nad nami czuwała. Byłyśmy nawet narażone na niebezpieczeństwa. Matce Najświętszej od Cudownego Medalika mamy do zawdzięczenia, że się nam nic złego nie stało. Przy sposobności wszystko ustnie opowiem. Daj Boże, aby to już prędko nastąpiło, bo już okropnie przykrzy się to odosobnienie, a ciężko żyć samym. Pan Bóg i tak na nas łaskaw, bo nam zesłał kawałek Krakowa, a szczególnie księdza Witaszka Mamy wielką pomoc w tym czasie, szczególnie duchowną i dobrą radę w różnych kłopotach, jakie są obecnie. Nie umiem Bogu dosyć dziękować za tyle dobrodziejstw. Oby to tak było aż do końca, ale nic tam z tego. Zapewne bliżej jak dalej mają zamiar nas opuścić. Jesteśmy zbudowane z całej tej grupy. Jakie poświęcenie! począwszy od głowy. Ks. Witaszek odprawia nam codziennie majowe nabożeństwo, na którem obecną jest cała grupa. Wszystko w zgodzie pracuje, jedna i druga strona; wszystko razem chętnie się poświęca, aby nieść pomoc tym biedakom.

W drugiej połowie maja z powodu naporu armii rosyjskiej cofnął się front bojowy tuż pod Kołomyję. Grupa chirurgiczna przeniosła się do Körözmezö na Węgry. Ks. Witaszek wyjechał z Kołomyi 13. maja. W dniach 20. i 21. maja dla Kołomyi najcięższe chwile. W tym czasie piszą Siostry z Kołomyi do ks. Witaszka:

„Już nad głową zło. Nie wiem, od czego zacząć. Połowę opowiedzą naoczni świadkowie katastrofy. Nie da się opisać huku granatu, który wpadł do nas przez okno. Cała sala operacyjna zniszczona, a także piwnica z wiktuałami pod gruzami. Udało się nam nieco oczyścić. Tę salę zajmowała pani radczyni, której mąż uwięziony przez Moskali. Przed chwilą była w tym pokoju wraz z całą rodziną z dziewięciu osób złożoną. Krótko przed katastrofą był ks. kapelan woj-

skowy i mówił nam, że ta strona niebezpieczna. Przestraszona wyprowadziłam to państwo stamtąd. Byliby śmierć ponieśli wszyscy. Nad tym pokojem jest dormitarz Sióstr. Były tam wtenczas trzy Siostry. Dwie tylko próg przestąpiły. Drzwi zostały wysadzone. Firanki pospadały, podłoga nadwyrężona. Jedna Siostra została na dormitarzu, nie zdążyła przejść, tylko zemdlała na chwilę. Te, które wyszły, upadły na korytarzu. Wyraźny cud opieki Matki Najświętszej od Cudownego Medalika. Schroniło się u nas sto osób do piwnicy, i dotąd tam mieszkają, bo granaty dzień i noc świszczą nad głową. Trudno tym biedakom odmówić schronienia. Za to nas Opatrzność Boska chroni.

„Dzieci cały dzień klęczą w ogrodzie pod figurą Matki Najświętszej i mówią różaniec. Jeszcze śpimy, a naród już klęczy. Mamy dwie msze św. codzień, a wszyscy są na nich. Podziwiają wszyscy cudowną opiekę Matki Bożej, nawet wojskowi. Ani jedna osoba nie zginęła dotąd, a rozbite granaty i szrapnele dzieci zbierają w ogrodzie, a codzień nowe przynoszą. Rozdrażnienie jest ogólne, trudno zapanować nad sobą przy takiej kanonadzie. Najgorsze noce.

„Co się tyczy wiktu, to w Kołomyi nic nie można dostać, choć pieniądze są. Najgorzej, że chleba niema ani mąki na chleb.

„Z domu nikt nie wychodzi, bo nie wiadomo, kiedy kule zaczną świstać. Nie spodziewała się biedna Kołomyja, co ją spotka. A kiedy się to skończy?“

Ks. Witaszek pisze z Körözmezö dnia 24. maja:

Poczuwam się do obowiązku, aby donieść choć kilka słów o Siostrze Gabryelewicz, którą pożegnałem 13. b. m. Chętnie pojechałbym ją odwiedzić, ale to jest niemożliwą rzeczą. Zbyt tam gorąco. Gazownia w powietrze wyleciała, domki okoliczne się palą, a nadewszystko przeraźliwemi są granaty i szrapnele. W ratusz padły dwa granaty. Szpitalowi nic się dotąd nie stało i w Bogu nadzieja, że nic się nie stanie, bo na górce położony, a stąd widoczna chorągiew

Czerwonego Krzyża. Największą troską, jak sądzę, jest kwestya wyżywienia domu. Chorych, o ile możności, wszystkich transportowano.

List ks. Witaszka, pisany z Delatyna z dnia 1. czerwca.

W niedzielę otrzymałem list przez okazyę od Siostry Przełożonej Gabrylewicz z Kołomyi, który natychmiast przesłałem Księdzu Wizytatorowi bez żadnego objaśnienia z mej strony. Ponieważ obawiam się, czy doszedł, więc piszę kilka wiadomości o niej, zaczerpniętych od naszych wysłańców, którzy tam byli po resztę niezabranych rzeczy, należących do Czerwonego Krzyża. Siostry wszystkie trzymają się dobrze, nawet S. Józefa pomaga przy opatrywaniu chorych i biednych. Szpital cały w Kołomyi zamienił się w schronisko uciekinierów. Żywności mają narazie trochę, bo nieco się zaopatrzyły, a także księża i ludzie, co mieli swego, przynieśli i tak wszyscy się dzielą tem, co mają. Kupić nic nie można, a zresztą nikt się na mieście nie pokazuje z bojaźni przed pociskami. Pieniędzy mają poddostatkiem, bo spłacono za dawne i dano 10.000 zaliczki.

Chociaż szrapnele padają na podwórze, do ogrodu, to dotąd jeszcze ani jedna osoba nie była zranioną. Wszyscy przyznają to nadzwyczajnej opiece Matki Najświętszej, bo wszyscy noszą na sobie Cudowny Medalik i modlą się pod figurą Matki Najświętszej stojącą w ogrodzie. Dwie kulki szrapnelowe wpadły także przez okno do sali operacyjnej na I. piętrze, lecz nawet szyb nie potłukły, tylko zrobiły malutkie okrągłe otwory; dach zato, a raczej dachówki znacznie podziurawione. Zdaje się, że oswoili się już wszyscy z hukiem dział i padającymi pociskami, bo dzieci zbierają kule i resztki szrapneli padających na podwórze, a Siostra Gabrylewicz umieściła dwa puste szrapnele na ołtarzu w kaplicy jako wazoniki. Tak więc opieka Matki Najśw. nad całym domem spoczywa. Siostra Gabrylewicz prosi, abym o tem napisał do Ks. Wizytatora i polecił ją modlitwom. Siostra

Grabowska (w Śniatynie) znajduje się w tych samych warunkach, choć konkretnych wiadomości o niej nie mam.

Bawię obecnie w Delatynie już od poniedziałku dnia 31. maja. Pobyt tu bardzo interesujący, gdyż obserwuję ćwiczenia wojskowe. Przedewszystkiem interesujące są pękające szrapnele i pukanie karabinów maszynowych. Przez okazyę przysłała mi Siostra Gabryelewicz kawałki granatu, który wpadł do szpitala; był to granat 15 cm. Na razie nie mogę osobiście do Kołomyi pojechać, choć nie jestem zbyt daleko, musiałbym jednak bardzo okrążać, bo prosta droga, z powodu wiosennych opadów, niemożliwa.

List ks. Witaszka z dnia 16. czerwca.

Siostrę Gabryelewicz wraz towarzyszkami zastałem w Kołomyi przy zupełnem zdrowiu — także wszystkich domowników. Najwięcej wycieńczona jest Siostra Gabryelewicz, ale udaje zucha, ani słyszeć nie chce o spoczynku. Siostra Józefa powróciła do całkowitego zdrowia i jak przedtem, tak i teraz pracuje przy chorych. Opatrzność Boża czuwa nad tym domem widocznie; choć tylu biedaków znalazło tu przytułek i pożywienie, nie zabrakło pokarmu; choć grady kul padały, ani jedna osoba nie doznała zadraśnięcia. W niedalekiej odległości, bo 20 kroków, są dziury od granatów, szrapnele padały na ogród i podwórze, pękały nad dachem, dziurawiąc tylko dachówki. W sali opatrunkowej naprawiają podłogę, muszą więc zerwać resztę sklepienia i dać nowe trawersy, postawić nowy piec, wstawić nowe drzwi i okna, stare futryny wstawić w dawne miejsce i umocnić, na dormitarzu Sióstr powykrzywianą podłogę wyprostować.

Księdzu Czwaczce zabrali Moskale wszystką bieliznę, ubrania i narzędzia stołowe, a także trochę kuchennych; wino wszystko pilnie ukryto. Z kościoła wynieśli wszystko, co mieszkańcy wsi tam poznosili, to jest pierzyny, ubrania, obrazy etc.; wszystkie drzwiczki pozamykane pootwierali gwałtem i, co tam było, pozabierali: świece, ornaty, bieliznę kościelną, kielichy, monstrancye, puszki próżne, bo Sanctis-

simum ksiądz spożył, piszczałki organowe nawet pokradli. Obrazów zaś i ołtarzy, jakoteż ławek i chorągwi nie tknęli. W mieszkaniu także mebli, obrazów, szaf etc. nie połamali. Wieś cała w gruzach, zostało tylko 15 domów.

Widok nad wyraz bolesny, gdy widzi się mieszkańców stojących ze łzami w oczach na gruzach swych mieszkań, gdy widzi się krówkę i konia, przywiązane do półopalonego słupa...

* * *

Z innych domów nie otrzymaliśmy dotychczas żadnej wiadomości z czasów najazdu nieprzyjacielskiego. Były listy od Sióstr z Czortkowa, z Brzeżan, Budzanowa i Maryampola, ale jeszcze z sierpnia, zanim te domy ogarnął nieprzyjaciel. Donoszą o zbliżaniu się wojsk, o pielęgnowaniu chorych lub o usługach, oddawanych wojskom zdążającym na plac boju.

Kraków, w lipcu 1915 r.

Z Ameryki Północnej.

Misye dawane przez księży Janowskiego i Ściskalskiego w r. 1913.

Nasza gromadka misyjna, złożona z pięciu księży, miała w roku 1913 dużo zajęcia. Według potrzeby pracujemy to w trzech, to w dwóch lub nieraz w pojedynkę. Z początkiem września udzielaliśmy misyi z ks. Marcelim Słupińskim w mieście Olean, w stanie New York. Po kilku dniach wypoczynku odprawiliśmy znów misyę na farmach w South Deerfield, w stanie Massachusetts.

Nie będę o tych dwóch misyach wspominał, gdyż zostały podane już do „Roczników".

Po ostatniej misyi rozjechaliśmy się w różne strony. Ks. Słupiński podążył na inne pole pracy, ja znów miałem jeszcze w tym miesiącu odprawić czterdziestogodzinne nabożeństwo w Burlington N. J. (New Jersey), a następnie przygotować ludzi do sakramentu Bierzmowania w Manchester N. H. (New Hampshire), w najbardziej na północ wysuniętej polskiej parafii w stanach wschodnich.

Mt. Carmel Pa. — W tym roku czekała nas jeszcze praca w czterech miejscach. Najpierw mieliśmy odprawić misyę w Mount Carmel Pa. Wprawdzie była tam misya dwa lata przedtem. Z powodu jednak jubileuszu pragnął tamtejszy ks. proboszcz ludzi lepiej przygotować na to; w tym celu zaprosił dwóch naszych misyonarzy.

Podążyłem więc przez Boston, New Haven, New York i Filadelfię koleją wzdłuż wybrzeża Oceanu Atlantyckiego. Jest to jedna z najbardziej uroczych okolic Stanów Zjednoczonych. Przed oczami widza przesuwa się wspaniała panorama z widokami na ocean, zasiany licznemi wysepkami. Raz pociąg przemyka wzdłuż samego wybrzeża, bałwany morskie zdają się dotykać kół wagonów. To znów wjeżdżamy niby w las dziewiczy; są to zarośla, których nie brak na całem wybrzeżu. Co kilka minut otwiera się nowy widok, raz zatoka morska, to znów las lub skaliste urwiska. Niekiedy głuchy huk pociągu świadczy, że wjeżdżamy na jeden z mostów żelaznych, których i na tej linii znajduje się bardzo wiele.

O ile krajobraz uroczy, przeznaczony więcej na letniska, o tyle brak farm. Zaledwie tu i ówdzie wyłonią się budynki farmerskie, a obok kawał ziemi, na której las wykarczowany. Liczne skały sterczące świadczą, że tu nie może być mowy o prowadzeniu gospodarstwa na szerszą skalę. Siano i kukurudza to główne płody tych okolic. Zato blizkość oceanu i ilość znaczna dogodnych zatok pozwoliły na zakładanie fabryk. Przemysł i handel to główna cecha stanów, stanowiących t. zw. Nową Anglię. Łatwość zarobku ściąga tu dziś najwięcej emigrantów z Europy. Stąd polskie parafie wyrastają jak grzyby po deszczu. Wśród pasażerów panował ruch ożywiony. Każdy chwytał gazetę, aby dowiedzieć się bliższych szczegółów o nowem wykolejeniu się pociągu. Oburzenie na linię kolejową, zwaną New York, New Haven, Hartford, było ogólne. Jeszcze nie minęło wrażenie niedawnej katastrofy niedaleko New Haven, gdzie dużo ludzi utraciło życie. Właśnie dzień przedtem było nowe wykolejenie niedaleko New London, podczas którego, na szczęście, nikt nie zginął, lecz coś dziewięć osób odniosło pokaleczenia. Był to czwarty wypadek na tej linii w ostatnich dwóch latach.

Nasz pociąg szczęśliwie dojechał do New Haven, gdzie przenocowałem u Konfratrów, aby nazajutrz puścić się do

Filadelfii. Stąd udałem się do Mt. Carmel koleją Pensylwanią.

W mieście Sunburg musiałem poczekać na inny pociąg, idący do Mt. Carmel. Wysiadłszy z wagonu, spotkałem ks. Ściskalskiego, który spieszył również z Erie. Odtąd razem odbyliśmy dalszą podróż. Już ciemno zrobiło się, kiedy konduktor swym monotonnym głosem zapowiedział następną stacyę Mt. Carmel: „all change“. Był to znak, że ten pociąg dalej nie idzie. Rzeczywiście Mt. Carmel leży nieco na boku od głównej linii kolejowej. Ukryte ono wśród gór Alleghany, na znacznej wyniosłości. Należy do miast nieco starszych, jak świadczy jego wygląd. Jest bardzo schludne, posiada ładne, szerokie ulice, a co najważniejsza, czysto utrzymane, czego nie można powiedzieć o innych miastach majnerskich.

Miasto, jak i Polonia tamtejsza znane mi już były dobrze, gdyż dwa lata przedtem chodziłem tu po kolekcie.

Początek tego miasta datuje się od odkrycia wielkich pokładów węgla. Nazwę dała mu pewna pani niekatoliczka, właścicielka tych obszarów górskich. Dziś liczy około 30.000 mieszkańców, należących do rozmaitych narodowości. Wystarczy wspomnieć niektóre kościoły, a czytelnicy mieć będą wyobrażenie o składzie narodowości, rozsiadłych po rozmaitych miastach amerykańskich, a w szczególności w miastach górniczych. Polacy mają tu dwie parafie, z ogólną liczbą ludności 6 do 7 tysięcy. Rusini mają dwie, jedna unicka, druga prawosławna. Również Słowacy mają dwie parafie, katolicką i kalwińską.

Litwini mają jedną, dość dużą. Od pewnego czasu posiadają nawet własną szkołę, w której uczą własne ich zakonnice. Nawet Włosi posiadają ładny kościół. Jest to rzecz dość dziwna, bo ten naród nie kwapi się z budową kościołów swoich. Choć to naród katolicki, niestety, tu w Ameryce mało dba o wiarę, a tem bardziej o łożenie ofiar na kościoły i szkoły katolickie. Irlandczycy posiadają tu wprawdzie jedną tylko parafię, ale za to liczną.

Polonia tutejsza składa się z wychodźców ze wszystkich trzech zaborów. Do pierwszych zaliczają się z pod Prusaka; ci utworzyli parafię św. Józefa w r. 1873. Parafia ta liczy zaledwie trzystakilkadziesiąt rodzin. Za to posiada własny, ładny, murowany kościółek i własną szkołę. A co najważniejsza cała własność kościelna wolna jest od długów.

W ciągu tego czasu przechodziła parafia ta smutne koleje, podobnie jak działo się w innych miastach. Kilkunastu proboszczów rządziło tą parafią. Niektórzy zaledwie przebywali tu parę miesięcy. Jeszcze dziś widać miejsce w parafii, gdzie parafianie podkładali dynamit, aby zmusić swego pasterza do opuszczenia ich. Obecnie panuje tu spokój, dawny żywioł burzliwy częścią już wymarł, a w części się ustatkował.

Młodsza emigracya skupia się przy drugiej parafii, położonej po drugiej stronie miasta pod opieką N. Maryi P. Pocieszenia. Początek jej sięga zaledwie r. 1897. W tym czasie liczyła około 150 rodzin i ze 300 pojedynczych osób, zwanych tu pojedynakami. Pierwszym zaś proboszczem był ks. B. Tomiak. Podczas swego trzechletniego pobytu tutaj, cichy a pracowity ten kapłan zrobił wiele dla podniesienia Polonii. Zakupił duży dom, w którym urządzono na razie szkołę i kościół, również zakupił dom na plebanię. Po wyjeździe ks. Tomiaka znów w przeciągu trzech lat bawiło tu czterech proboszczów, każdy z nich po kilku miesiącach opuszczał to pole pracy. Nawet raz przez całe siedm miesięcy Polacy pozbawieni byli zupełnie kapłana. W tym czasie zarządzał tą parafią proboszcz irlandzki.

Dopiero w r. 1903 od listopada objęli zarząd nad tą parafią OO. św. Ducha, do których należała już druga polska parafia. Od tego czasu datuje się jej rozwój.

Pierwszym proboszczem zakonnym był ks. Władysław Alachniewicz, człowiek miły w obejściu i pracowity. Zyskał sobie wkrótce serca parafian. Od samego początku swego pasterzowania począł myśleć o nowej świątyni, któraby mogła pomieścić ciągle wzrastającą ludność. I dokonał ładnego dzieła. W ciągu trzech lat wystawił wspaniały kościół z ka-

mienia, o potężnych dwóch wieżach, który dziś jest największym i najokazalszym w całem mieście.

W r. 1906 posłali go przełożeni na misyę między murzynów do Afryki, a jego miejsce zajął ks. Michał Retka.

Nowy ten kapłan, choć urodzony w Ameryce i nigdy nie uczęszczał do szkół polskich, włada jednak biegle językiem polskim, a nawet raz po raz pisuje artykuły do gazet polskich. Przytem władając biegle językiem angielskim, stara się o podniesienie Polonii w mieście, przez urabianie wśród Amerykanów opinii o Polakach, lub przez podniesienie poziomu wykształcenia w szkole parafialnej. Widać, że praca jego nie poszła na marne, skoro dzieci polskie po opuszczeniu szkoły parafialnej nie są umieszczane w niższej klasie w szkole publicznej. Gorliwie pracuje nad podniesieniem moralnem swych parafian. A praca to oczywiście trudna. Znaną bowiem jest rzeczą w całej Ameryce, że majnerzy mocno piją, a jeszcze mocniej przeklinają. Zdaje im się, że majner nie może obyć się bez pijaństwa, inaczejby umarł z powodu swądu i kurzu. Sami też ludzie przyznają, że jedną z głównych przyczyn wypadków nagłej śmierci w kopalniach są sami górnicy, gdyż idą nietrzeźwi do pracy lub nie są obeznani ze sposobem dobywania węgla.

Nasi Polacy lubią jednak tę pracę, bo jak mówią, dobry jest zarobek w kopalni, 4 do 5 dolarów dziennie, a potem nikt im nie rozkazuje, swoje zrobią i idą, kiedy chcą, do domu. Niedziwota, że lud ciągnie gromadami w strony majnerskie.

Temu należy też przypisać prędki wzrost parafii pod wezwaniem N. Maryi P. Pocieszenia. Obecnie liczy około 500 rodzin i około 800 dzieci w wieku szkolnym. Prócz tego znajduje się około 400 kawalerów i „słomianych wdowców“, których żony pozostały w Europie.

Wprawdzie przed dwoma laty była tu misya. Jednak ks. proboszcz pragnął i w tym roku urządzić rodzaj misyi, aby przygotować ludzi do godnego przyjęcia odpustu jubileuszowego.

Pierwotnym jego zamiarem było urządzić tryduum, a potem 40-godzinne nabożeństwo. Skorośmy się jednak rozglądnęli na miejscu i obliczyli czas, ulegliśmy natarczywym prośbom ks. proboszcza i urządziliśmy regularną misyę, wspólną dla wszystkich stanów przez dni dziesięć.

Ks. proboszcz ogłosił ludziom, że już w sobotę wieczorem będzie miał misyonarz naukę; chciał przez to odciągnąć ich nieco od pijaństwa, które w sobotę, jako w dzień wypłaty, zawsze ma miejsce. Dość dużo narodu zebrało się w kościele.

Nasz pociąg tymczasem jeszcze nie nadszedł do Mt. Carmel. Z wielkiem zdziwieniem ujrzeliśmy ks. proboszcza na dworcu, niedaleko położonego od kościoła, który w sutannie z gołą głową przywitał nas i oznajmił, że ludzie czekają na nas w kościele. Niekoniecznie miła to rzecz po dość długiej podróży wchodzić zaraz na ambonę. Ale cóż było robić? Trzeba było pokazać się ludziom i powiedzieć naukę.

Odtąd zwykłym porządkiem szła misya. Lud garnął się na kazania i do spowiedzi bardzo gorliwie. Praca szła raźno, bo lud już wyrobiony, a przytem mieliśmy pomoc od księży miejscowych i okolicznych. Obydwaj księża miejscowi, jako też z drugiej parafii pod wezwaniem św. Józefa, codziennie gorliwie pomagali w spowiedzi. Tak samo OO. Franciszkanie ze sąsiedniego Shamokim codziennie posyłali jednego ze swoich do pomocy. Ogólnie wyspowiadało się 2 300 osób.

Urządziliśmy błogosławienie dzieci, które zrobiło bardzo miłe wrażenie na księżach i ludziach.

Nadmienić muszę, że lud zapisywał się chętnie do Różańca św. i bractw szkaplerznych, a szczególnie do Stowarzyszenia Cudownego Medalika. Również woda św. Wincentego rozeszła się w wielkiej ilości. Gorliwość ta w przyjmowaniu zwłaszcza cudownego medalika miała swój powód w licznych wypadkach nieszczęśliwych, które przytrafiają się tam prawie codziennie. Kopalnie amerykańskie znane są na cały świat z licznych katastrof. Więcej cenią sobie utratę muła, aniżeli człowieka. Utarło się już wyrażenie: muł ko-

sztuje najmniej 200 dolarów, a w miejsce jednego majnera zgłosi się dziesięciu darmo. W samem Mt. Carmel prawie co druga rodzina opłakuje kogoś z drogich osób. Nie brak tu niewiast, które po trzeci i czwarty raz wyszły za mąż, bo pierwsi mężowie zginęli przy pracy.

Na kilka tygodni właśnie przed naszym przyjazdem zdarzył się ciekawy wypadek. Oberwała się góra węgla w podziemiach i przysypała kilku ludzi. Po wielkich staraniach wydobyto wszystkich żywych. Brak było tylko pewnego Polaka. Po długich poszukiwaniach, przyszli do przekonania, że część korytarza jest nie zasypana. Poczęto wiercić w rozmaitych kierunkach, aby natrafić na nową część wolną i wpuścić biedakowi powietrza. I rzeczywiście jeszcze żył. Po trzech dniach dopiero natrafiono na miejsce, w którem przebywał. Przez ośm dni wiercono otwór odpowiedni, aby mógł się przecisnąć, a tymczasem rurką wpuszczano mu mleko, a potem w miarę rozszerzania otworu inne pokarmy i odzież. Przychodził ów Polak na misyę, rozmawialiśmy z nim. Zapytywany, czy miał strach wielki, odpowiedział, że nie bardzo bał się, gdyż był nie dawno u spowiedzi św. Zresztą był pewien, że go wydobędą.

Nie brak również wypadków zabawnych. Opowiadał nam ks. proboszcz o takim, który stał się w tem mieście niedawno. Wiadomość rozeszła się, że oberwała się masa węgla i przygniotła pewnego Polaka. Skoro usunięto węgiel znaleziono ciało zmiażdżone na masę bezkształtną. Zebrano je, włożono do trumny i urządzono uroczysty pogrzeb. Ks. proboszcz wygłosił mowę pogrzebową, odprawił uroczyste nabożeństwo i wśród płaczu żony i rodziny pochowano ciało na polskim cmentarzu. Tymczasem po kilku dniach nadeszła wiadomość z kopalni, że odnaleziono ciało nieboszczyka o kilka metrów dalej. Przekonano się wreszcie, że pierwszym nieboszczykiem był muł, jego to spotkał wielki zaszczyt pogrzebu katolickiego.

Buffalo N. Y. — Renowacya misyi w parafii św. Łukasza, od 16 do 27 listopada.

Nazajutrz po ukończeniu misyi w Mt. Carmel Pa, wyruszyliśmy nocą do Pittsburgha. Właśnie nasi konfratrzy dawali tamże misyę w jednej z największych parafii, obsługiwanej również przez Ojców św. Ducha. Wstąpiliśmy tam na dwa dni, aby nieco pomódz, gdyż jeden z pracowników zasłabł.

Stąd ruszyliśmy do Buffalo N. Y., gdzie mieliśmy zacząć renowacyę misyi w parafii św. Łukasza, dnia 16 listopada. Rok temu dawaliśmy tu misyę we trójkę, księża Kołodziej, Janowski i Tyżyński.

Parafia św. Łukasza, zwana zwykle Łukaszowem, założona sześć lat temu przez ks. biskupa Colton'a w tym celu, aby ściągnąć niezależnych Polaków do Kościoła katolickiego.

Niezależnictwo jest to smutny objaw na organiźmie Polonii amerykańskiej. Różne przyczyny złożyły się na to. Największe jednak spustoszenie czynił i dotąd czyni w Buffalo. Wszystkie jednak usiłowania zamiast nawrócić zbłąkanych, bardziej ich owszem utwierdzały w uporze. Wreszcie ksiądz biskup wpadł na myśl utworzenia nowej parafii wśród niezależnych, aby dać sposobność mniej upornym do nawrócenia się. I pokazało się, że ten pomysł był dobrym. Parafia św. Łukasza, która nie miała z początku ani jednego parafianina, dziś posiada przeszło 400 rodzin, a z tych prawie dwie trzecie to dawni niezależni. Lata jednak miną, zanim przerobi się duch niezależnictwa. Co lata narobiły złego, nie naprawi się w krótkim czasie.

Celem misyi zeszłorocznej jak i obecnej renowacyi było ugruntować wiarę w duszach parafian. Właśnie podczas obecnej renowacyi toczyła się sprawa w sądzie o sprzedaż kościoła niezależnych pod wezwaniem Matki Boskiej Różańcowej. Dopóki „biskup“ Kamiński żył, szło wszystko dość w porządku. Skoro jednak nastał młody pryczer Zakrzewski rozpoczęły się zatargi między nim a zarządem kościoła. Długi tymczasem rosły, aż wreszcie cała własność kościelna wy-

stawiona została na sprzedaż. Ks. biskup Colton kupił kościół i obsadził swoim księdzem. To wywołało wielkie rozgoryczenie wśród niezależnych, a nawet odbiło się na dawnych ich współwyznawcach. Z tej też przyczyny nasza praca została mocno sparaliżowana. Przytem dawny proboszcz św. Łukasza, ks. L. Stein musiał opuścić swój posterunek z powodu choroby ócz, a jego miejsce zajął ks. W. Cichy. Wprawdzie ks. Cichy znany jest z gorliwości i pracowitości, jednak każda zmiana proboszcza, a tembardziej w takich okolicznościach, ujemny wpływ wywiera.

Na wiadomość, że ma być misya, wielu zaczęło pomrukiwać i dopatrywać się jakichś ukrytych celów księdza proboszcza. Wprawdzie w czasie nauki kościół był zawsze pełen ludzi, wielu jednak parafian, dla których była misya, nie chodziło wcale lub bardzo rzadko. Tak samo co do spowiedzi Niewiasty i dziewczęta garnęły się dość licznie. Również dużo przychodziło z innych parafii. Mężczyźni jednak miejscowi, pomimo nawoływań z naszej strony i próśb ks. proboszcza, trzymali się z daleka od konfesyonału. Nie brakło nawet upomnienia ze strony Boga, by zatwardziałym otworzyć oczy. Jeden z zamożniejszych Polaków, mający wpływ wśród parafian, sam mało chodził na misyę, owszem odgrażał się, że kościelnemu kark skręci, za to, że wczesnem dzwonieniem na misyę przerywa sen ludziom, spadł z wozu i utracił przytomność. Wezwano księdza, lecz spowiadać się nie mógł. W kilka dni potem umarł. Niestety nawet i ten wypadek nie otworzył oczu zaślepionym. Wytłómaczyli go sobie po swojemu. Urządzili mu nawet wspaniały pogrzeb.

Wyspowiadało się ogółem 1500 osób. W spowiedzi pomagali nam księża Głogowski, Słupiński i Tyżyński.

Ks. Cichy, choć słaby ciałem, dzielnie pomagał nam w spowiedzi św. i humorem uprzyjemniał nam nieco gorzkie chwile misyi.

Urządziliśmy wkładanie cudownego medalika i poświęcenie wody św. Wincentego.

Poleciliśmy parafię opiece N. Maryi Panny, a szczególnie braci zbłąkanych, z prośbą, aby Ona, jako Królowa Polska, skupiła biedne dzieci naszego narodu pod sztandarem Chrystusowym.

W tym roku czekała nas jeszcze praca w dwóch miejscach: w Lackawanna N. Y. i renowacya w Dunkirk N. Y. Skorzystaliśmy więc z trzech dni wolnych, aby nieco odrestaurować siły i uspokoić nerwy.

Lackawanna N. Y. — Misya w parafii św. Barbary, od 30 listopada do 14 grudnia.

Dzięki dogodnemu położeniu swemu zawdzięcza miasto Buffalo wielki i szybki rozwój. Blizkość dwóch wielkich jezior Erie i Ontario, ułatwia komunikacyę i handel z miastami położonemi nad wszystkiemi jeziorami. Przez rzekę zaś Niagarę łączy się z Kanadą. Stąd też Buffalo należy do najbardziej przemysłowych miast, położonych w północno-wschodniej części Stanów Zjednoczonych.

Polonia w samem mieście dochodzi do pokaźnej liczby 100.000. A z dniem każdym wzrasta jeszcze.

W zachodniej stronie miasta, na długiej przestrzeni wznoszą się potężne gmachy wielkiej stalowni, zwanej Lackawanna. Dziesiątki kominów i chmury dymu unoszące się nad okolicą, świadczą o gorączkowej pracy w tej ogromnej fabryce. Tysiące ludzi znajduje tu zajęcie i chleb. Większość stanowią nowi przybysze z kraju starego. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej powstało tu nowe miasto, nazwane od fabryki, Lackawanna.

Miasto rozciąga się na długiej przestrzeni. Posiada zaledwie jedną ulicę porządnie wybrukowaną, reszta to raczej drogi polne, które przedłużają się, w miarę jak powstają nowe domy. Między jedną ulicą a drugą znajdują się w wielu miejscach łąki i pastwiska. Pniaki sterczące tu i ówdzie z ziemi są świadkami dawnych czasów. Tam, gdzie dzisiaj rozciąga się Buffalo i okoliczne miasteczka, żyło dawniej plemię Indyan, zwane Seneca. Szczątki ich jeszcze dziś mie-

szkają w osobnej rezerwacyi, parę mil od Buffalo. Skazani są na zagładę, podobnie jak te piękne lasy, które pokrywały niegdyś całą okolicę Buffalo.

Jak miasto Buffalo, gród bawoli, przez swą nazwę przekaże potomności pamięć o owych pięknych zwierzętach, które ongiś bujały tutaj w olbrzymich stadach, tak znów miasteczko Seneca przekaże historyi wiadomość o dawnych właścicielach tych okolic. Cywilizacya białych stała się grobem dla jednych i drugich.

Patrząc na tę okolicę, zeszpeconą wskutek wykarczowania drzew, na domy brudne i okopcone od dymu, mimowoli przypominają się owe niedawne jeszcze czasy. Dziś jeszcze żyją ludzie, którzy pamiętają te chwile. Parę miesięcy temu umarł człowiek, który był naocznym świadkiem, jak biali kupowali od Indyan te obszary ziemi za błyskotki.

Polacy w Lackawanna stanowią znaczną większość wśród innych narodowości. Skupiają się przy dwóch parafiach, św. Barbary i św. Jacka. Większość stanowią nowi przybysze z kraju, głównie z pod zaboru austryackiego, a potem z pod Moskala. Wielu z nich należy jeszcze do ptaków przelotnych, pracują jakiś czas, a potem wędrują do kraju lub przenoszą się w inne strony Stanów Zjednoczonych. Ogromny procent przypada na mężczyzn, a to z tej racyi, że właściwie oni sami tylko mają zajęcie, a brak pracy dla niewiast i dziewcząt. Oczywiście to nagromadzenie mężczyzn niekoniecznie dobry wpływ wywiera na ich umoralnienie. Stąd też pijaństwo jest tutaj jedną z najgorszych plag, a za tem idą ich nieodrodne siostry, bijatyki, kłótnie i rozwiązłość.

Jak zwykle w centrach fabrycznych, znajduje się tutaj liczna klasa t. zw. „bordingerów“, t. j. stołowników, utrzymywanych przez pojedyncze rodziny. Z tą właśnie klasą ludzi mają tutejsi księża proboszczowie najwięcej kłopotu. Oni najwięcej usuwają z pod ich kontroli, chcą korzystać z księdza i parafii, ale usuwają się od ponoszenia pewnych kosztów, należących do parafii. Jedyną sposobnością dla pasterza parafii, by poznać, kto jest katolikiem praktykującym i utrzy-

mującym parafię, jest spowiedź wielkanocna. Wtedy każdy musi przyjść po karteczkę i uiścić się z należytości parafialnej. Kto poczuwa się do obowiązku, przyjdzie, zapisze się do parafii i złoży ofiarę. Mniej sumienni, których znajduje się spora liczba, a szczególnie między wolnymi, wykręcają się rozmaitymi sposobami. Jedni tłómaczą się brakiem pracy; inni, że dopiero przyjechali do tego miasta; są wreszcie i tacy, którzy opuszczają spowiedź wielkanocną i czekają na adwent, kiedy nie trzeba mieć karteczki, lub innej okazyi, naprzykład misyi. Tego właśnie rodzaju ludzi znaleźliśmy w Lackawanna bardzo dużo.

Inną okazyą do grzechu, i to bardzo blizką, dla tutejszej Polonii jest blizkość t. zw. „jardów kolejowych“, t. j. stacyi dla pociągów ciężarowych. Z racyi, że w Buffalo jest wielki ruch pociągów, a dworzec jest za mały, wszystkie wagony z rozmaitymi towarami zatrzymują się za miastem. Nieraz tysiące wagonów koncentruje się w Lackawannie. Jardy kolejowe dzielą miasteczko na dwie części, które łączy długi most żelazny. W każdej z tych części znajduje się jedna polska parafia.

Blizkość tylu bogactw kusi niejednego z naszych do kradzieży. Pomimo nieszczęść i kar dość surowych trudno powstrzymać ich od przywłaszczania sobie cudzej własności. Co gorsza, najwięcej złodziei jest z pośród młodzieży. A bardzo często sami rodzice są tego przyczyną. Oni wysyłają dzieci, aby zbierały węgiel na torach kolejowych. Oczywiście dzieciak woli zgarnąć z wagonu, bo to idzie prędzej, aniżeli schylać się po kawałeczki rozrzucone po ziemi. Skoro uda mu się na węglu, próbuje szczęścia z innymi towarami; tem bardziej, że i starsi bez skrupułu urządzają wyprawy w owe jardy kolejowe.

Te kilka słów wstępnych rzuciłem wpierw, aby Czytelnicy Roczników mieli choć ogólne pojęcie o stosunkach tutejszych i o pracy naszych konfratrów.

Polem naszej pracy misyjnej w tem mieście miała być parafia starsza, pod wezwaniem św. Barbary. Obecnym pro-

boszczem jest ks. Leonard Podlewski, który kieruje parafią tą od r. 1910. Choć ją starszą nazywam, to przecież należy ona do młodszych, bo istnieje zaledwie dziesięć lat. Pierwszym proboszczem był ś. p. ks. P. Szulca. On zakupił dom na plebanię, zakupił kawał gruntu pod kościół i szkołę. Jak zwykle, początki były trudne. Poszedł więc zwyczajem innych parafii. Wystawił duży budynek na szkołę, w którym na razie pomieścił szkołę, kościół i halę do zebrań przeróżnych. Przez trzy lata zaledwie zarządzał tą parafią. Następcą jego był ks. Andrzej Garstka, który podczas swego również krótkiego tutaj pobytu, bo tylko przez półczwarta roku, rozszerzył nieco własność parafialną przez zakupno ładnego kawałka ziemi. Postawił również duży, murowany dom dla Siostr Felicyanek.

Obecny ks. proboszcz wziął sobie za zadanie spłacić dług i wystawić kościół. Obecne bowiem pomieszczenie szkolne i kościół są za małe.

Dnia 30 listopada rozpoczęliśmy misyę na sumie zwykłym sposobem. Jeden z nas odprawił sumę, drugi wygłosił wstępną naukę. Ogłosiliśmy zaraz porządek misyi. Ponieważ miała trwać przez dwa tygodnie, pierwszy tydzień przeznaczyliśmy dla niewiast i dziewcząt, drugi dla mężczyzn i młodzieńców.

Zaraz na sumie i na popułudniowem nabożeństwie można było poznać, że lud garnąć się będzie gorliwie na misyę. O godzinie 3 popołudniu kościół był szczelnie wypełniony.

Pomimo zapewnienia ks. proboszcza, że niewiast jest znacznie mniej aniżeli mężczyzn, ze zdziwieniem spostrzegliśmy na wieczornem nabożeństwie, że kościół prawie za mały dla nich. Wszystkie ławki były szczelnie zajęte, a nawet w gankach było pełno.

Przyszło nam zaraz na myśl: Co będzie w następnym tygodniu, jeżeli mężczyźni rzetelnie się stawią?

Przez cały tydzień niewiasty dobrze dopisały. Zachęta, by dały dobry przykład mężom swoim i domownikom, nie

poszła w las. Nie było również kłopotu ze spowiedzią św. Zaraz od wtorku, skorośmy rozpoczęli spowiadać, niewiasty i dziewczęta garnęły się w porządku tak, że nie mieliśmy przeciążenia w ostatnie dni. Dzięki pomocy ks. proboszcza i jego wikarego oraz księży z Buffalo, wyspowiadało się niewiast i panien około 1100. Ks. proboszcz liczył swoich parafianek najwyżej 800, reszta więc przyszła z parafii sąsiedniej, a nawet z Buffalo.

Przez cały tydzień pogoda była znakomita, chociaż był to grudzień. Dziękowaliśmy Bogu za takie powietrze, inaczej trudnoby było wytrzymać w kościele tak nizkim. Za to w drugim tygodniu mieliśmy prawdziwy czyściec.

Niewiasty zadowolone z odprawionej misyi św., stały się prawdziwemi misyonarkami w domu. Powyganiały swoich mężów i bortników w niedzielę wieczorem. Patrząc na tę czarną falę mężczyzn, płynącą w stronę kościoła, pytaliśmy się, skąd to wszystko się bierze i jak pomieszczą się w kościele. I rzeczywiście wypełnili kościół po brzegi, głowa przy głowie. Reszta z braku miejsca stała na kurytarzu i na schodach. Każdy naciągał mocno szyję, aby usłyszeć naukę misyonarza. Radość przepełniała nam serce, gdyśmy patrzeli na ten lud tak chciwie pochłaniający każde słowo kapłana. Z drugiej jednak strony ciśnie się do głowy pytanie, dlaczego ten sam lud za kilka dni gotów iść na zebranie pierwszego lepszego agitatora i tak samo nadstawiać ucha na rozmaite przewrotne nauki przeciw kapłanom katolickim, przeciw Kościołowi św. i religii, jak to często zdarza się tutaj w Ameryce. Znać stąd, jak tu przekonania religijne u naszych ludzi oparte są więcej na uczuciu, a mniej na rozumie. Tej też przyczynie należy przypisać, że skutki dobre po misyi nie są tak obfite i trwałe, jakby należało się spodziewać po tak wielkim zapale.

Pomimo tych ludzkich słabości należy jednak podziwiać łaskę Bożą, która dziwne rzeczy sprawuje przez nieudolne usta misyonarza. Iluż to zatwardziałych grzeszników nawraca się! Niejeden lata długie stronił od Sakramentów św. i od

kościoła, a dopiero na misyi nawraca się. Zapytany, dlaczego nawracasz się, odpowiada: „Byłem na jednej nauce i coś się ze mną dzieje. Spać nie mogę ani jeść, odkąd zacząłem chodzić na nauki misyjne".

Przecież misyonarze nadzwyczajnych rzeczy nie mówią, owszem po prostu i spokojnie tłómaczą prawdy wiary naszej św. A jednak Bóg daje namaszczenie tym słowom, trafiają one do serca grzesznika. Na każdej misyi można zauważyć te dziwne sprawy łaski Bożej, a na tej właśnie w sposób szczególniejszy.

Pozwolą Czytelnicy, że wspomnę w kilku słowach o jednym z tych licznych wypadków działania łaski Bożej. Podczas seryi dla mężczyzn przystąpił do sakramentu Pokuty św. i to zaraz w pierwszej połowie pewien młody człowiek. Z wyglądu i ubrania można było poznać, że nie należy do klasy prostych robotników. Rzeczywiście był to człowiek z wyższem wykształceniem, piastował nawet jakiś urząd w Rosyi. Po rozmaitych przygodach i wskutek różnych przyczyn musiał uchodzić przed ręką sprawiedliwości. Oczywiście jedyną deską ratunku dla tego rodzaju indywiduów jest Ameryka. Tak i ten młodzieniec uczynił. Pod względem religijnym był niedowiarkiem, jak się sam wyraził o sobie. „Rodzice moi są katolikami, a ja nim kiedyś byłem. Wskutek jednak czytania książek antyreligijnych utraciłem wiarę". Resztę dokonali towarzysze. Pacierza i praktyk religijnych zupełnie zaniedbał wypełniać. Jedną tylko pamiątkę zachował z domu rodzicielskiego, t. j. „Zdrowaś Maryo". Pozdrowienie anielskie odmawia kiedyniekiedy, ale raczej ze zwyczaju, niż z nabożeństwa. „A co cię skłoniło właściwie, żeś przyszedł na misyę i do spowiedzi św.", pyta misyonarz. — „Na misyę przyszedłem z ciekawości, a do spowiedzi przystępuję, gdyż czuję się zmuszonym". — „A cóż cię zmusiło?" — Na to taką daję odpowiedź: „Byłem na nabożeństwie, posłuchałem nauki misyjnej. Od tej chwili czułem wielki niepokój, poznałem, że życie moje dotychczasowe jest bardzo niemądre. Kiedy wreszcie ks. misyonarz wkładał medaliki cudowne, jam też dał

sobie włożyć, czyniłem to jednak raczej bezmyślnie. Lecz od tej chwili jakaś dziwna siła pcha mnie do spowiedzi św. Czuję, że jestem zupełnie innym człowiekiem. Chcę się wyspowiadać uczciwie, od tej chwili zrywam z dawnym trybem życia". — Odszedł wielce uszczęśliwiony. Cicho, ale skutecznie przemówił Bóg do duszy tego biedaka.

Od samego początku drugiego tygodnia mężczyźni wiernie uczęszczali. Codziennie kościół był nabity, chociaż pogoda nie dopisała. Rozpoczęła się zima amerykańska, t. j. co parę godzin zmiana. Oczywiście najgorzej odbiły się te zmiany w powietrzu na gardłach naszych. Już w początkach drugiego tygodnia jeden z nas zachrypł, a pod koniec prawie zupełnie zaniemówił. Cały ciężar nauk spadł na drugiego. Więc kulawo, ale szczęśliwie dobiliśmy do brzegu tej mozolnej pracy misyjnej w Lackawanna. Spowiedzi mieliśmy bardzo dużo. Od rana, od godziny 6 już siadał jeden z misyonarzy. O godzinie 7 przychodził do pomocy drugi. Nie brak było pomocników w ciągu dnia, a szczególnie wieczorem. Nieraz parę minut brakowało do godziny 12 w nocy, a jeszcze gromadki mężczyzn stały przy każdym konfesyonale. Ogółem wyspowiadało się mężczyzn 1500.

Na zakończenie należy wspomnieć o innych dobrych stronach tutejszej ludności. Skorośmy ogłosili wkładanie szkaplerzy i zapisywanie do bractw, ruszyli mężczyźni i niewiasty z całym zapałem.

Do bractwa wiecznego różańca zapisało się kilkaset osób, mężczyzn i niewiast. Wspaniały był widok podczas wkładania Cudownego Medalika. Ponieważ podczas misyi przypadła uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi Panny, wybraliśmy zatem ten dzień na błogosławienie dzieci i przyjmowanie do Stowarzyszenia Cudownego Medalika. Pomimo chłodnego powietrza ruszyły matki ze swemi pociechami do kościoła. Patrząc na te maleństwa, zdawało się nam, że Eskimosi najazd urządzili na kościół. W kościele zapanował wielki ścisk, a przytem malcy nie próżnowali, każdy śpiewał na swoją nutę i ze swego tonu. Ks. Ściskalski

przemówił do matek, ale został przekrzyczany i w krótkich słowach zakończył naukę.

Pomimo upomnień, aby matki nie pchały się zbytecznie podczas wkładania Cudownego Medalika, każda jak Rebeka chciała pierwsza podsunąć swego „Jakóbka". Niejedna trzymała po dwoje i troje na rękach, a reszta trzymała się fartuszka i pomimo tego balastu torowała sobie jeszcze łokciami drogę do balasek.

Nie obeszło się też bez rozmaitych przypadków, jak to bywa w takim ścisku. Wiele rzeczy pogubiono. Po wszystkiem rozpoczęło się poszukiwanie. Jedno szukało czapki, inne bucika. A w razie niemożności udawano się do misyonarza po radę. Jedna dziewczynka przychodzi nawet na skargę, że ktoś ukradł jej P. Jezusa.

Poświęciliśmy również wodę św. Wincentego. Jak we wszystkiem, tak i tutaj, naród rzucił się z całym zapałem, bo to misyonarz poświęcił, a więc musi być pewnie cudowna woda. Rozebrano kilka dużych kadzi. I nic dziwnego, niejedna gosposia wysłała dziecko z wiaderkiem po wodę.

W niedzielę na sumie oddaliśmy całą parafię pod opiekę N. Maryi P. Szkoda wielka, że miejsca nie było i procesya nie mogła wystąpić w takim porządku i z taką okazałością, jakiej lud pragnął.

Również z powodu braku miejsca urządziliśmy podwójne zakończenie misyi. Jedno o godz. 3 z odpowiednią nauką, a drugie o godz. $7^1/_2$ z poświęceniem krzyża misyjnego. Na jednem i drugiem naród wypełnił kościół po brzegi. W czasie procesyi część ludzi musiała wyjść z kościoła, aby umożliwić jakie takie przejście księżom i ludziom niosącym krzyż. Z powodu wielkiego natłoku musiano krzyż nieść wysoko ponad głowami. W niejednem oku łza rozrzewnienia zabłysła na widok krzyża misyjnego, godła naszego zbawienia. Nigdy może nie robi krzyż większego wrażenia, jak w czasie misyi. Na krzyż misyjny wskazuje misyonarz w nauce ostatniej; on ma przypominać parafii misyę i dobre postanowienia.

Widok krzyża misyjnego był również znakiem, że misya św. już skończona. Z wielkiem rozrzewnieniem słuchał lud ostatnich upomnień misyonarza. Co chwilę odzywało się szlochanie. A kiedy usłyszano słowa pożegnania: „Polecamy was Bogu i Matce Najświętszej“ — powstał w kościele płacz ogólny.

Lud czekał w kościele i śpiewał pieśni, jak gdyby mu żal było opuścić to miejsce, gdzie tyle łask otrzymał od Boga. My tymczasem przebraliśmy się w naszem prymitywnem mieszkaniu, w klasie szkolnej, i z walizkami spieszyliśmy do automobilu, aby zdążyć na pociąg, dnia bowiem następnego czekała nas praca w Dunkirk N. Y.

Dunkirk N. Y. — Renowacya misyi w parafii św. Jadwigi, od 14 do 11 grudnia.

W tym właśnie miesiącu rok mijał od czasu, kiedyśmy dawali misyę w parafii św. Jadwigi, zwanej „na górce“ z powodu, że położona na wzniesieniu, w pewnej odległości od jeziora. Ks. P. Letocha, proboszcz tej parafii, pragnął, by o ile można, w tym samym czasie urządzić renowacyę misyi i czterdziestogodzinne nabożeństwo; tem bardziej, że to czas adwentu, w którym ludzie pragną przystąpić do sakramentów św.

Zachodziły wprawdzie pewne trudności, gdyż 14 grudnia mieliśmy zakończenie misyi w Lackawannie, a tego samego dnia miało być rozpoczęcie w Dunkirk; wszyscy zaś księża zajęci byli pracą. Stanęło wreszcie na tem, że ks. Głogowski, sam tylko wolny w tym dniu, zacznie, a my od poniedziałku poprowadzimy pracę dalej.

Już było po godzinie 12 w nocy, kiedy nasz pociąg stanął w Dunkirk. Jeden z polskich obywateli przyjechał po nas na stacyę i odwiózł na plebanię. Nie było zatem wiele czasu na pokrzepienie sił snem

Praca nasza misyjna w Stanach Zjednoczonych jest tego rodzaju, że rzadko kiedy można iść na spoczynek przed 12 w nocy, albowiem większość ludzi zajęta cały dzień w fa-

brykach, dopiero wieczorem może korzystać z nauki misyjnej i przystąpić do spowiedzi św.

Zaraz na początku można było zauważyć, że ludzie pamiętają misyę zeszłoroczną. Na każdem nabożeństwie kościół był szczelnie wypełniony, szczególniej na wieczornem. Również do spowiedzi św. garnęli się bardzo gorliwie. Spostrzedz było można nawet większą frekwencyę niż w przeszłym roku.

Na to gorliwe uczęszczanie złożyły się inne jeszcze przyczyny, a mianowicie bezrobocie i niesnaski w sąsiedniej parafii św. Jacka.

W mieście Dunkirk znajduje się ogromna fabryka lokomotyw, z której dobra połowa, jeżeli nie większa część ludności miasta ma utrzymanie. Prawie wszyscy Polacy tam pracują. Praca w tej właśnie fabryce stanęła. Stąd panowało ogólne przygnębienie wśród Polonii tutejszej. Wielu mężczyzn wyjechało do innych miast za pracą. Znaczna jednak część zmuszona była pozostać. Ci też korzystali z misyi.

Drugą przyczyną tej frekwencyi na nauki były zamieszki w parafii św. Jacka. Jest to parafia najstarsza w dyecezyi bufaloskiej. Obejmuje około 800 rodzin, osiadłych wieńcem naokoło kościoła, tuż nad jeziorem Erie. Od pewnego czasu panowało tu wrzenie. Część wodzirejów dążyła do usunięcia swego pasterza, który tu wiele lat pracował.

Dziwny to zaiste objaw w stosunkach naszych, ten paroksyzm buntowniczy. Jest on głównie przywilejem wychodźców z kraju starego, a dość rzadko udziela się młodszemu pokoleniu.

Znaną już jest rzeczą, że nowe pokolenie, urodzone już w Ameryce, ma inne usposobienie, więcej przeniknięte duchem amerykańskim, który polega na tem, że mniej dają na kościoły, ale i mniej mieszają się w jego sprawy. Tu właśnie zaszedł wypadek wprost przeciwny. Młodsze pokolenie rej wodziło w zaburzeniach, starzy bowiem osadnicy częścią już wymarli, a reszta już za stara do tego rodzaju ruchawek. Niezadowoleni ze swego pasterza postanowili go usunąć. A kiedy ks. biskup nie przychylił się do ich żądania, wtedy

zwrócili się o pomoc do władzy świeckiej A kiedy i ten środek zawiódł, wtedy użyli ostatniego sposobu: nie chodzić do kościoła i nie płacić.

Jak to zwykle bywa, gromadka rej wodzi i krzyczy, a inni jak owce nieme idą za nimi, nie wiedząc często, o co właściwie chodzi. Tak było i tutaj; ogół nie rozumiał, po co są te zaburzenia.

W tym właśnie czasie wypadła renowacya w sąsiedniej parafii. Ponieważ niejednego sumienie gryzło, szedł więc po uspokojenie na misyjne nauki i do spowiedzi św. Ciekawa natura tego naszego ludu; raz krzyczy, wygaduje na swego pasterza i na Kościół, a za chwilę biegnie z płaczem do spowiedzi św. Uspokojony staje się znów gorliwym katolikiem, dopóki nie nadarzy się przyczyna do pomruku. Podobnie stało się i tutaj. Przyszedł nowy ks. proboszcz, spokojnie przemówił do rozumu i serca i nastał wkrótce spokój.

Dla tych to przyczyn mieliśmy do spowiedzi św. więcej, aniżeli w roku zeszłym, podczas właściwej misyi.

Przystąpiło ogólnie do sakramentów świętych z górą 2000 osób.

Można było zauważyć jeszcze inny piękny objaw. Na wezwanie misyonarza, aby zapisywali się do różańca i bractw szkaplerznych, z wielką ochotą garnęli się wszyscy, tak niewiasty jak i mężczyźni. Bardzo wielu zapisywało się także do Stowarzyszenia Cudownego Medalika. W czasie tego tygodnia rozeszło się medalików parę tysięcy.

Młodzież nasza, szczególnie podrastająca, nie bardzo kwapi się do bractw. Tu właśnie przeciwnie, wielu młodzieńców i dziewcząt, i to z wielką ochotą, garnęło się do różańca sw., a szczególnie do Cudownego Medalika.

Miło zaiste było patrzeć na tę młodzież naszą, oddaną zwykle strojom i zabawom, jak zapisywała się w szeregi czcicieli Niepokalanej Dziewicy. Oby ta Matka Najświętsza broniła ją od zepsucia, które może nigdzie tak nie zagraża naszemu młodemu pokoleniu, jak właśnie w Ameryce. Znać, że P. Bogu chodziło, aby lud garnął się do Niego. Jak roku

zeszłego przez nagłą śmierć jednego Polaka otworzył Pan Bóg innym oczy, by nie lekceważyli sobie czasu nawiedzenia, tak znów tego roku użył Bóg innego sposobu.

W czasie właśnie naszej renowacyi nawiedził tę okolicę straszny huragan, połączony z wichurą śnieżną. Był to jeden z największych huraganów, jakie nawiedzają raz po raz wielkie jeziora. Wprawdzie w tym czasie żegluga na wielkich jeziorach jest wstrzymana, pomimo to wiele okrętów, a szczególnie łodzi rybackich puszcza się na własne ryzyko. Żegluga na wielkich jeziorach, a głównie na jeziorze Erie, jest bardzo niebezpieczna, z powodu nagłych i licznych burz. A cóż dopiero w czasie zimowym. Chęć jednak zarobku, a do tego w czasie bezrobocia, wygania całe rzesze rybaków na połów.

W Dunkirk spora liczba Polaków ma własne łodzie, a niektórzy trudnią się rybołostwem z zawodu. W czasie takiej właśnie wyprawy powstała wichura śnieżna. Część łodzi bliżej brzegu zdążyła schronić się do portu, reszta zmuszona była zostać na pełnem jeziorze, gnana przez potężne bałwany. Szerokość jeziora eryjskiego w tem miejscu wynosi przeszło 30 mil. Niebezpieczeństwo zatem owych żeglarzy było bardzo wielkie. Jak później donosiły gazety, paręset łodzi, a więcej jeszcze osób znalazło śmierć w zimnych falach wielkich jezior. Między nimi nie brakło młodych Polaków.

W czasie tej zawiei śnieżnej ze wszystkich nadbrzeżnych stacyi ratunkowych i latarni morskich odzywały się złowrogie głosy syren, ostrzegające żeglarzy przed niebezpieczeństwem. Między zagrożonymi żeglarzami znajdowała się również gromadka Polaków z Dunkirk.

Podobne wypadki działają zbawiennie na ludzi. Jedni ze strachu, by nie utracić drogich osób, drudzy z wdzięczności garną się do Boga.

Wśród mozolnej pracy nie zauważyliśmy nawet, jak nadszedł koniec naszej renowacyi. Dnia 21 grudnia, w niedzielę, z powodu zakończenia czterdziestogodzinnego nabożeństwa, urządziliśmy w kościele procesyę z Przenajświętszym Sakramentem. Chociaż kościół jest dość obszerny, przecież

nie był w stanie pomieścić obecnych na nabożeństwie. Bractwa mężczyzn i niewiast z odznakami swemi na piersiach, pomimo ochoty, nie mogły wystąpić w czasie procesyi, zajęły więc osobne miejsce w ławkach. Przed P. Jezusem postępowała tylko młodzież szkolna i Stowarzyszenie Dzieci Maryi ze swymi sztandarami.

Błogosławieństwem Najśw. Sakramentu i śpiewem „Te Deum“ zakończyliśmy naszą pracę w Dunkirk.

Oby Bóg w swej dobroci nie pozwolił zmarnieć temu zasiewowi, rzuconemu przez synów św. Wincentego w serca, które okazały się tak ochotnemi!

W lipcu 1914.

Ks. Józef Janowski.

Z przeszłości obydwóch Zgromadzeń w zaborze rosyjskim.

IX.

XX. Misyonarze w Wilnie.

Tempora mutantur et ad nihilum reducuntur...

Nieco o Misyonarzach na Litwie w XVII. wieku.

Jak wiadomo, to we wrześniu 1651 roku przyjechali do Warszawy, sprowadzeni przez Maryę Ludwikę, żonę już Jana Kazimierza, XX. Misyonarze: X. Lambert aux Couteaux (rozmaicie piszą jego nazwisko), w charakterze przełożonego, X. Wilhelm Desdames, X. Guillot, kleryk Kazimierz Żelazowski i braciszek Jakób Posny[1]). Pierwsze beneficyum zaraz otrzymali na Litwie, na początku grudnia tegoż roku, intratne bardzo probostwo w Sokółce[2]), kolacyi królowej. X. Desdames mianowany tam został proboszczem i razem z X. Lambertem udał się na Litwę, w której stolicy złożyli najprzód hołd miejscowemu biskupowi, X. Jerzemu Tyszkiewiczowi (1650—1656); ten ich należycie ocenił, odrazu przyjął bardzo uprzejmie i zamyślał o sprowadzeniu ich do Wilna, ale wtedy do tego nie przyszło jeszcze.

---

[1]) X. Dr. W. Wdowicki, Historya Zgromadzenia Misyonarzy w Polsce, pierwszych lat dziesięć, Kraków, 1902.

[2]) Sokółka w dawnem województwie trockiem w powiecie grodzieńskim, a teraz w gubernii grodzieńskiej miasto powiatowe, niesłusznie wioską przez X. W. nazwana.

X. Wilhelm powrócił do swego probostwa i zaczął tam gorliwie pracę w Winnicy Pańskiej, zbawienne przynoszącą owoce. W połowie r. 1652 wezwano go do Warszawy, ale znowu znajdujemy go w Sokółce[1]), bo tam na początku 1653 roku opatrzył na drogę wieczności X. Lamberta, który właśnie przyjechał na Litwę z Królestwem, chroniącem się od morowej zarazy. X. Lambert przybył już z zarodkiem tej choroby, dotknięty nią, gdy niósł pomoc duchowną nieszczęśliwym jej ofiarom w Krakowie i Warszawie[2]).

Następnie czas jakiś był w Sokółce X. Guillot i wyświęcony już na kapłana Kaź. Żelazowski, charakteru niespokojnego, niestałego, który nawet ostatecznie Zgromadzenie opuścił, a i X. Guillot czas jakiś nosił się z myślą z Polski wyjechać. Co się tam potem w Sokółce działo, nie wiadomo, to tylko pewne, że do początku czerwca 1655 r. należała jeszcze do Misyonarzy i, zapewne, dopiero z rozpoczęciem się wojny szwedzkiej Zgromadzenie zrzekło się tego beneficyum.

Zamiar Biskupa Tyszkiewicza sprowadzenia Misyonarzy do Wilna uskutecznił inny pasterz wileński (1685—1686) X. Aleksander Kotowicz h. Korczak, który, jeszcze będąc biskupem smoleńskim, podczas Sejmu w Warszawie poznał się tam z superyorem XX. Misyonarzy, Pawłem Godquin (Godecquin) i oświadczył mu chęć sprowadzenia Misyonarzy do swojej stolicy *ad directionem seminarii,* lecz znowu parę lat przeszło i sprawa ta nie posunęła się naprzód.

Tymczasem Bartłomiej Tarło h. Topór, wojewodzic sandomierski (przyszły biskup poznański), skończywszy studya duchowne w Rzymie, wstąpił tam do Misyonarzy i po

---

[1]) Tak ze wszystkiego uważać można; chociaż tę sprawę X. Wdowicki najlepiej i najkrytyczniej zbadał, jednak niejasno w tem miejscu ją przedstawia.

[2]) X. Lambert, jeden z najukochańszych, najpierwszych i najwierniejszych uczniów swego Świętego Mistrza, umierając, miał lat 46, w Zgromadzeniu od r. 1629, a X. Desdames świat opuścił w 1692 r., więcej niż lat 40 pracując wytrwale i chwalebnie w Polsce.

powrocie do ojczyzny, został następnie w Warszawie superyorem tego Zgromadzenia, ale jeszcze przedtem, 1685 r., posłano go do Wilna, aby tam upatrzyć miejsce na Dom dla Zgromadzenia, bo właśnie biskup Kotowicz zajął się gorliwie sprawą sprowadzenia Misyonarzy do swojej stolicy. I to można uważać za początek siedziby misyonarskiej nad Wilią[1]).

Biskup Kotowicz kupił plac nad Wilią na przedmieściu niedaleko od mostu murowanego (Zielonego) za 3.000 zł. pl. od niejakiego Czechowicza, pisarza ziemskiego smoleńskiego, starosty drohobuskiego i plac ten razem z folwarkiem Jęczmieniszkami nadał Misyonarzom. Jęczmieniszki kupione za 70.000 zł. od Rosochackiego, w których po „ruinie moskiewskiej“ było tylko 18 poddanych i 70 włók ziemi. Donacya ta dnia 21. maja 1686 roku w Głównym Trybunale Litewskim przez tegoż biskupa przyznaną była, a w r. 1687 dnia 30. maja przez kapitułę wileńską akceptowana, bo do tej fundacyi przyczyniła się też i Kapituła, która nabyła plac sąsiadujący z niektórymi budynkami niedaleko od tego miejsca, gdzie miał stanąć nad Wilią klasztor misyonarski i ofiarowała to również Zgromadzeniu; posiadłość ta należała przedtem do Doroty Sieńkiewiczowej, rajczyni wileńskiej.

---

[1]) Kreślimy dzieje tej siedziby na podstawie kopii Kroniki klasztornej, zatytułowanej Status Fundacyi Domu Wileńskiego Congr. Mis., doprowadzonej mniej więcej do połowy XVIII. wieku; autorem kroniki, jak się domyślać można, był X. Łukasz Tykwiński, superyor wileński, mający dokumenty i akta dawne pod ręką; po krótkiej przedmowie, szeregiem lat, zaczynając od r. 1691, podaje ważniejsze wypadki, przeważnie zapisy; kronikę tę ktoś odpisał ze współczesnych zapewne jednym charakterem prawie wszystko; autor kroniki, czy kopista, popełnił niektóre błędy i niedokładności, ale w każdym razie tak obszernych wiadomości o Misyonarzach wileńskich — nigdzie niema; główny tekst po polsku, przeplatany łaciną. Nadto opieraliśmy się: na Mémoires de la Congrégation de la Mission (en Pologne), Paryż 1863—1864, 2 tomy; na Wizytach kanonicznych lat rozmaitych z XIX. wieku; na Encyklopedyi kościelnej X. Nowodworskiego, na katalogach Zgromadzenia z lat różnych i innych dziełach w swojem cytowanych miejscu.

W taki sposób powstała rezydencya wileńska XX. Misyonarzy.

Pierwszym superyorem mianowano do Wilna X. Pawła Godquin (Godecquin), który się już pierwej chwalebnie odznaczył gorliwą pracą apostolską w Warszawie, Chełmnie, Krakowie, skąd go właśnie do Wilna powołano w celu założenia tam nowego domu[1]). Przybył on nad Wilię w 1686 r.; X. biskupa Kotowicza już nie zastał, bo się właśnie do wieczności przeniósł, lecz jeszcze przed śmiercią pamiętał o Misyonarzach, ponieważ w testamencie zapisał im znowu 20.000 zł. pl.; suma ta była przeznaczona na restauracyę domu nad Wilią leżącego, w którym miało się ulokować Zgromadzenie.

Lecz X. Godquin po rozpatrzeniu się na miejscu przyszedł do tego przekonania, że poprawienie tego domu byłoby bardzo kosztowne, a miejsce to, zbyt od centrum miasta odległe, błotniste, nie mogło być dogodnem na klasztor, przeto zaczął szukać innego, bardziej odpowiedniego.

Otóż wynalazł takie, na którem stał wtedy pałac Radziwiłłów za t. zw. Subocz-bramą, należący do Radziwiłłowej z domu Sobieskiej, siostry króla Jana III. Bez trudności otrzymał X. Paweł w darze całą tę posiadłość razem z folwarkiem Burbiszkami od siostry królewskiej dnia 9. czerwca 1687 roku; aż tu weszli mu w drogę miejscowi Bernardyni i Sanguszkowie[2]) roszczący sobie rozmaite pretensye do tych posiadłości. Sprawa była dość zawikłana. Sapiehowie wła-

---

[1]) X. Paweł Godquin pochodził z dyecezyi amieńskiej, gdzie urodził się na początku lutego w 1658, wstąpił do Zgromadzenia na parę lat jeszcze przed śmiercią Świętego Założyciela Misyonarzy, korzystał więc jeszcze z rad i nauk Św. Wincentego: przejął się niemi i całe swe życie rządził się tem wytrwale; w Warszawie w 1712 r. Bogu ducha oddał.

[2]) Samuel Symeon Sanguszko, pierwszy w rodzie katolik, woj. witeb. † 1638 r., podług Niesieckiego miał 3 synów: Kazimierza, bezpotomnego, Hieronima, biskupa smoleńskiego i Jana Władysława, a syn tego, Hieronim, ożeniony z Konstancyą Sapieżanką, która to w imieniu synów występowała przeciw Misyonarzom wileńskim.

śnie wtedy rej w kraju wielki wodzili (bracia Konstancyi Sanguszkowej, hetman i podskarbi, wszędzie i w trybunale mieli licznych zwolenników), musieli tedy Misyonarze Sanguszkową załagodzić, na pewien spłat się zgodzić, aby się ona zrzekła swoich pretensyi; z Bernardynami też, przy pomocy przyjaciół, jakoś się udało dójść do zgody z pewnem ustępstwem, słowem w 1688 r. stali się XX. Misyonarze niezaprzeczonymi dziedzicami owego pałacu i folwarku Burbiszek, wziąwszy do tego wszystkiego intromisyę.

Po zakończeniu tej sprawy zaczęła się w kwestyi granic sąsiednich dóbr (Łukiszek i Jęczmieniszek) dyferencya z Jezuitami i tę sprawę zakończyli Misyonarze odstąpieniem spornego kawałka; także Karmelici miejscowi Bosi procesowali się o kawałek gruntu, lecz i to umorzono zgodnie; dla świętego spokoju Misyonarze ustąpili.

Po skończeniu tego wszystkiego zainaugurowano nową w Wilnie siedzibę Zgromadzenia na t. zw. Górze Zbawiciela *(Mons Salvatoris)*, która potem stała się tak znaną i nawet głośną.

X. W. Przyałgowski [1]) tak powiada o niej:

Od samego początku swego Misyonarze w Wilnie z zapałem byli przyjmowani; umieli oni trafić do serca naszych magnatów; kochali się w naukach, liczną mieli bibliotekę i sami wiele dzieł duchownych wydawali i drukowali u siebie, stosunkowo tanio bardzo sprzedając; podczas jubileuszów, na misyach, rekolekcyach, oraz na 40-godzinnych nabożeństwach wykładali chętnie ludowi katechizm, jasno i zrozumiale nauczali; ze swego Zgromadzenia wydali wielu bardzo dobrych katechetów, kaznodziei, teologów, spowiedników, zdolnych pisarzy; ściśli w zachowaniu reguły, więcej na celu mieli czyn dobry, niż piękne słowa; chętnie pomagali bliźnim duchowo i materyalnie.

Pierwszy superyor wileński XX. Misyonarzy 9 lat prawie zostawał na swojem stanowisku, dzielnie i niezmordo-

---

[1]) Żywoty Biskupów wileńskich, Petersburg 1860, t. III., p. 71—27.

wanie pracując w Winnicy Pańskiej, broniąc własności Zgromadzenia, ale też jednając sobie zwolenników i przyjaciół, widzących szerzącą się chwałę Bożą i pożytek dla społeczeństwa.

Przy końcu r. 1694 zjechał nowy superyor X. Andrzej Korsz; on się poznał z rodziną Platerów, połączył ich z Kościołem, zjednał sobie i ich to hojność umożebniła wymurowanie kościoła, klasztornych zabudowań i powiększyła znacznie uposażenie, a zatem naprzód słów kilka o tych dobrodziejach Misyonarzy wileńskich powiemy.

Starożytny ród szlachecki westfalski von dem Broel genannt Plater już nawet w XIII. wieku miał swoich przedstawicieli w ziemiach kawalerów Mieczowych, gdzie doszedł do potęgi, sławy i znaczenia. Dobra ich naprzód przeważnie w Inflantach szwedzkich i Kurlandyi, potem w Inflantach polskich i na Litwie się spotykają i tym sposobem wchodzą Platerowie do naszej arystokratycznej plejady, odznaczając się męstwem na polu bitwy, mądrą radą w izbie poselskiej i nakoniec zasłynęli nawet w senacie, a od cesarza Leopolda I. w 1680 r. otrzymali tytuł hrabiowski, przyznany im w XVIII. i XIX. wieku w Austryi, Prusach i Rosyi. Gdy nowatorstwo religijne zawitało do ziem hermistrzów inflanckich, porzucili Platerowie dawną swych przodków wiarę i stali się lutrami.

Za protoplastę linii litewskiej poczytywany jest Gotard Broel-Plater, zmarły w 1664 r., pan licznych włości w Inflantach, Kurlandyi i na Litwie, żonaty z Elżbietą Tiesenhausen, służył wojskowo i zostawił liczne potomstwo, oprócz córek, czterech synów: Jana Andrzeja Henryka, Jana Teofila, Gotarda i najmłodszego, podobno, Fabiana, zmarłego przed rokiem 1709.

Najstarszy syn Gotarda, pan na Indrycy i Dusiatach na Litwie i innych dobrach, w r. 1669 już był pułkownikiem, brał udział w walce pod Wiedniem i dnia 28. lutego 1695 roku został wojewodą inflanckim, pierwszym w rodzie sena-

torem, poślubił Maryę Ludwikę z rodu Grotthusów i miał dużo dzieci [1]).

Poznanie się X. Korsza z rodziną Platerów nastąpiło w taki sposób: Superyor wileński pojechał na misye i „fortuito" przybył do Dusiat, chcąc tam nawiedzić chorego plebana. W Dusiatach rezydował właśnie wojewoda niedawny, Jan Andrzej Henryk Plater, z rodziną, z całym domem wyznając luteranizm. Dziedzic zaprosił X. Korsza do pałacu, a miało to być w 1695 r. w poniedziałek *post dominicam in albis* [2]), przyjął go bardzo uprzejmie i zatrzymał czas jakiś u siebie. X. Korszowi, po częstych rozmowach, „exortacyach", wyświetlających dogmaty i prawdy wiary katolickiej, udało się nawrócić dom Platerów, którzy tym sposobem powrócili do wiary swych przodków.

Czy to nawrócenie nastąpiło już wtedy, czy trochę później — nie wiadomo, ale jest faktem, że Plater już był wojewodą przed nawróceniem; świadczy o tem data nominacyi na wojewodę i sam opis tego nawrócenia, co zapewne kronikarz musiał znaleść w archiwum i mogło to pochodzić od samego Korsza, ze źródła więc najwierniejszego i najpewniejszego; wobec tego upada twierdzenie Złotej Księgi Szlachty Polskiej [3]), że przejście na katolicyzm Platera utorowało mu drogę do Senatu.

Tenże sam X. Korsz otrzymał od wojewody upoważnienie, aby zbór luterski w Indrycy (pierwotną świątynię

---

[1]) Kilka córek zmarło w dzieciństwie, a dwie poszły zamąż: Anna Sybilia za Stanisława Zyberka (Zyberga) i Izabela za Fabiana Borcha; synowie: 1) Jan Andrzej † 1735 bezpotomnie, 2) Jan Ludwik † 1736 r. na Indrycy, Krasławiu etc., wojewoda też inflancki, żonaty z Brzostowską Rozalią, 3) Ferdynand Wilhelm, 1678—1739, marszałek nad. litew., 4) Fabian Ksawery 1679—1742, pułkownik wojsk. lit., 5) Aleksander Konstanty † 1762 na Antonoszach, Poniemuniu etc., 6) Karol zmarły dzieckiem. Oni i ich potomkowie czynili zapisy na rzecz Misyonarzy wileńskich, więc o nich wspominamy.

[2]) W roku 1695 Wielkanoc v. s. 24. marca, a n. s. 3. kwietnia, cf. *Vade mecum* T. Wierzbowskiego.

[3]) Cfr. t. III., p. 191.

katolicką) zamienić na kościół, czego X. Korsz dokonał, porozumiawszy się z X. Popławskim, biskupem ówczesnym inflanckim, który tam zainstalował kapłana katolickiego.

Wojewoda inflancki przeniósł się do wieczności dnia 24. lutego 1696 [1]), a żona jego świat ten opuściła dopiero dnia 4. kwietnia 1720 roku [2]).

Drugi brat wojewody inflanckiego, Jan Teofil, wojski inflancki, rezydent polski w Wiedniu, ożenił się z Aleksandrą Krystyną Karężanką, był dziedzicem Białego Dworu, umarł bezdzietnie w 1697 roku.

Otóż, dowiedziawszy się o nawróceniu brata, zaprosił on do siebie tegoż X. Korsza i oświadczył mu chęć zostania katolikiem.

Przygotowany przez superyora wileńskiego, odbył spowiedź generalną, przyjął Komunię świętą z rąk jego i stał się wiernym Kościoła katolickiego synem.

O nawróceniu innych członków tej linii Platerów nie posiadamy tak dokładnych wiadomości.

Głównym jednak dobrodziejem XX. Misyonarzy wileńskich był Jan Teofil; zaraz po nawróceniu ofiarował na Dom wileński 2.000 zł. pl., a potem do rąk X. Tarły, superyora natenczas generalnego w Warszawie, wypłacił 20.000 zł. pl. na budowę kościoła nowego w Wilnie, a po śmierci przeznaczył dobra swoje, Biały Dwór z folwarkiem Cesarką w Wil-

---

[1]) Wszelkie wiadomości o rodzinie Platerów pochodzą od historyografa swego świetnego rodu, od ś. p. Włodzimierza Broel-Platera, który też nam użyczył owej kopii Kroniki klasztoru Misyonarzy na Górze Zbawiciela w Wilnie.

[2]) Jan Andrzej Henryk Plater nie pierwszy ze swego rodu powrócił do katolicyzmu; prawie o pół wieku go w tem uprzedził Wilhelm Broel-Plater, młodszy syn Henryka VI., a brat rodzony wyżej wzmiankowanego Gotarda, założyciela linii litewskiej; mianowicie r. 1649 *„suscepit fidem Catholicam“*, nawrócony przez OO Bernardynów w Kretyndze na Żmudzi, jak to zaznacza Kronika tego klasztoru w naszem posiadaniu zostająca. Ten Wilhelm poprowadził gałąź żmudzką swego rodu na Szatejkach; z niej pochodził (odnoga na Dąbrowicy) i ów Włodzimierz Plater.

komierskiem, na rzecz Zgromadzenia. Zaraz po jego zgonie, w 1697 r., Misyonarze z Góry Zbawiciela intromisyę wzięli do tych majątków.

Wojewoda inflancki przed śmiercią dał Misyonarzom 1.000 talarów bitych i obrał dla siebie i swojej familii u Misyonarzy miejsce na groby rodzinne, gdzie spoczął i pochowany został, pomiędzy innymi, i on i brat jego Jan Teofil.

Od tego czasu zaczęli inni Platerowie też świadczyć Misyonarzom wileńskim, czyniąc zapisy, dary czyniąc.

Trzeci brat wojewody inflanckiego, od roku 1705 też wojewoda inflancki, Fabian — pan na Sołohubiszkach, Węgrzyszkach etc. — ofiarował w 1697 r. Misyonarzom kamienicę swoją na przedmieściu wileńskiem Zarzeczu, za t. zw. Spaską bramą leżącą.

Córka Jana Andrzeja Henryka, Anna za Zyberkem, sędzią inflanckim, ufundowała Mszę św. co piątek u Misyonarzy w kaplicy ojca też w tym samym roku; przeznaczyła na to swoje klejnoty i szaty kosztowne; rodzina potem oszacowała to wszystko na 2.000 tynfów, od których obowiązała się płacić rocznie procentu 160 tynfów, a te rzeczy u siebie zachowała.

Dzięki tedy hojności Jana Teofila Platera i innych osób można było przystąpić do murowania nowego kościoła pod wezwaniem Wniebowstąpienia Pańskiego; zaczęto jeszcze za rządów superyorskich X. Korsza, który wyjednał także pomoc w tym względzie od żony Fabiana Platera[1]), wielkiej XX. Misyonarzy zwolenniczki W późnej jesieni 1699 roku X. Korsz opuścił Wilno, a następnie i Zgromadzenie, zostawszy po sekularyzacyi oficyałem w Gdańsku, gdzie też i umarł.

---

[1]) Fabian Plater dnia 8. grudnia (?) 1688 r. poślubił Krystynę Korfównę, zmarłą 1728 roku, pochowaną u Misyonarzy, katoliczką, mylnie podawaną *de domo* Sackenów; matka jej pochodziła z tego rodu. Mieli oni syna Gotarda, młodo zmarłego, Sodalisa, też u Misyonarzy grób jego. Fabian Plater † przed r. 1709.

Ciąg dalszy życia Misyonarzy wileńskich w XVIII stuleciu.

Przy samym końcu XVII. wieku zjechał do Wilna w charakterze przełożonego X. Antoni Fabri, który po śmierci X. Michała Kownackiego awansował na Wizytatora prowincyi polskiej, a generał Zgromadzenia tak się o X. Fabri wyraził [1]) przy tej nominacyi: „nous l'avons remplacé par M. Antoine Fabri, prêtre italien qui est en Pologne depuis plus de trente ans, fort estimé au dedans et au dehors de la Congrégation, homme sage, capable et parfaitement en état de bien conduire cette Province et d'y faire fleurir la paix, l'union, la règle et l'esprit de la Congrégation".

X. Fabri urodził się w Państwie Kościelnem na początku 1652 roku, uczył się w seminaryum w Rzymie i wyświęcony tam na kapłana 1676, zaraz do Polski podążył, a że był doskonale przejęty duchem konstytucyi św. Wincentego, to go chętnie posyłano na przełożeństwo do rozmaitych Domów: do Przemyśla, Sambora, Chełmna, do Krakowa na Stradomiu, do Wilna, gdzie lat kilkanaście chwalebnie ten urząd sprawował, zanim go na Wizytatorstwo do Warszawy nie posłano. W Wilnie trudne miał zadanie, bo czasy właśnie były smutne, a z powodu wojny szwedzkiej położenie nadzwyczaj przykre i niebezpieczne; jednak z zupełnem poświęceniem się dźwigał brzemię swego dostojeństwa i umiejętnie kierował sprawami sobie poleconemi. Umarł w Warszawie przy końcu 1723 roku.

Już zaraz na początku rządów X. Fabri'ego znaleźli się nowi Misyonarzy wileńskich dobrodzieje: Stanisław Skarbek, cześnik miński, z małżonką swoją Teresą i Scipio Morykoni (nie znani nam bliżej) uczynili zapisy na rzecz Domu wileńskiego; altarya rudnosielska z folwarkiem Szamkami w 1701 konferowana Misyonarzom, ale i Platerowie nie zapominali nadal o swojej fundacyi: Fabian Plater, przyszły wojewoda inflancki, w 1702 r. przeznaczył 3.000 tynfów na nowy ko-

[1]) Mémoires de la Congrégation de la Mission, p. 84 et sqq.

ściół; siostra Jana Teofila Platera, za Andrzejem Korfem, zapisała 15.000 zł. na Żejmelach, ale po jej śmierci otrzymano tego tylko połowę. I księża czynili zapisy na kościół misyonarski: X. Stanisław Podsadowski, pleban różański, 5.000 zł.; X. Głębocki, probosz kobylnicki, 100 zł. czerwonych i 1.000 talarów; X. Symon Juszkiewicz, pleban rudnicki, 1.700 zł.; Józef Krajewski 1000 talarów etc. Nie brak też było i niepowodzeń: ogromny pożar w Wilnie w 1706 roku znaczne kościołowi wyrządził szkody, a we dwa lata później nowe na Wilno spadły klęski podczas wojny ze Szwedami.

Król szwedzki wyznaczył na Wilno 62.000 talarów bitych kontrybucyi; na dom misyonarski wypadło 250 talarów. Jednocześnie X. Anut, kapłan z Góry Zbawiciela, został wzięty do obozu szwedzkiego i tam musiał przez czas jakiś kapelanować. W Białym Dworze, dobrach misyonarskich, Szwedzi zrabowali dwa zamurowane sklepy ze zbożem; ale jeszcze więcej ucierpiały Jęczmieniszki, inny majątek do tychże Misyonarzy należący, od cara moskiewskiego, którego wojska pod komendą Baura usadowiły się we dworze jęczmieniskim i po wioskach okolicznych bezkarnie brały tam wszystko, co chciały.

I tak w Jęczmieniszkach zrabowano: owsa beczek [1]) 35, żyta 2, piwa 4, wódki garncy 12, baranów 5, cieląt 2, gęsi 6, indyków 6, siana wozów 50, masła garncy 3, serów 10, grochu 1 beczkę, soli garncy 4, pieniędzy „gotowych“ złotych polskich 8.

Z wiosek do tego majątku należących: owsa beczek 97, żyta 30, jęczmienia 42, pszenicy 11, siana wozów 250, owiec i baranów 44, wieprzów karmnych i świń 27, kozłów 2, konia 1, „kolas“ z chomątami 20(?), siermięg 5, żupanów sukiennych 8, kożuchów 9, skórek baranich wyprawnych 11, wołów 3, kur, gęsi i innego drobiu zrachować nie można, koszul, płótna, czapek, butów, powrozów, siekier przynajmniej za 400 zł. pol.

---

[1]) Beczka litewska zawiera 72 garncy; ośmina = $^1/_8$ beczki.

Z majętności Biały Dwór z attynencyą, też Misyonarzy: owsa kóp 206, jęczmienia kóp 195; siano i groch wszystko spasione. Egzekucya ta trwała więcej niż tydzień.

W rok potem (1709) nowe nieszczęścia — morowe powietrze; w samem Wilnie miało wtedy umrzeć c. 40.000 osób [1]). Misyonarze z Góry Zbawiciela wynieśli się do Jęczmieniszek i przy kościele zostawili tylko 2 kapłanów: X. Pieńkowskiego i X. Jankowskiego, którzy tam pomarli i pozostał tylko braciszek Małecki. X. Pieńkowski, dopóki żył, to ze Mszą świętą często udawał się do wsi Burbiszek, o $1/4$ mili od miasta odległej i tam pomiędzy dwiema sosnami nabożeństwo odprawiał, na które się lud zbierał, rozproszony po lasach.

W czasach tych klęsk znaleźli się jednak nowi klasztoru dobrodzieje. Tak n. p. Jan Gorzwiło-Dołnarowicz (nieznany bliżej) zapisał Misyonarzom 10.000 tynfów, a brat jego, Marcin, w 1710 roku, 300 czerwonych złotych; Marcin Żeromski, mieszczanin wileński, darował dom swój z ogrodem nad rzeką Wilejką, niedaleko od klasztoru; Michał Skorobohaty, stolnik trocki, 7.000 tynfów etc.

X. Krzysztof Michał Białłozór [2]), kanonik wileński, ofiarował im dobra swoje Białozoryszki [3]).

Nadto w tym czasie otrzymali XX. Misyonarze jeszcze niektóre inne zapisy, już to w sumach pieniężnych, już to w ziemi, ale te ostatnie niezawsze udawało się im w rękach swoich zatrzymać.

X. Antoni Fabri, przebywszy lat 15 superyorem w Wilnie misyonarskim, opuścił to stanowisko w 1715 roku.

---

[1]) Na innem miejscu owej kroniki zaznaczono zmarłych 30.000.

[2]) Ten Białłozór mało jest znany. Kossakowski — monografie historyczno-genealogiczne — utrzymuje, że ów kanonik Białłozór miał być synem Władysława, podkomorzego wiłkomierskiego; nieco o nim szczegółów podaje też X. prałat Kurczewski w biskupstwie wileńskiem.

[3]) Takiej nazwy i podobnej miejscowości niemało jest na Litwie i Żmudzi; te, o których tu mowa, znajdowały się, jakoby (tak kronika podaje) w powiecie wileńskim; zresztą też nam nieznane bliżej; co się z tą posiadłością stało później, również nie wiemy.

Następnie superyował tu X. Jakób Ignacy Cyboni (Ciboni) lat dziesięć, od r. 1715—1725.

Pomimo nazwiska cudzoziemskiego był to krajowiec [1]), bo się urodził w Lublinie dnia 28. lipca 1660 r., do seminaryum wstąpił w Warszawie 1682 i tam Bogu ducha oddał 19. listopada 1728 r., będąc superyorem w Łowiczu, a przedtem stał na czele Domu w Chełmnie, Krakowie i Wilnie. Historyograf Zgromadzenia tak o nim mówił: „Il était orné de toutes les vertus propres à un véritable enfant de Saint Vincent et surtout d'une profonde humilité et d'une parfaite obéissance envers les supérieurs... partout il se conduisit avec une rare prudence et travailla sans cesse à se perfectionner dans les vertus qui composent l'esprit de l'état et dans la pratique des voeux et des règles de la Congrégation".

Za rządów w Wilnie X. Cyboniego poczęto gromadzić kapitały na t. zw. seminaryum dla internów. Naprzód do do tego przyczynił się Władysław Juszyński, cześnik podolski (pochowany u Misyonarzy), który testamentem w 1718 roku zapisał znaczne sumy na takie seminaryum, na subsydya podczas misyj, jałmużny etc., ale sumy te były w rękach rozmaitych osób w Koronie i na Litwie, a nawet u kupców w Rydze i rewindykowanie tego szło bardzo powoli z wielkiemi stratami tak, że ostatecznie XX. Misyonarze otrzymali z tego zapisu tylko jakich sześćdziesiąt kilka tysięcy złotych polskich (a było tego trzy razy więcej); z tego więc, z dodaniem jeszcze sum niektórych, otworzono nakoniec seminaryum dla swego Zgromadzenia, na 24 seminarzystów i na 26 post vota na studyach będących, w r. 1725 [2]).

Sumptem Jana Teofila Platera nieskończono zupełnie kościoła misyonarskiego w całości; z jego funduszów zbudowano część od wielkiego ołtarza aż do kaplic św. Tadeusza i św. Wincentego a Paulo. Teraz znalazł się drugi znowu dobrodziej, który swoim kosztem dokończył murowa-

---

[1]) Mémoires etc. l. c. p. 193.

[2]) Encyklopedya kościelna XIV. p. 441.

nia świątyni, a tym był Antoni Nowosielski h. Ślepowron, kasztelan nowogródzki, on to wydał na to pomiędzy rokiem 1721—1725 zł. pl. 23.000, a testamentem legował jeszcze 16.000 zł.; z tego wpłynęły środki na ukończenie kościoła. Kasztelan Nowosielski umarł 1726 r., pochowany też u Misyonarzy.

Za czasów jeszcze X. Cyboniego (w 1719 r.) Marya Ludwika Platerowa, żona Jana Andrzeja Henryka, wojewodzina inflancka, przeznaczyła Misyonarzom wileńskim 800 talarów bitych: 700 na żałobne nabożeństwa za dusze rodziny, a 100 na szpital.

W r. 1725 X. Cyboni wyjechał z Wilna, mianowany superyorem w Łowiczu, jakeśmy już o tem wyżej wspominali, a na jego miejscu spotykamy na Górze Zbawiciela X. Bartłomieja Bocheńskiego, który przyszedł na świat [1]) 16. sierpnia 1675 r. w dyecezyi chełmińskiej, a w Zgromadzeniu od r. 1692, profesyę zaś złożył we dwa lata później; dalsza jego działalność nie znana nam wcale, lecz w Wilnie pracował bardzo czas krótki, dlaczego — też nie wiemy; w 1726 roku zastajemy tam nowego przełożonego, a X. Bocheński, jak wiadomo, przeniósł się do wieczności w Mławie d. 3. maja 1759 r., gdzie bardzo długo stał na czele Domu.

I tak już w 1726 r. był przełożonym Domu X. Łukasz Tykwiński, nieznany nam bliżej, domniemany autor tej kroniki; rządy jego w Wilnie trwały jakich lat zepewne, dwadzieścia kilka, ale do którego roku, też i tego nie jesteśmy pewni. Znamy również wtedy asystenta Domu, X. Piotra Szreitera (Schreiter) [2]). Obydwa oni bardzo

---

[1]) Mémoires etc. l. c. p. 219.

[2]) Wiemy, że ten X. Piotr Paweł Szreiter ur. 1689 r. w dyecezyi warmińskiej; w r. 1710 w seminaryum w Warszawie; potem tam prokuratorem, następnie profesorem teologii w Przemyślu; asystentem w Wilnie później, skąd go posłano do Rudnego Sioła, na Białąruś, gdzie altarya należała do Domu wileńskiego; tam umarł dnia 21. kwietnia 1743 roku, bardzo gorliwie i z pożytkiem wielkim pracując. We czterdzieści lat prawie 1780 r. potem zakończył życie też przy tej altaryi X Tomasz Sokołowski, również ze Zgromadzenia. Cfr. Mémoires l. c. p. 640—641.

gorliwie zajęli się rewindykowaniem należytości misyonarskich z zapisu Juszyńskiego na seminaryum internów przeznaczonego.

Fundusz ten powiększył X. Aleksander Horain, archidyakon wileński, potem sufragan żmudzki, zapisując 2.200 zł. z początku, a potem przelewając na Misyonarzy swoje prawa do 16.000 zł., które miał zahypotekowane na Niemenczynie w pow. wileńskim, ale w całości tej sumy Misyonarze nigdy nie otrzymali.

Następnie pomnożoną została suma na seminaryum owe, w r. 1730, przez legat Br. Aleksandra Józefa Ceraskiego (jeszcze tu mowa o nim będzie), koadjutora Domu wileńskiego, 23.000 zł., a także przez zapis 2.000 talarów bitych, w 1733 r., od Heleny 2 voto Tyszkiewiczowej (1 voto Nowosielskiej Antoniowej), żony Jerzego Skumina Tyszkiewicza, kasztelana witebskiego, który umarł w 1735 r. (pochowany u Misyonarzy), lecz przed śmiercią darował na Górę Zbawiciela też 2.000 talarów bitych. Platerowie także nie zapominali o Misyonarzach: Ferdynand, syn Jana Andrzeja Henryka, ze swoją żoną fundował ambonę, snycerską robotą wykończoną i pozłoconą do kościoła, który dnia 18. czerwca 1730 konsekrował sufragan wileński X. Jerzy Ancuta.

Zaburzenia w kraju po śmierci Augusta II. z powodu elekcyi Leszczyńskiego dały się we znaki bardzo Misyonarzom wileńskim.

Wojska rosyjskie pod pretekstem gnębienia stronników Leszczyńskiego, a podtrzymując niby Augusta III, rabowały na swoją rękę. X. Bogusław Gosiewski, biskup smoleński, znany stronnik króla Leszczyńskiego, złożył był u Misyonarzy swoje srebra, klejnoty, pieniądze, a sam z powodu inkursyi moskiewskiej przeniósł się do Tylży [1]). Gdy się Moskwa do-

[1]) Niesiecki zaledwo wspomina o tym biskupie, nie mówiąc wcale o jego rodzicach, a był on synem Wincentego, het. p. l., i Magdaleny Konopackiej, kasztelanki elbląskiej, a wnukiem Aleksandra, znanego wojewody smoleńskiego. X. Bogusław miał 3 siostry: Petronelę Grotthusową, Zofię Przyjemską i Teresę 1 voto za Baltazarem Słuszką, a 2 voto za

wiedziała o tem, na egzekucyę do Misyonarzy przysłała swoich żołnierzy. Dwóch księży — Klejkowicza i Smolikowicza — wzięto do niewoli i do Rygi zaprowadzono, gdzie 9 miesięcy się męczyli, a uwolnienie ich kosztowało 2.000 złotych. Moskwa, szukając tych depozytów biskupa, rozpędziła wszystkich księży z klasztoru, a przełożony musiał się jeszcze długo tułać po dworach szlachty na Rusi. Dom zaś cały misyonarski zrabowano ostatecznie. Zabrano, pomiędzy innemi, 10 beczek rozmaitego zboża i dano na żywienie 60 koni kozackich, które były tak wynędzniałe, że rychło wyzdychały, a wtedy kazano po trzy talary bite za każdego zapłacić. Stojąc obozem pod Wiłkomierzem, posłali Moskale mnóstwo żołdactwa do Białego Dworu, dóbr misyonarskich, i tam też wszystko zniszczono i zrabowano. Straty te nigdy już nie zostały wynagrodzone.

Gdy się w kraju trochę uciszyło, Misyonarze pomyśleli zaraz o odrestaurowaniu kościoła i przebudowaniu klasztoru, szczegółów jednak o tem w kronice nie znajdujemy, ale podają je owe Mémoires [1]), co się klasztoru tyczy. Czytamy tam: „La maison primitive devenant trop exiguë, le prince Radziwiłł [2]) la fit agrandir, en 1739. On lui donna la forme d'un cloître; l'ancien bâtiment resta, on y ajouta un troisième étage (zapewne i dół w to licząc); du côté du couchant on prolongea la ligne parallèlement avec celle du levant et on réunit les deux à l'église. Outre l'oratoire, une grande bibliothèque, la cuisine et d'autres dépendances, la maison

Kazimierzem Sapiehą, het. w. l; Biskup † 1744, mając lat 80. Cfr. Przyałgowski, Żywoty Biskupów wileńskich, Sapiehowie, monografia, i wyżej cytowana kronika klasztoru Misyonarzy.

[1]) Mémoires c. p. 510.

[2]) Wspomniany tutaj Radziwiłł, to, zapewne, pochodzący od wymienionej wyżej de domo Sobieskiej Radziwiłłowej, która miała 2 synów dłużej żyjących: Jerzego, zmarłego bezpotomnie i Karola I. Stanisława, 7 ordynata nieświeskiego; od tego znowu 3 synów; jeden z nich bez żenny † 1715; potem idzie Hieronim I. Floryan i Michał V. Kazimierz, ojciec „Panie kochanku". Nam się zdaje, że tu mowa o Hieronimie, † bezpotomnie 1760 roku.

renfermait cinquante trois chambres dans ses trois étages. L'architecte fut M. Szreiter (o którym też wyżej była mowa), procureur de la Maison. Cette construction fut entièrement terminée en 1750 et coûta 15 000 roubles d'argent".

Nowych zapisów zaczyna już bywać bez porówniania mniej; z większych przybył legat Biskupa Gosiewskiego, wynoszący 10.000 zł. i pałac zwany słuszkowskim, nadto darował biskup część tych klejnotów, co były w schowaniu u Misyonarzy.

Dom na Górze Zbawiciela posiadał od r. 1725 seminaryum dla internów, a od r. 1744 począł gromadzić sumy na taki zakład dla externów, kleru świeckiego, ale o tem mówiliśmy już na innem miejscu, nie będziemy więc tej kwestyi tutaj dotykać.

Platerowie, po dawnemu, nie przestali dbać o upiększenie kościoła. Tak Jan Ludwik w 1750 r. dał 400 talarów bitych, czyli zł. pl. 3.200, na wyprowadzenie wież kościelnych i sporządzenie facyaty [1]), w roku zaś następnym Jadwiga Elżbieta Platerowa, marszałkowa nadworna [2]), zapisała na ozdobienie świątyni 20.000 zł., a Konstanty Ludwik Plater przyczynił się do wykończenia wież kościelnych.

W tych czasach (c. 1756) zbudowali Misyonarze w swoich Jęczmieniszkach własnym kosztem kaplicę (w parafii niemenczyńskiej w p. wileńskim), następnie przez rząd skasowaną.

Inni magnaci też pamiętali o Misyonarzach wileńskich: Ignacy Ogiński z żoną Heleną zapisał 24 000 zł. w 1754 r. [3]); Brygida Sołłohubowa na dokończenie kaplicy św. Wincentego a Paulo dała 200 czerwonych złotych [4]); Anna Platerowa

[1]) Jan Ludwik Plater (syn Fabiana Ksawerego) † 1764 r., żonaty z Emerencyą Ludwiką, swoją siostrą stryjeczną † 1774 roku.

[2]) Jadwiga Elżbieta Platerowa, żona Ferdynanda Wilhelma, z domu Platerówna, † 1754. Konstanty Ludwik Plater syn Jana Ludwika, † 1778 r.

[3]) Ignacy Ogiński † 1775, żonaty z Heleną też Ogińską † 1789, bezdzietni.

[4]) Antoni Sołłohub, generał artl. litw., żonaty z Brygidą Radziwiłłówną, wojewodzianką nowogrodzką.

testamentem, 1758 r., przeznaczyła 3.000 złotych [1]) na intencyę donatorów, a po ich śmierci za duszę; Ludwik Tyszkiewicz, hetman p. l. [2]), z ewikcyą na wszystkich swoich dobrach legował 20.000 zł. w 1790 roku.

Potem znaczniejszych zapisów już prawie nie spotykamy [3]). Przy samym końcu XVIII. stulecia posiadał Dom wileński sum pieniężnych, już to zapisanych, już to dorobkowych, zredukowawszy to na ruble srebrne, *circa propter*, 80.000, ale już wtedy zaznaczano nie mało zapisów, które zaginęły zupełnie, a procentów zaległych liczono wówczas około 12 000 rubli srebrnych.

Kiedy ukończył swoje przełożeństwo X Tykwiński nie wiemy; po nim nastąpił, jak się dorozumiewać można [4]), X Bartłomiej Tylman; roku też nie mogliśmy się doszukać. Wiadomo jednak, że X. Tylman [5]) urodził się w dyecezyi chełmińskiej 1720 r., w r. 1737 przyjęty do Zgromadzenia, gdzie zakwitnął rozmaitemi cnotami zakonnemi; w Wilnie był dość długo, sprawując rozmaite godności (jako profesor, dyrektor seminaryum, asystent domu), a zapewne na końcu został tam superyorem i w Wilnie przeniósł się do wieczności dnia 22. kwietnia 1755 roku. Kto potem stał na czele tego Domu przez lat prawie 30, nie wiadomo. Dopiero zastajemy na tem stanowisku w r. 1782 X. Andrzeja Pohla, długo bardzo działającego w Wilnie; o nim jeszcze będzie mowa.

---

[1]) Anna Piotrowiczówna za Krzysztofem Konstantym Platerem, drugim synem Fabiana Ksawerego, umarła 1787 roku.

[2]) Ludwik Skumin Tyszkiewicz, ostatni po mieczu, z tej linii, umarł 1808 r., znany stronnik Stanisława Augusta, z którego synowicą był żonaty.

[3]) Legatów w XIX wieku znaczniejszych prawie nie było, a przynajmniej bardzo mało; tak wiemy o jednym trochę donioślejszym z r. 1816 od Brzostowskich z linii Michalickiej i Mosarskiej, mianowicie August Brzostowski, syn Roberta, kasztelanic połocki, z żoną swoją Barbarą z Hrebnickich, z ewikcyą na Mosarzu, zapisał 3.600 r. s.

[4]) Mémoires, l. c. p. 538.

[5]) Mémoires p. 520.

Znamy skład Domu z r. 1798 [1]).

1) X. Andrzej Pohl, superyorem już od lat 16 bez przerwy;

2) X. Teodor Łosacki, asystent Domu, lat 59, w Zgromadzeniu 41;

3) X. Tomasz Hussarzewski, prof. Uniw. l. 66, w Zgr. 41;

4) X. Grzegorz Jędrzejkiewicz, emeryt spracowany, 68, 46;

5) X. Michał Rogacki, mocno schorzały, lat 68, w Zgr. 40;

6) X. Jan Morawski, prefekt kościoła i szpitala, 48, 29;

7) X. Wojciech Czerechowski, prefekt i prof. szkoły mis. świeckiej;

8) X. Józef Laudański, prokurator Domu, 50, 14;

9) X. Józef Kowalski, dyrektor i prof. sem. dla extrn. 40, 13;

10) X. Mikołaj Nowicki, prof. nowicyuszów, 30, 12;

11) X. Józef Opetz, prof sem. dla extrn., 26, 9;

12) X. Józef Stankonowicz, takiż prof. 29, 8;

13) X. Wincenty Ratomski, profesor w szkole świeckiej, 24, 6;

14) X. Franciszek Burbure (?), też nauczający w tej szkole, 30, 11;

15) X. Dominik Zarzecki, prof. sem. kleru świeckiego 25, 5;

16) X. Onufry Bogusławski, prof. szkoły świeckiej 25, 5;

Klerycy misyonarze:

1) Kazimierz Ragulewicz, lat 25, w Zgrom. 3; 2) Jerzy Józefowicz, 23, 3; 3) Wincenty Michniewicz, 24, 3;

Nowicyusze:

1) Jakób Matusewicz, 2) Szymon Kisielewicz, 3) Floryan Łukaszewicz, 4) Wojciech Szczemowicz, 5) Augustyn Racewicz, 6) Franciszek Maicki, 7) Jan Górski, 8) Tomasz

[1]) Z wizyty na ten rok w ręku piszącego.

Grygałowski, 9) Justyn Sakowicz, 10) Stanisław Lizander, 11) Jan Puchalski, 12) Auguszyn Zahorski, 13) Mateusz Żyszkowski, 14) Paweł Jachimowicz, 15) Jan Januszewski, 16) Tadeusz Smólko.

Laicy:

Michał Zabłocki, lat 89, w Zgr. 46; Maciej Czyż, 100, 45; Andrzej Witkiewicz, 46, 23; Józef Pleskaczewski, 45, 15; Dominik Degawi, 47, 11; Benedykt Janowicz, 34, 11; Fryderyk Trybel, 26, 2; Kasper Marcinkowski, 25, 1.

Możemy też wyliczyć kilku Misyonarzy zmarłych w Wilnie w XVIII wieku, którzy się odznaczyli wielką pobożnością i niezmiernie gorliwem swych obowiązków spełnianiem [1].

Dnia 5. października 1736 roku oddał Bogu ducha X. Stanisław Pieńkowski. Urodził się on w Płockiem w 1661 r.; w Zgromadzeniu od r. 1687; wkrótce potem przysłany do Wilna, gdzie właśnie rozpoczynała się działalność Misyonarzy i on w tem miał udział zawsze czynny i bezpośredni, oddając się całem sercem i zapałem wykonywaniu przepisów Zgromadzenia i takim pozostał, ciągle w Wilnie, aż do śmierci.

W roku następnym 1. marca zmarł tam Laik Aleksander Józef Ceraski, pochodzący ze znanej rodziny kalwińskiej, który przyszedł na świat 1683 r., długo służył w wojsku, ale przekonawszy się o prawdzie wiary katolickiej, nawrócił się i na początku 1730 r. już był w Zgromadzeniu, gdzie do śmierci przyświecał wielką bogobojnością i cnotami zakonnemi; on to ze swojej ojcowizny zapis uczynił na rzecz Domu na Górze Zbawiciela, o czem mówiliśmy wyżej.

X. Jerzy Puszyński pochodził ze Żmudzi, urodzony w 1671 r., w Zgromadzeniu od roku 1692, zmarły w Wilnie w lutym 1743 r., więcej niż lat 40 pracował tam bardzo sumiennie w charakterze prokuratora i jako misyonarz pomiędzy ludem z wielkim pożytkiem.

---

[1]) Mémoires l. c p. 516—549.

X. Franciszek Butkiewicz opuścił ten świat na początku maja 1755 r., urodził się także na Żmudzi, w 1687 r.; do Zgromadzenia przyjęty 1710 r., a po wyświęceniu posłany do Wilna, gdzie uczył kleryków misyonarskich teologii moralnej, był też dyrektorem seminaryum dla externów i z powodzeniem wielkiem odbywał częste misye na Litwie.

X. Andrzej Falciewicz umarł na Górze Zbawiciela przy końcu lipca 1755 r., mając lat 45 i 13 wokacyi. Ten pracował naprzód w Smiłowiczach, a potem w Wilnie, wyprawiany na misye do tych miejscowości, gdzie mówiono po litewsku, ponieważ on znał ten język; uczył on też teologii moralnej alumnów misyonarskich, z wielką korzyścią.

X. Mikołaj Preyss opuścił ten świat w 1760 roku; rodem z Warmii, przyszedł na świat 1709 r., w Zgromadzeniu od r. 1730; odznaczał się niezwykłą pobożnością i darem ustawicznej prawie gorącej modlitwy; uczył teologii moralnej i był dyrektorem seminaryum dla externów. Do Wilna przysłany w 1746 r., spełniał tam rozmaite obowiązki, a 6 lat piastował urząd asystenta Domu.

X. Franciszek Kubusiewicz zmarł prawie nagle 19. lutego 1784 r., opłakany rzewnie przez wszystkich swoich towarzyszy, od których był bardzo kochany. Urodził się na Wołyniu w 1711 r.; do Zgromadzenia wstąpił dopiero w 1751 r. w Wilnie, ale rychło tam rozwinął i okazał wszelkie przymioty właściwe stanowi duchownemu; wiele go też ceniła starszyzna misyonarska.

X. Wawrzyniec Martuszkiewicz zakończył życie 2. października 1784 roku; pochodził on z Przemyskiego (ur. 1713 r.), do Zgromadzenia przyjęty w Warszawie 1731; potem posłany do Wilna, gdzie oddawał się umartwieniom wielkim, pędził żywot bogobojny, odznaczał się słodyczą charakteru.

X. Jan Trybułowicz przyszedł na świat w dyecezyi wileńskiej na początku roku 1766; nauki pobierał w szkole łyskowskiej za czasów tam i rządów X. Zdulskiego i już tam zauważono w nim piękne przymioty duszy, pobożność,

chęć do nauk. Uczuwszy w sobie powołanie do stanu duchownego, wybrał sobie Zgromadzenie Misyonarzy, w którem zapragnął Bogu służyć całem sercem. Na Górze Zbawiciela przyjęto go chętnie, bo już go tam znano, 20. września 1784 roku i tu dopiero rozwinął pełnię zalet swoich i właściwości, zdobiących jego duszę, ale brakło mu zdrowia dobrego; żeby je wzmocnić, z porady lekarzy, posłano go na wieś do Rudnego Sioła (o którem już mowa była), lecz to mu niestety nie bardzo pomagało! Stamtąd musiał się nieraz udawać do lekarzy do Mińska (Litewskiego) i tam w klasztorze Bernardynów dnia 27. września 1792 roku Bogu ducha oddał, przez wszystkich bardzo żałowany.

Misyonarze wileńscy w XIX. wieku. Powstanie nowej prowincyi i spis jej Wizytatorów.

W granicach Polski całej jedną tylko mieliśmy prowincyą Zgromadzenia Misyonarzy, chociaż ona reprezentowała z czasem obszar ogromny. Po ostatniem jednak rozćwiartowaniu kraju w zaborze rosyjskim pozostałe Domy misyonarskie odcięto od prawowitej władzy Wizytatora, w Warszawie rezydującego i stosunki z nim stały się bardzo utrudnione, czasem nawet niemożliwe, a położenie ówczesne Stolicy Apostolskiej i generalnego Superyora było tego rodzaju, że z tej strony nie można było oczekiwać rychłej pomocy w uregulowaniu spraw i zarządu duchownego Misyonarzy w zaborze rosyjskim, co znowu za sobą mogło pociągnąć rozluźnienie obserwy i upadek karności zakonnej, a już prawie dwa lata te Domy musiały się obchodzić bez zwierzchnika prowincyi.

Wtedy oczy wszystkich przełożonych misyonarskich zwróciły się na X. Andrzeja Pohla, wyglądając od niego pomocy i upatrując w nim tego, któryby mógł nowo utworzonej prowincyi z pożytkiem, a nawet z chwałą przewodniczyć; biskupi dyecezalni ze swojej strony w zupełności ten wybór aprobowali, a i rząd rosyjski zgodził się na to i tym sposo-

bem powstała tego Zgromadzenia w zaborze rosyjskim nowa prowincya, którą następnie zatwierdził generalny syperyor X. Cayla, nadając jej kanoniczny charakter. Prowincyą tę nazywają czasem też litewską, ale to niesłusznie, bo się składała także z domów na Wołyniu, Podolu, na Rusi Białej, Podlasiu, w Kurlandyi, Inflantach, a według dawnego podziału administracyjnego były to ziemie koronne, litewskie i inflanckie. Początek tej prowincyi uczyniono już w 1795 roku, a w następnym zupełnie ją do życia powołano i pierwszym jej wizytatorem obu zgromadzeń został X. Pohl.

X. Andrzej Pohl urodził się w 1742 r. w Łowiczu i tam zapewne, a może i w Warszawie, pierwotne odbywał nauki; do Zgromadzenia wstąpił w 1759 r. dnia 8. września, duchowne studya w niem ukończywszy; takie w nich rychło uczynił postępy i tyle zdobył wiedzy, że już w r. 1764, gdy jeszcze był tylko dyakonem, [1]) wysłano go do Wilna, aby tam w seminaryum dyecezalnem nauczał, a na dysputach teologicznych, zarządzanych przez Jezuitów od św. Jana, tak się odznaczał, że biskup Massalski zwrócił na niego uwagę i wyjednał dla niego dyspensę na święcenia kapłańskie, bo miał wtedy tylko lat 23, a więc w 1765 r. został księdzem.

Po skasowaniu Jezuitów chciano go powołać do wykładów uniwersyteckich, ale się od tego uchylił, chcąc się w zupełności Zgromadzeniu poświęcić, a pracował tam tak gorliwie i z takiem natężeniem, że to podkopało jego zdrowie, jednak lat 9 wytrwał na tem stanowisku, ucząc w seminaryum filozofii i teologii, a przytem spełniając inne jeszcze obowiązki. Następnie dla poprawy zdrowia wyprawiono go do Siemiatycz w charakterze prefekta kościoła i kaznodziei, gdzie też parę lat pracował żarliwie w Winnicy Pańskiej; aż tu, w 1776 r., wezwał go X. Siemieński, superyor u Św. Krzyża w Warszawie, aby mu pomagał w zajęciach i uczy-

---

[1]) Cfr. Mémoires de la Congrégation l. c., p. 550 et sqq., rozmaite wizyty Domu wileńskiego misyonarskiego, Dr. J. Bieliński, Uniwersytet w Wilnie, t II., p. 557.

nił go asystentem Domu, w stolicy więc odtąd lat sześć oddawał się wytrwale, niezmordowanie swoim zajęciom około dusz zbawienia i umoralnienia naszego skołatanego społeczeństwa, gromadząc sobie wielkie zasługi w tym kierunku, i stawszy się już wybitną w Zgromadzeniu osobistością, i jako taką powołano go na superyora w Wilnie, na Górze Zbawiciela, w 1782 roku.

Tu dopiero rozwinął on w zupełności swoje organizatorskie zdolności, obok dawnych dodatnich przymiotów, odznaczając się zaszczytnie jako przełożony Domu wileńskiego, a potem jako zwierzchnik całej prowincyi, dla której zdziałał bardzo wiele i położył fundamenty do jej przyszłej, trwałej egzystencyi i podstawy do jej prawidłowo kanonicznego życia. Zadanie to jednak nie było wcale łatwe, a często nawet najeżone trudnościami i przeszkodami rozmaitemi; pomimo tego nie upadał na duchu, nie przestawał być czynnym, zawsze mając na względzie dobro Zgromadzenia, a temsamem i Kościoła; tym sposobem przynosił on i zwiększał pożytki i korzyści dla katolicyzmu; jednał też sobie szczerze szersze sfery społeczeństwa, i to mu chętnie powierzało spełnianie rozmaitych zadań społecznych, z których wywiązywał się zaszczytnie, uznawano więc jego zasługi w kościele i na polu naukowem, a Uniwersytet wileński w 1811 roku nadał mu stopień doktora teologii; nadto był on komisarzem komisyi cywilno-wojskowej, lat kilka komisarzem w rozmaitych sprawach, też w komisyi szpitalnej, a przedtem członkiem rządu tymczasowego w Wilnie (1794 r.); założył kilka szpitali, przytułków dla sierót i podrzutków, odnowił kościół św. Kazimierza (jeszcze będzie o nim mowa); zaprowadził w Wilnie zwyczaj, ażeby w niedziele i święta, w wielkim poście i adwencie kapłani i klerycy ze Zgromadzenia Misyonarzy nawiedzali cierpiących w szpitalach i wykładali im naukę chrześcijańską i pocieszali; słynnym też był kaznodzieją i teologiem, cieszącym się wielką wziętością; oprócz tego wszystkiego opiekował się bardzo szkołami.

Bardzo mu też leżało na sercu wykształcenie młodzieży swego Zgromadzenia i w tym celu zakładał seminarya dla internów w Zasławiu, Smiłowiczach, Krasławiu, a na kongregacyach prowincyonalnych uchwalono pożyteczne przepisy, tyczące się nauczania kleryków i ugruntowania obserwy, czego on bardzo przestrzegał. Korespondując z Wizytatorem generalnym, donosił mu o stanie i położeniu Zgromadzenia w swojej prowincyi; z tego się dowiadujemy, że w r. 1804 liczono tam 87 kapłanów, 20 studentów, 24 nowicyuszów; zaznaczał przytem, że ogólnie biorąc, sytuacya Zgromadzenia dość pomyślna. We dwa lata później pisał, że w prowincyi domów głównych 7 (?), rezydencyi 2, że Misyonarze zarządzają 7 seminaryami dyecezalnemi, 103 kapłanów, 25 studentów, 22 nowicyuszów, 10 koadjutorów.

Nie brak też było różnych nieprzyjemności i kolców: w 1816 roku rozszerzano fałszywe wieści, chciwie podtrzymywane przez rząd rosyjski, że Papież skasował Misyonarzy; z tego powodu 29 Misyonarzy opuściło Zgromadzenie. Oprócz tego znaleźli się tacy oszczercy, co rzucili potwarz na X. Pohla, że nie dbał o nauki, że obserwa w prowincyi upada etc., ale to już bardzo łatwo było, na podstawie faktów niezbitych, zaprzeczyć temu wszystkiemu stanowczo. Zresztą rozkwit prowincyi był widoczny, dzięki niezmordowanej działalności X. Pohla, który rządził prowincyą aż do śmierci, a ta go zabrała z tego świata 13/25 listopada 1820 r.

Jużeśmy wyżej o tem wspominali, że X. Pohl znanym jest autorem dzieł licznych, które tu wyliczamy, idąc za Estreicherem [1]).

Institutiones Theologiae dogmaticae et moralis, Wilno, 1809—1810, in 8⁰ I., II., 34+696, 10+546;

To samo, Warszawa 1845, 8⁰, 575+XXV., 509+VII+10;

To samo, Warszawa 1858—1859, 8⁰, 474+XXII, 429+XV;

Katechizm moralny, Wilno 1804—1806, 8⁰, t. 4;

---

[1]) Bibliografia Polska XIX. stulecia t. III., Ł — Q, Kraków, 1876, p. 437; dzieła X. Pohla wydane przeważnie w Wilnie u Misyonarzy.

Katechizm dogmatyczny, Wilno 1809, 8°;

Kazania dogmatyczno-moralne... Wilno 1814, in 12°;

Kazania moralne o powinnościach człowieka ku Bogu... Wilno 1812, 8°.

Kazania pogrzebowe, t. 2, Wilno 1805, 8°;

Kazania świętalne (?) na uroczystości... Część I—III, Wilno 1811, 12°;

Kazania misyjne, Wilno 1815, t. 4, 290, 255, 291, 262;

Kazania na nowy rok, post wielki... Wilno 1818, 8°, 133;

Konferencye podczas pięciodniowych rekolekcyj, Wilno 1811, 8°.

Medytacye dla odprawiających rekolekcye, Wilno 1819, 4°, 155;

Medytacye z pospolitych reguł Sióstr miłosierdzia, Wilno 1808, 8°.

Mowy kaznodziejskie, Wilno 1809;

Mowy kaznodziejskie w różnych okolicznościach, Wilno 1814, 8°, 60;

Nauki moralne dla odprawiających rekolekcye, Wilno 1818, in 4°, 318;

Inna edycya tegoż z r. 1793 p. t. Zbiór medytacyj;

Prosta odpowiedź... na niewierne pismo żydowskie... Wilno 1817, 8°, 78; chociaż jest mniemanie, że to napisał znany Dominikanin O. Korzeniowski;

Powinności chrześcijańskie, Wilno 1814, 12°;

Rekolekcye duchowne, Wilno 1811;

Rachunek generalny sumienia, Wilno 1814, 12°.

Rozprawa, czy wolno wszystkim czytać Pismo Św. w językach krajowych, Wilno 1818, 8°, 24 (skierowana przeciw towarzystwu biblijnemu);

Rubricellae breviarii et missalis Romani... 2 t., Wilno 1821, 12°, 388, 230;

Scriptura sacra... Wilnò 1810—1812, 8°, tomów 5;

Życie X. Tomasza Husarzewskiego ze Zgromadzenia XX. Misyonarzy, in 4°, 1 arkusz, bez roku i miejsca druku.

Ale nie sa to wszystkie X. Pohla prace; w *Mémoires de la Mission, l. c.*, znajdujemy jeszcze takie, których Estreicher nie cytuje.

Collectio Bullarum et Decretorum Congregationem Missionis concernentium, Wilno 1815;

Philosophia naturalis theologiae revelatae praeambula, sex part. comprehensa, 1794;

Rekolekcye na 8 dni, Wilno 1795;

Zbiór krótkich medytacyj z reguł pospolitych Zgromadzenia Missyi, Wilno 1793.

Zapewne jeszcze inne dzieła znalazłyby się. Wiadomo też, że w manuskryptach pozostały prace X. Pohla niedrukowane w dość pokaźnej ilości. Z jego też inicyatywy były wydawane katalogi Zgromadzenia, które są obecnie ogromnie wielką rzadkością [1]).

Po śmierci X. Pohla czasowo zarządzał prowincyą X. Józef Stankonowicz w charakterze wikaryusza generalnego, ale trwało to nie długo, może rok jaki. X. Stankonowicz urodził się na Litwie pomiędzy rokiem 1770 i 1771; uczył się najprzód w Kownie, a potem się kształcił w Głównej szkole litewskiej; do Zgromadzenia wstąpił w 1790 r., a w 8 lat później zastajemy go [2]) na Górze Zbawiciela, jako profesora seminaryum dyecezyalnego; następnie sprawował tam inne urzędy: zakrystyana, prefekta konwiktu, asystenta Domu w 1808 r., superyora w 1812 r., potem (1818) znowu asystenta, znowu superyora (1820). Po roku 1821 już się z nim nie spotykamy, zapewne musiał umrzeć w tych czasach.

Jest on też autorem pierwszego życiorysu X. Pohla, wydanego w Wilnie, p. t. Pamiątka życia ś. p. J. X. Andrzeja Pohla, pierwszego w państwie rosyjskiem wizytatora Zgromadzenia XX. Misyonarzy i Sióstr Miłosierdzia, in 4°, str. 20,

---

[1]) Posiadamy jeden tylko taki na r. 1808.

[2]) Na podstawie wizyt kanoniczych Domu wileńskiego XX. Misyonarzy, manuskryptów w ręku piszącego.

nieliczbowanych 2, Wilno 1821, w drukarni dyecezalnej przy kościele św. Kazimierza [1]).

Drugim wizytatorem został X. Dominik Zarzecki, piastujący to dostojeństwo przez dwa triennia, od r. 1821 do 27 kwietnia 1827 roku. Był on rodem z Litwy; przyszedł na świat pomiędzy rokiem 1771—1772, *circa propter* [2]); uczył się w Poniewieżu u Pijarów do roku 1791; potem we wrześniu 1793 r. wstąpił do Zgromadzenia Misyonarzy na Górze Zbawiciela, gdzie odbył nauki duchowne, a w r. 1821 otrzymał świadectwo od Uniwersytetu posiadania dostatecznej wiedzy teologicznej. Na kapłana wyświęcony 1796 r., i we dwa lata później zastajemy go profesorem seminaryum w Wilnie i od r. 1801 dyrektorem tamt. seminaryum dla świeckich kleryków: w r. 1801 był wicesuperyorem na Górze Zbawiciela, 8 lat później — dyrektorem misyj i rekolekcyj, a od 1820 r. — asystentem Domu. Ukończywszy swoje zwierzchnictwo prowincyonalne [3]), był pierwszym konsultorem i superyorem u Św. Kazimierza w Wilnie.

Na tych wszystkich stanowiskach miał się odznaczać przezornością, energią i rozmaitymi przymiotami, właściwymi stanowi kapłańskiemu, oddany też był serdecznie sprawom swego Zgromadzenia i jego obserwie. Pożegnał się z tym światem w Wilnie dnia 13/25 listopada 1829 roku.

Trzecim wizytatorem obrano X. Jakóba Gąsowskiego, sprawującego to dostojeństwo przez jedno tylko triennium, od r. 1827—1830.

---

[1]) Pomiędzy dziełami X. Pohla wymieniona tu także wyżej wspomniana Prosta odpowiedź chrześcijanina... na pismo żydowskie..., zakwestyonowana przez innych, a także zacytowana jeszcze jedna X. Pohla praca tejże natury — Odpowiedź Izaaka Ben Moszek, rabina brzeskiego, Abrahamowi Lizbońskiemu, Wilno 1817 in 8°.

[2]) W wizytach tych, co mamy pod ręką, daty urodzenia podawane tak rozmaicie, że pewności często mieć nie można.

[3]) W Mémoires de la Congrégation, p. 694, niedokładne są wiadomości, że do śmierci był wizytatorem, i że przeniósł się do wieczności w 1827 roku.

Pochodził on z Podlasia, gdzie się miał urodzić około r. 1788 i pierwotne nauki pobierał w Łomży; do Zgromadzenia misyonarskiego na Górze Zbawiciela wstąpił w 1804 roku i w 1808 r. był tam w liczbie *Clericorum Studiosorum;* musiał swoje studya duchowne chlubnie ukończyć, bo jeszcze przed wyświęceniem na kapłana (1812 r.) zaczął nauczać kleryków w Zgromadzeniu, co trwało lat jakich kilkanaście. Na kapłana wyświęcony w 1813 roku, a od roku następnego był dyrektorem *seminarii externi,* w roku zaś 1820 prefektem kościoła w Wilnie i konsultorem; następnie piastował godność wizytatorską i w tym czasie, w 1829 roku, otrzymał stopień magistra teologii w Uniwersytecie wileńskim. Skończywszy działalność wizytatorską, został pierwszym konsultorem prowincyi.

Dalsze jego losy nie są nam dokładnie znane: w 1836 roku nie znajdujemy go w katalogu Zgromadzenia, a tymczasem skądinąd wiadomo, że umarł w październiku 1844 roku, gdy mu liczono lat 56. Czyby opuścił Zgromadzenie? [1])

Czwartym wizytatorem mianowano X. Józefa Bohdanowicza, rządzącego prowincyą bardzo długo i patrzącego na rozproszenie Zgromadzenia, jakiem sercem, łatwo zrozumieć... Rodem też z Podlasia, gdzie ujrzał światło dzienne około r. 1787 lub 1786; w szkołach się uczył w Maryampolu i Kownie i 1804 r. poświęcił się stanowi duchownemu na Górze Zbawiciela; też przed wyświęceniem na kapłana nauczać zaczął, od r. 1808—1810, w Iłłukszcie, potem święcenia kapłańskie i urząd profesorski w seminaryum w Worniach 2 lata, w wileńskiem 8; przytem 1818 r. wicesuperyorem w Wilnie, 1820 r. asystentem Domu na Górze Zbawiciela, prefektem kościoła, konsultorem, superyorem, egzaminatorem dyecezalnym, cenzorem książek duchownych.

Był to człowiek bardzo wykształcony; oprócz łaciny i języka polskiego znał język francuski i niemiecki, a w r. 1830,

---

[1]) Mémoires i tutaj, cf. p. 694, nie zaznaczają pewnych w tej kwestyi wiadomości.

napisawszy i obroniwszy rozprawę uczoną, otrzymał stopień doktora teologii od Uniwersytetu wileńskiego[1]). Tytuł tej pracy taki: *Dissertatio de antiquis Bibliorum versionibus latinis et praecipue de Vulgata.. quam in Caesarea litterarum Univ. Vil... publice defendet... Lithuanus teolog. magistr., Presbyterorum Saecularium Congregationis S. Vincentii a Paulo per totam Rossiam Visitator. Anno 1830, Vilnae, typis dioecesanis, 8⁰, 50.*

O działalności jego jako superyora i wizytatora będziemy jeszcze mieli sposobność mówić.

Odznaczał się on niezwłykłą energią, stałym charakterem i był niezmordowanym w wypełnianiu swoich obowiązków wszelkich.

Od roku 1840, można powiedzieć, zaczęły się dla niego okropne utrapienia i ciosy potem straszne dla Zgromadzenia; znosił te krzyże z rezygnacyą, ale ciężko mu było wytrzymać i znieść ów krzyż-dekoracyą, co spadł na niego od cesarza Mikołaja[2]); wkrótce potem zachorował i umarł w Wilnie dnia 31. maja 1846 roku, szesnaście lat stojąc na czele prowincyi, której przyświecał jasno cnotami swojemi; pochowany na cmentarzu, Rosą zwanym, pod kaplicą, zaczętą z jego inicyatywy w 1841 roku.

Po śmierci X. Bohdanowicza generał Zgromadzenia powołał na godność wizytatorską w 1847 roku X. Jerzego Tołowińskiego[3]); ale ten się wyprosił od tego brzemienia.

O X. Tołowińskim wiemy z katalogu na rok 1837 wydanego[4]), że mu wtedy liczono lat 42, a w Zgromadzeniu 22; był wówczas konsultorem prowincyi, asystentem Domu w Wilnie i magistrem teologii. Po rozproszeniu Misyonarzy i przymusowej sekularyzacyi sprawował obowiązek proboszcza w rozmaitych parafiach dyecezyi wileńskiej i w r. 1864 żył jeszcze.

---

[1]) Dr. Bieliński, Uniwersytet w Wilnie, II. p. 603.

[2]) Memoires, l. c., p. 729.

[3]) Mémoires, l. c., p. 730.

[4]) Catalogus Personarum Congregationis Missionis in imperio Rossico existentium in annum Dei 1837 editus, bez roku i miejsca druku; zapewne w Wilnie wydany

Następnie rozproszeni członkowie Zgromadzenia misyonarskiego, *proprio motu*, uznali nad sobą władzę duchowną X. Jana Erdmana, też konsultora prowincyi, a władza dyecezalna *tacite* na ten wybór się zgodziła, a potem na wiosnę 1861 r. generał Zgromadzenia kanonicznie ten obiór potwierdził [1]), chociaż ze strony rządu rosyjskiego *exequatur* nie otrzymała ta nominacya.

Z X. Erdmanem spotkamy się jeszcze; tu tylko powiemy, że w wyżej wspomnianym katalogu na rok 1837 zaznaczono mu lat 40, z tych połowę przepędził w Zgromadzeniu.

Pochodził on z Białej Rusi z powiatu drysieńskiego, był szlachcicem; uczył się naprzód w szkole oświejskiej, a do Zgromadzenia wstąpił w 1817 roku, śluby wykonał w 1820 r., na kapłana wyświęcony 23. sierpnia roku następnego; potem nauczał w szkole i seminaryum w Krasławiu, następnie w Iłłukszcie, znowu posłany do Krasławia w charakterze superyora, gdzie pracował lat kilka i stamtąd go do Wilna powołano i tam już długo działał, a zawsze z wielkim pożytkiem. Dożył on do czasu zwrócenia i odrestaurowania kościoła na Górze Zbawiciela (o czem tu jeszcze mowa będzie), przy którym jako rektor zostawał. Niekiedy [2]) podają datę jego tam śmierci w roku 1875, ale tak nie było: w *Directorium* wileńskiem na rok 1873, już go tam niema, a pomiędzy zmarłymi kapłanami w 1872 r., też on niewymieniony, zapewne więc świat ten pożegnał po roku 1870.

(Dokończenie nastąpi).

Smora.

---

[1]) Mémoires, l. c, p. 730.

[2]) Biskupstwo wileńskie, kartka z dziejów kościoła katolickiego w Polsce rosyjskiej, Kraków, 1889, p. 120.

Z dziejów Domu Stradomskiego.

III. Seminaryum duchowne na Stradomiu.

6. Profesorzy jako wychowawcy.

Misyonarzy zajętych w seminaryach francuskich wychowaniem kleru, zwano regensami, później zaś dyrektorami, podczas gdy przełożony domu zwał się superyorem. W niektórych seminaryach polskich przełożony nosił nazwę prefekta, n. p. w seminaryum Zamkowem w Krakowie i w Gnieźnie. Powyżej wspomnieliśmy, że przełożony seminaryum był zazwyczaj także superyorem Księży Misyonarzy. Konwent z r. 1673 poleca mu dbać o to, aby jego podwładni konfratrzy dobrze spełniali swe podwójne zadanie profesorów i wychowawców. W tym celu ma wglądać w ich wykłady szkolne, konferencye i inne obowiązki.

Od dyrektorów żąda konwent pewnych osobistych przymiotów i warunków [1]). Wymaga od nich świętości, a raczej dążenia do niej, według tego, jak przepisuje pierwszy cel naszego Zgromadzenia, wypowiedziany na początku „Reguł wspólnych". Oderwani od częstych stosunków zewnętrznych ze światem, powinni się oddać całkowicie formowaniu kleryków na dobrych kapłanów. Mają pilnować swego zdrowia: z tej przyczyny, mimo rzeczywiście gruntownej pracy w swym

---

[1]) Directoire des grands séminaires, I. p. ch. 2. c. str. 22. sqq. oraz Konwent gener. z r. 1673. Avis touchants l'office des directeurs des séminaires. Receuil des circulaires t. I., str. 148.

urzędzie, powinni uważać, aby zdrowia nie niszczyć. Trzeba więc unikać przesady i zbytecznego wytężania umysłu, po nocach nie pracować, podczas wykładu nie natężać głosu, nie kumulować prac, lecz raczej je rozkładać umiejętnie; oto ich obowiązek.

W stosunku do seminarzystów powinni profesorzy czyli dyrektorzy przestrzegać pewnych norm stałych i praktykować pewne cnoty. Mianowicie dbać mają o to, aby pozyskać sobie zaufanie seminarzystów i zasłużyć na ich szacunek, bez czego nie znajdą dostępu do serc młodzieży. Pracować powinni z poświęceniem i gorliwością, godną tak wzniosłej sprawy. Dalej niech łączą w swem postępowaniu słodycz z prostotą i roztropną czujnością, której nie ujdzie nic godnego uwagi i która nie da się wprowadzić w błąd żadnym podstępem. Z wad, których strzedz się muszą bardzo, wyliczyć należy najpierw wszystkie nieuzasadnione uprzedzenia, jak również nieroztropne wyróżnianie niektórych alumnów, a wreszcie niedyskrecyę w słowach i postępowaniu.

Wyposażeni w odpowiednie przymioty i wolni od wskazanych wad, powinni profesorzy spełniać w seminaryach swe wielkie obowiązki wychowawców i nauczycieli. Konwent generalny z r. 1668 [1]) stawia tu główną i uwagi największej godną zasadę, że alumnów należy wyrabiać najpierw na dobrych chrześcijan, a potem dopiero na wzorowych kapłanów; budowę duchowną rozwinąć trzeba całkowicie, zaczynając od fundamentów etyki, co jest główniejszem. Naucza Konwent, że należy w medytacyach dawać im najpierw do rozważania tematy o drodze oczyszczającej, jak o grzechu, sądzie Bożym i t. d., a potem wejść na temat drogi oświecającej, przedstawiając ich duszom cnoty chrześcijańskie, pokorę, umartwienie, trzeźwość; po nich zaś dopiero cnoty kapłańskie. „Ważną jest rzeczą — powiada dalej Konwent — żeby ten porządek zachować dla uniknienia tego błędu, w jaki łatwo można popaść, mianowicie: chcieć ich zrobić dobrymi

---

[1]) Recueil des principales circulaires, t. I, str. 92, XIII, 4°.

klerykami, wprzód zanim zostaną dobrymi chrześcijanami, co się zdarza wtedy, gdy się im nie dość usilnie wpaja w umysł obrzydzenie do grzechów, pospolicie popełnianych, i gdy się ich nie naucza cnót chrześcijańskich". Proste to są słowa, a jednak tak ważne, jak to wskazuje codzienne doświadczenie. — Dusza ludzka jest najpodatniejszą na działanie dobrego podczas medytacyi, gdy staje pokornie wobec Boga; dlatego też należy zwracać szczególniejszą uwagę na przedmioty rozmyślań kleryckich. Trzeba zaś zacząć od wyłożenia alumnom systemu rozmyślania, aby umieli medytować z korzyścią. System medytacyi trzeba im przedstawić bardzo starannie. Na rozmyślanie przeznaczyć należy co dzień pół godziny, nie licząc w to czytania punktów. Oprócz rozmyślań są co tydzień konferencye czyli przemowy do alumnów. Wygłaszają je profesorzy po kolei. Temat konferencyi ma być wprzód alumnom zapowiedziany, żeby mogli się doń przysposobić; czyli, że nie biernie mają się zachować, lecz sami także powinni badać przedmiot nauki duchownej. W ten sposób lepiej rzecz pogłębią i więcej się nią zainteresują.

Spowiedź św. i Komunię zaleca się seminarzystom w niedziele i święta, a co do Komunii sprawa zostawiona jest uznaniu spowiednika. Przytem w myśl Kościoła superyor nie powinien słuchać spowiedzi seminarzystów, chyba, że który z nich wyraźnie go o to prosi [1]). Ta zasada okazała się tak mądrą, że obecnie została zamieniona w ustawę kościelną.

Również niezmiernie ważną rzeczą w kierownictwie duchownem jest komunikacya wewnętrzna czyli odkrycie stanu swej duszy przed swym przewodnikiem duchownym. Wszystkich alumnów należy do niej łagodnie pociągać, aby zechcieli otworzyć swe serca przed przełożonymi, a tym, którzy się do tego skłonią, poświęcić specyalną uwagę, aby odnieśli stąd jak najobfitsze pożytki

[1]) Konwent 1668 r. Avis 15—16.

Wielkiej wagi rzeczą jest także wzajemne przestawanie alumnów ze sobą na rekreacyi, gdyż tam może się dużo dobrego, a więcej jeszcze złego, udzielać jednym od drugich. Z tego powodu nie można zostawić rekreacyi bez nadzoru. Dwie rzeczy są tutaj nakazane: zawsze jeden z profesorów ma być na rekreacyi z alumnami. Ale może być ich kilku, z tem tylko zastrzeżeniem, żeby dwóch razem nie było w tej samej grupie alumnów, z powodu wielu niewłaściwości, mogących stąd wyniknąć [1]). Ks. wizytator Śliwicki [2]) przypomina Misyonarzom stradomskim obowiązek udziału w rekreacyach alumnów, mianowicie chce, aby brali udział w drugiej połowie rekreacyi, i to wszyscy księża profesorzy do kolei.

Trzeba wizytować sale alumnów, bacząc, czy tam niema złych lub niepożytecznych książek, które mogą odrywać ich od nauki. Tak samo wystawione lustra albo inne oznaki próżności trzeba usuwać. Powinni pilnować ochędóstwa.

Gdyby biskup przysłał do seminaryum jakiego niedobrego duchownego na rekolekcye, to przyjąć go trzeba, ale tylko na czas ćwiczeń duchownych, a nie dłużej, gdyż alumni mogliby być narażeni na jaki ujemny wpływ. — Jeżeli do seminaryów zgłoszą się ordynandzi, t. j. kandydaci do święceń, aby się przysposobić do godnego ich przyjęcia, w takim razie powinni brać udział we wykładach razem z alumnami. Gdyby zaś jaki pobożny kapłan zgłosił się do seminaryum celem dalszego ćwiczenia się, to można go przyjąć, ale trzeba uwolnić go od uczęszczania na wykłady. Tak samo wolno dopuścić zacnych kapłanów do udziału w konferencyach duchownych lub kazusach z teologii moralnej.

Do tych zasad Konwentu z r. 1668 dodaje Konwent z r. 1673 [3]) jeszcze następujące zalecenia: żaden alumn nie powinien usuwać się od wspólnych funkcyi. Trzeba więc zaglądać do sal w czasie ważniejszych ćwiczeń wspólnych. —

---

[1]) Ibidem XXI. Directoire str. 52.

[2]) Liber Visitationum Domus Stradom 1740 i 1756.

[3]) Recueil t. I. str. 148 i nast.

Wszystkich prowadzić trzeba według ogólnych zasad, uwzględniając przytem indywidualne przymioty każdego alumna z osobna i dając wskazówki odpowiednie jego usposobieniu.

Wszyscy alumni odbywają rekolekcye wspólne na zakończenie swego pobytu w seminaryum.

Co się tyczy seminaryum stradomskiego, trzeba powiedzieć, że tu także trzymano się powyższych zasad wychowawczych. Fundator, książe biskup Szaniawski polecił prowadzić je *iuxta Institutum Congregationis Missionis.* We wrześniu 1732 r. miało się zacząć seminaryum. Ksiądz Aumont wizytował nasz dom w czerwcu tegoż roku. Przy tej sposobności zalecił i przypomniał, żeby profesorzy brali udział kolejno, tak w rekreacyi jako też w brewiarzu seminarzystów. Ordynandzi mają być oddzieleni od nich, gdyż inaczej ich się traktuje niż seminarzystów. Wogóle porządek ma być na Stradomiu taki sam, jak u św. Krzyża w Warszawie, bo to druga Warszawa.

W tym też czasie konsekrował ks. Michał Kunicki, sufragan krakowski a biskup tytularny arsynoeński, w drugą niedzielę po Zielonych Świątkach 1732 r. nasz nowo wybudowany kościół stradomski pod wezwaniem Nawrócenia św. Pawła Apostoła. Miało więc seminaryum swój kościół na nabożeństwo i spełnianie różnych obowiązków modlitwy, jakich żądały fundacye Mecińskiego i Szaniawskiego.

W systemie misyonarskim dla wychowania kleru niema osobnego stanowiska Ojca duchownego. Jego urząd rozdzielony został między księży profesorów czyli dyrektorów, którzy nie tylko uczą na wykładach, ale także mają kierownictwo duchowne poza szkołą. Mianowicie fungują po kolei, zostawiając rzeczy ważniejsze i uroczystsze superyorowi; on bowiem jest łącznikiem, który nadaje jednolity kierunek wszystkim czynnościom, uważając, aby kierownictwo stosowało się do zasad wyłuszczonych przez Konwenty generalne i zwyczaje Zgromadzenia, które później zebrano w książce pod tytułem: „Directoire des Grands Séminaires". To samo pokazuje się na Stradomiu.

Nie napotykamy innego dyrektora kleryków oprócz dyrektora naszego misyonarskiego Seminarium Internum. Dyrektor kleryków świeckich pojawia się dopiero w osobie księdza Dębkowskiego, który pod datą 11. sierpnia 1797 r. zapisany jest w *Liber venientium in Stradom*; ksiądz Dębkowski przybył na urząd asystenta domu i dyrektora seminaryum dyecezyalnego. Widocznie uznano za stosowne zlecić jednemu z księży specyalne kierownictwo alumnów, tak jak to czyniono względem kleryków Zgromadzenia.

W seminaryum akademickiem „Seminarium eppiscopale penes Universitatem Cracoviensem", założonem przez księcia biskupa Stanisława Kostkę Załuskiego aktem z dnia 10. marca 1758 r., nie znajdujemy również osobnego ojca duchownego dla kleryków, lecz w statucie piątym o dyrektorach poleca prefektowi seminaryum ogólny zarząd duchowny, a przedewszystkiem materyalny. Zaś wiceprefekt ma staranie o ćwiczenia duchowne i o karność alumnów, odnosząc się z ważniejszemi sprawami do prefekta. Wiceprefektowi pomagał *magister caeremoniarum*. Wszystkie ćwiczenia w domu (przy ulicy Gołębiej w bursie Sizyniusza i kamienicy do niej przyległej) oraz w kościele św. Anny, dokąd chodzili na nabożeństwa, jak również wspólne przechadzki były pod nadzorem jednego z księży profesorów uniwersytetu. Przedewszystkiem czynić to musiał wiceprefekt i magister caeremoniarum. Tego ostatniego wspierał ksiądz prokurator, zajęty jednak przedewszystkiem stroną ekonomiczną. Nad zarządem tego seminaryum czuwał prowizor, jako delegat biskupa i kapituły krakowskiej. Widzimy więc, że i tu nie było osobnego ojca duchownego, a dyrekcya duchowna ciążyła na całym zarządzie tej instytucyi, złożonym z profesorów uniwersytetu.

Ponieważ kierownictwo spoczywało nie tylko na rektorze, ale także na profesorach seminaryjnych, słusznie więc zwali się oni regensami, a później, t. j. w XIX. w. dyrektorami. Był zwyczaj, że spełniali te obowiązki duchowne tygodniowo po kolei, mając t. zw. hebdomadę. Tylko spowiedzi słuchali

wszyscy profesorowie, według tego, jak się alumni do nich zgłosili, z wyjątkiem superyora, jak wyżej wspomnieliśmy.

Specyalnie zaś mieli obowiązek badać, czy kandydaci posiadali wszystkie wymagane przez Kościół św. warunki do stanu duchownego. Sąd co do powołania mieli sobie uformować według wskazówek opartych na zasadach kościelnych, a które im wskazuje Directoire (na str. 76 i nast.), z których trzy najgłówniejsze opiewają: Pierwszym znakiem powołania do stanu duchownego jest upodobanie i pociąg rozumny a nadprzyrodzony do kapłaństwa i jego wzniosłych zajęć. Drugim znakiem powołania jest niewinność dochowana od chrztu lub odpowiednio odzyskana przez pokutę. Trzecim i ostatnim znakiem powołania kapłańskiego jest posiadanie dostatecznych zdolności do nabycia wiedzy kapłańskiej i do spełniania funkcyi stanu kapłańskiego. — Z tych ogólnych zasad płyną liczne wnioski specyalne i przeróżne wskazówki. I tak Direktoire (na str. 82 - 83) wylicza dwanaście rodzajów usposobień, które się nie nadają do kapłaństwa, a alumnów tego rodzaju nie należy dopuszczać do święceń. Zaczyna zaś ten szereg od umysłów zbyt ograniczonych, które nie są zdolne objąć żadnej kwestyi w całości; dalej umysły uporne, które zawsze starają się zrobić wszystko na przekór, i tak dalej. — Tak wygląda w przybliżeniu zadanie księży profesorów, jako dyrektorów czyli kierowników duchownych w seminaryach kleryckich. Tak też czynili na Stradomiu.

7. Studya w seminaryum stradomskiem.

Przejdźmy teraz do drugiego obowiązku profesorów, t. j. do studyów, któremi mieli się zajmować w seminaryum.

Główną zasadą studyów i celem ich w seminaryum duchownem jest kształcić kleryków na pracowników ewangelicznych, pobożnych i mądrych, jak się wyrażają Konwenty generalne z lat 1668 i 1711, t. j. żeby klerycy, jako zdolni i wykształceni we funkcyach kapłańskich, mogli zasłużyć sobie na święcenia.

Ksiądz wizytator w odpowiedzi na kwestyonaryusz rządu pruskiego co do seminaryów w „Prusach południowych“, t. j co do seminaryum w Gnieźnie i Łowiczu, które były pod zarządem naszego Zgromadzenia, w ten sposób wyraża się w referacie swoim o gnieźnieńskiem seminaryum: „Seminaria są destynowane na formowanie plebanów i wikaryuszów, którzy do uczenia po katedrach użyci nigdy nie będą, ale powinni są chwalebnem życiem przyświecać, czystą moralność opowiadać, nie wdając się w niepotrzebne dysputy na kazaniach, któreby dla prostego ludu niepożyteczne, a podobno i tolerancyi przeciwne były“. Chciano więc w seminaryach naszych wychowywać przedewszystkiem kler parafialny, którego było najbardziej potrzeba.

Nad całym kierunkiem wykładów czuwał prefekt studyów, którym bywa zazwyczaj przełożony domu lub któryś z doświadczeńszych profesorów. Jego zadaniem jest starać się, aby studya dobrze się rozwijały, dawał plany nauki, rozdzielał godziny wykładów, nowoprzybyłym profesorom dawał wskazówki, niekiedy przychodził na wykłady, aby zbadać postęp alumnów i przekonać się, czy przypadkowo wykład nie był za obszerny albo zbyt krótki. Za porozumieniem się ze superyorem prefekt studyów naznacza traktaty profesorom. Porozumiewa się z nimi co do uczniów, jak który w nauce postępuje. Ma nadzór nad dysputacyami. Powiadamia superyora o stanie nauki poszczególnych alumnów, wprzód z nimi odbywszy kollokwia. Miał prawo robić ulgi słabowitym alumnom. Objaśniał także klerykom reguły studyów. Słowem kierował całą nauką, ale za wiedzą i w zależności od miejscowego księdza superyora.

Studyum całe miało cel praktyczny i do niego było zastosowane. Zakres nauki, jak powiada Konwent generalny z roku 1673 (ad 27), ma być dostosowany do czasu pobytu w seminaryum. Jeżeli klerycy bawią dłużej w tym zakładzie, to należy podać nauki obszernie, a jeżeli krócej, to je trzeba odpowiednio streścić, lecz w każdym razie nauki im konieczne podać. Tutaj na Stradomiu, w myśl fundacyi ks. bi-

skupa Szaniawskiego, studya trwały dwa lata pod kierunkiem czterech profesorów. Tak też było we większej części seminaryów ówczesnych, kierowanych przez Misyonarzy. Klerycy z rodziny Szaniawskich lub ze szlachty Łukowskiej, na dwóch miejscach rezerwowanych przez ks. biskupa Szaniawskiego mieli prawo bawić na Stradomiu przez cztery lata. Samo przez się rozumie się, że dla nich musiano w studyach okazywać pewne specyalne względy, aby czas należycie mogli wykorzystać. — „Id observandum esse statuimus — powiada Fundator — ut, quoniam utilitatis ecclesiarum gratia, unumquemque alumnum non ultra biennium in seminario commorari volumus, quin accedente speciali subiecti capacitate etiam super breviori incolatu dispensari permittimus et conscientiae superiorum relinquimus“. Uznaje więc biskup, że wprawdzie dobrzeby było kształcić kleryków dłużej aniżeli dwa lata, lecz pożytek kościołów domaga się ich prędkiej promocyi, z powodu braku kapłanów. Dlatego też pozwala, aby we wyjątkowych wypadkach przełożeni mogli alumna dobrze przysposobionego dopuścić do święceń nawet przed upływem dwóch lat, ale w takim razie biorą odpowiedzialność na swoje sumienie. Póki trwała ta fundacya biskupa Szaniawskiego, studya na Stradomiu były tylko dwuletnie. Lecz z wejściem w życie nowej fundacyi seminaryum stradomskiego, jakiej dokonała kapituła katedralna krakowska dnia 15. kwietnia 1791 r., postanowiono, że ma być odtąd kurs trzechletni studyów w tem seminaryum. Ksiądz biskup Józef Olechowski, sufragan i archidyakon krakowski, w swem rozporządzeniu z 8. maja 1792 r. powiada w tym względzie: „Seminaristae erectionis Szaniawianae supra-mentionatae biennio dumtaxat in seminario commorari astringebantur, ast cum gravioribus causis id exegentibus Iurisdictio dioecesana per datam ad omnia seminaria dioecesis Intimationem sub die undecima mensis augusti anno D. 1787. promulgatam, praescripsit abhinc alumnos seminariorum toto triennio studiis et notitiis ecclesiasticis acquirendis operam navare debere, eapropter alumni quoque ex hac fundatione alendi

conformiter praeallegatae Intimationi tres annos integros in seminario degent, quo solidius in spiritu vocationis confirmentur et doctrina ad curam animarum necessaria imbuantur, nisi forte eminentior alicuius alumni in scientiis profectus et probata morum maturitas et prudentia, decursu biennii adaequate excultum monstraverit et propterea super tertio anno dispensandum suaserit, pro tum etenim cum consensu Perillustrium provisorum sive Officii Ordinarii post emensum biennium et non citius, huiusmodi praestantiorum dotum alumnus ad laborandum in vinea Domini ex seminario dimitti poterit“ [1]). Odtąd więc przynajmniej dwa całe lata bawić mieli klerycy w seminaryum, a trzeci rok mógł być darowany tym, co już zupełnie byli przysposobieni. Dyspensy zaś nie dawali przełożeni seminaryum, jak dawniej, lecz potrzeba było zgody prowizorów lub Ordynaryusza.

Ksiądz biskup Szaniawski tak mówi o przedmiocie studyów: „Ponieważ głównem naszem pragnieniem jest, ażeby z niniejszej fundacyi wypłynął przyrost chwały Bożej i pożytek tak kościołów jako też i dusz, więc dla kształcenia alumnów tego seminaryum będą wykładać czterej profesowie, z których dwóch ma wyłożyć filozofię w ciągu dwu lat, a dwóch innych w tymże czasie teologię spekulatywną i praktyczną czyli moralną, według książki Abellego, oraz apologetykę; nadto ich obowiązkiem będzie, według zwyczaju i praktyki Zgromadzenia, ćwiczyć jak najdokładniej kler seminaryjny w śpiewie chóralnym, ceremoniach i rubrykach administracyi sakramentów i w metodzie głoszenia kazań, które klerycy wygłaszać mają w dni świąteczne w czasie stołu według rozporządzenia superyora, i w innych funkcyach kościelnych ; osobliwie zaś ćwiczyć ich mają w dobrych obyczajach i prowadzeniu życia kapłańskiego, i to razem z klerykami Zgromadzenia jednakowo, z wyjątkiem tego tylko, co

[1]) Catalogus alumnorum in fundatione nova sub tutela Reverendissimi Capituli Cath. Cracoviensis existentium, a die prima septembris 1792. Archiv. Stradom.

służy wyłącznie do kształcenia kleryków na samychże Misyonarzy".

Zdawałoby się, że to zbyt krótki czas na naukę. Lecz w rzeczywistości wystarczał, bo przyjmowano młodzież posiadającą już średnie wykształcenie, jak tego wymagała fundacya, a nadto dostosowano do krótkości czasu cały sposób wykładu. Celem nauczania było przyswoić uczniom najpotrzebniejszą ilość wiedzy, i to na podstawie drukowanych podręczników, z zupełnem wykluczeniem dyktatu, z któregoby uczniowie musieli korzystać. Wykład sam miał być jasny i solidny, jak zaleca Konwent z r. 1673 (ad 27). Już poprzedni Konwent, w r. 1668 odbyty, podał następujące zasady nauczania: Należy wykładać na podstawie podręczników, a raczej objaśniać podręcznik, o ile tego potrzeba. Wybór książek szkolnych ma być dokonany z uwzględnieniem życzeń miejscowego biskupa i z wymogami wygody. Czyli trzeba uwzględnić myśl biskupa, korzyść profesorów i alumnów. Książek miała być zawsze dostateczna ilość. Przypomina to Misyonarzom stradomskim ksiądz Jan Kossobudzki, superyor z Łowicza, który w r. 1773 w zastępstwie chorego ks. Śliwickiego wizytował Stradom. Na Konwencie sexennalnym 1741 r., za ks. gen. Bonnet odbytym, wnosili Polacy żądania swe co do książek wykładowych. Mianowicie żądali dostarczenia im książki „Grandinus minor" [1]), którego wszakże w Paryżu nie można było dostać. Chcieli więc Polacy wydać książkę Bonnalla z przypiskami ks. Cyboniego lub innego Misyonarza polskiego [2]). Ale na to Konwent się nie zgodził, podając jako powód, że ani we Francyi, ani we Włoszech tego nie dozwolono, bojąc się wykroczyć przeciw woli naszego św. Fundatora i przeciw dekretom Zgromadzenia. Tu

---

[1]) Zdaje się, że tu chodzi o streszczenie dzieła O. Bonifacego Grandi O. P.: „Cursus theologiae", 1692.

[2]) Rajmundus Bonall: „Theologia moralis, e gallico latine versa a Petro Lauro". Tolosae 1674.

na Stradomiu przepisany był podręcznik Abellego przez fundatora biskupa Szaniawskiego, jak wyżej wspomniano [1]).

Językiem wykładowym był język łaciński, tak jak i podręczniki do nauki były napisane w tymże języku. Wolno wszakże było dawać wyjaśnienia w języku ojczystym, jeżeli to było potrzebnem.

Każdy wykład codzienny filozofii i teologii miał trwać półtorej godziny, Rozpadał się zaś na trzy części: *recitatio, discussio, explicatio.* Recytacya było to odpytywanie uczniów przez pierwsze pół godziny. Poczem następowała dyskusya zarzutów, jakie stawiano co do odpytanej materyi. W końcu zaś profesor pokrótce przebiegał wykład materyi, której się mieli uczniowie nauczyć na przyszłą lekcyę. O czem tak się wyraża Konwent z r. 1668, IV.: Klasa ma trwać półtorej godziny; a co się tyczy jej porządku, to pierwsze pół godziny należy obrócić na sprawozdanie z poprzedniej lekcyi, drugie pół godziny na stawianie zarzutów, zaś trzecie na objaśnienie nowej lekcyi. Dobrym sposobem pytania seminarzystów jest stawiać im kwestye i dać sposobność szerszego wypowiedzenia się. Co się zaś tyczy wyjaśnienia przyszłej lekcyi, które raczej profesora zmusza do przygotowania się, aniżeli uczniom służy ku nauce, to ma być krótkie i zwykle wystarcza na ten cel półtora kwadransa". Zatem profesor przepytawszy seminarzystów z poprzedniej lekcyi, słuchał i rozwiązywał zarzuty, które mu stawiali; w końcu przebiegał pokrótce przyszłe pensum. Wykładał po łacinie, wyjaśniając rzecz na przykładach; wskazywał, gdzie leży siła argumentu, i tłómaczył terminy techniczne. Przy pytaniu miał uważać, żeby sam mówił mało, a zato uczeń wyrażał swe myśli jasno, dobitnie i zazwyczaj w formie scholastycznej. Co sobota ma być powtórka z całego tygodnia. Tak samo na końcu całego traktatu należy wypytywać z całości na wzór egzaminu.

---

[1]) Ludovicus Abelly, episc. segodunumensis † 1691: „Medulla theologica" 2 tom. in 12. Patavii 1725.

Wobec krótkości czasu przeznaczonego na studya było niezmiernie ważną rzeczą, aby żaden profesor nie wkraczał w materyę innych wykładów i niepotrzebnie nie powtarzał tego samego. Również nie wolno było tracić czasu na niepożyteczne dygresye. Wykład nie mógł dać wszystkiego; dawał tylko zasady, a resztę miał seminarzysta zrobić sam w przyszłości, mając już dostateczne wiadomości dla dalszego rozwinięcia się i zaczęcia samodzielnej pracy. Należało więc zachęcić go i zapalić do indywidualnej pracy w przyszłości. Na to miał zważać profesor i starać się zachęcać uczniów przez wykład zajmujący i pilnie przygotowany [1]).

Św. Wincenty polecił Misyonarzom w Regułach wspólnych, żeby się trzymali w nauczaniu zasad pewnych, unikając opinii nowych i osobliwych. Była to konieczna przestroga, zwłaszcza wobec ówczesnych tendencyi jansenistowskich we Francyi, których się trzeba było strzedz. Zalecił im więc trzymać się o ile możności tych samych doktryn i teoryi tak w dogmatyce jako też moralnej i karności [2]). Potem zaś polecono w myśl życzeń Stolicy św. trzymać się zdań św. Tomasza z Akwinu [3]).

Sposób przygotowywania wykładu przez profesora polega na tem, aby zgłębił kwestyę, o którą chodzi, rozpatrzył ją, nie tylko samą w sobie, lecz także w stosunku do materyi pokrewnych. W tym celu powinien przedewszystkiem przyswoić sobie doskonale podręcznik szkolny, służący jako *liber textus* dla uczniów. Nie wolno profesorowi wygłaszać innych zdań i odstępować od swego autora, który przez przełożonych został wybrany i jako *auctor classicus* nakazany. Musi więc wprzód porozumieć się ze superyorem i uzyskać jego pozwolenie w razie, w którym chce odstąpić od zdania tego autora w rzeczy ważniejszej. Tak nakazuje Konwent XVI z r. 1788. Przez to strzeżono jednolitości w wykładach.

---

[1]) Directoire str. 60 i nast.

[2]) Ks. Bonnet, 20 VI. 1711. Recueil I. str. 261.

[3]) Ks. Fiat: Circul. 25 XII. 1879.

Profesor ma przy czytaniu dzieł strzedz się zbytniej chciwości czytania wielu autorów, a powinien raczej kierować się tutaj zdaniem doświadczonych profesorów i przełożonego. Przy samym wykładzie nie powinien natężać głosu lub krzyczeć, bo to nie przynosi korzyści, nie skupia uczniów, a psuje zdrowie [1]).

W misyonarskim systemie nauczania kleryków istnieje surowy zakaz dyktowania. Pochodzi on od św. Wincentego a Paulo. Ks. Gen. Bonnet w liście swym z 10 grudnia 1727 wystąpił przeciw dyktowaniu wykładów, gdy niektórzy biskupi objawili życzenie, aby wykład odbywał się nie podług autora, ale żeby był swobodny i dyktowany. Chce więc to usunąć i przytacza list św. Wincentego, pisany 17. marca 1642 r.[2]) do ks. Codoing, przełożonego w Rzymie. Opowiada św. Wincenty, że naradzał się z sześciu konfratrami i po dokładnych dyskusyach doszli do wniosku większością głosów, pięciu przeciw dwom, że nie należy dyktować. A takie mieli powody: 1) Najpierw, ze względu na samą wiedzę, jakiej się chce nauczyć, to niezawodnie nauka autora zatwierdzonego po poprzedniem pilnem badaniu, jest pewniejszą aniżeli skrypta prywatne kogobądź. 2) Ze względu na biskupów i innych, z pewnością więcej im przemawia autor uznany aniżeli wykład młodego człowieka, który jeszcze nie dał dowodów wiedzy. 3) Dalej ze względu na samo Zgromadzenie lepiej jest trzymać się autora, bo Zgromadzenie ma więcej takich ludzi, którzy są w stanie dobrze objaśniać autorów, aniżeli takich, coby mogli dyktować swe własne wykłady. Przytem wielkiej wagi rzeczą jest także i to, że Zgromadzenie uniknie krytyki swych wykładów i zazdrości. 4) Wzgląd na samychże profesorów, dla których zazwyczaj o wiele łatwiej jest objaśniać autora niż układać skrypta, chyba że ktoś odpisuje z jakiego dzieła, a to jest śmiesznem. Żeby tworzyć samodzielne wykłady, na to potrzeba wiedzy, pracy

---

[1]) Directoire str. 31.

[2]) Recueil I. str. 345 i nast.

i czasu, tak, że taki konfrater nie będzie mógł pytać uczniów dla braku czasu, a przecież to jest rzeczą najważniejszą, jak również nie znajdzie czasu i sił na inne prace Zgromadzenia 5) Wzgląd na kleryków również przemawia przeciw dyktowaniu. W seminaryum są bądź teologowie, którzy już w jakimś uniwersytecie nabyli wiedzy teologicznej, bądź też tacy, którzy dopiero chcą się jej nauczyć. Teologowie przychodzą po to tylko, aby się uświęcić i przysposobić do przyjęcia kapłaństwa. A drudzy nie będą kontentować się skryptami i porzucą je. Lepiej zaś dać im do rąk książkę, którą doskonale poznają i na przyszłość zachowają. — Oto powody, przemawiające za braniem autora jakiegoś za podstawę wykładów, a przeciw dyktowaniu. Co się zaś tyczy zarzutów, że uczniowie obrzydzą sobie taki wykład i porzucą seminaryum, a nadto nie będą mieli szacunku dla swych profesorów, to nie da się utrzymać. Wiele bowiem innych rzeczy jest w seminaryum, które kleryków mogą pociągać, a zwłaszcza cały wynik i owoc wychowania seminaryjnego. Albowiem ci, którzy wychodzą z naszych seminaryów, są poszukiwani przez biskupów jako doskonali pracownicy w winnicy Pańskiej. A co do prostoty wykładu, to sami księża z konferencyi wtorkowej, którzy się zbierają u św. Łazarza, wprost pragną prostoty w przedstawianiu przedmiotu konferencyi. Przytem nasz duch ma szukać wielkości w poniżeniu i wyrzeczeniu się siebie. Mówią, że trudniej objaśniać autora niż wykładać z własnych skryptów, to prawda; ale więcej trzeba czasu i trudu, by zebrać materyał, rozłożyć go i podyktować, aniżeli wytłómaczyć już zebrany w książce. Mówi się także, że przez pisanie uczą się alumni wielu rzeczy. Prawda, że niektóre rzeczy lepiej w ten sposób obejmą, ale więcej takich będzie, których ani nie ogarną, ani też nie spamiętają. Prawdą jest i to, że przez pisanie profesorzy pogłębiają swą wiedzę, ale również prawdą jest, że skutkiem tego nie będą się mogli oddawać innym obowiązkom powołania, zwłaszcza kierownictwu dusz seminarzystów, nauce ceremonii, katechizmu i kaznodziejstwa. Trzebaby znacznie większej liczby

księży po seminaryach, a któż ich utrzyma i kto będzie dawał misye? — Podają za wzór OO. Jezuitów i uniwersytet paryski. Lecz to co innego, oni zajmują się publicznie nauką. Tymczasem w seminaryach chodzi głównie o pobożność i o średnią wiedzę oraz o umiejętność dobrego spełniania funkcyi kapłańskich. W Hiszpanii na uniwersytetach nie dyktują, a mają głębokich teologów. Nasby praca naukowa oderwała od starania się o lud biedny. — Tak wyglądają wywody św. Wincentego o dyktowaniu wykładów. Nie pozwolił też wprowadzić go w życie, jak widzimy z jego listu do superyora w Mans, ks. Gicquel, z dnia 28 lutego 1652 r. i do superyora w Genui ks. Pesnelle, którym tego zabrania. Stąd nic dziwnego, że Konwent z r. 1668 za ks. Alméras ustanowił dekret następujący: „Singuli etiam convenerunt, in scholis nostris minime dictandum, sed in alicuius auctoris, cuius peculiaris delectus habeatur, explicatione pergendum, quousque aliud statutum fuerit“. Te ostatnie słowa dekretu wskazują wyraźnie, że wszystkie argumenta św. Wincentego nie potępiają dyktanda i wykładu według własnej kompozycyi wogóle, ale tylko w danych warunkach i okolicznościach, które wymagały pracy po wielu seminaryach, a ludzi do tego było stosunkowo bardzo mało; przytem inne jeszcze dzieła misyonarskie, zwłaszcza misye wśród ludu, także żądały ich pracy. Nie było więc można poświęcać ludzi pracy naukowej; to był główny powód postępowania św. Wincentego w tej sprawie. Gdy się warunki ułożą pomyślniej, nie będzie przeciwnem duchowi Zgromadzenia tworzyć własne wykłady i podręczniki, za wiedzą przełożonych. Ale ten system wykładu tłómaczy nam, że pomimo kierownictwa licznemi seminaryami w całej Europie przez paręset lat, Misyonarze stosunkowo mało napisali dzieł, a nawet podręczników teologicznych.

W naszych seminaryach powinny się odbywać dysputacye filozoficzne i teologiczne. Co do tego, jak je często urządzano, to zdaje się, że praktyka nie była wszędzie zawsze ta sama. Tu na Stradomiu polecił wyżej wspomniany ks. superyor Kossobudzki w czasie wizyty w r. 1773 odbytej, aby

na uwieńczenie roku szkolnego odbywano dysputacyę publiczną, t. j. taką, w której także brali udział zaproszeni goście, zazwyczaj duchowni. Ks. wizytator Mikołaj Siemieński, w lipcu 1775 r. poleca, żeby profesorzy urządzali co drugi tydzień publiczne repetycye, zaprosiwszy na nie superyora, księży profesorów i kleryków innych klas. Już poprzednio wydał ks. wizytator Aumont w r. 1738. następujące polecenie: „Ponieważ nabożeństwa u Zakonników i Zakonnic, jakoteż dysputacye filozoficzne i teologiczne niemało przyczyniają się do roztargnienia ducha, dlatego będziemy się starać na przyszłość wedle sił od nich się wymawiać... Do Wielebnych Ojców Kanoników św. Grobu nie będziemy chodzili więcej na dysputy sobotnie, ani do siebie nie będziemy ich zapraszali. Księża profesorzy mają się wymawiać od brania czynnego udziału w dysputach poza domem, chyba że wyjątkowo się to stanie, dwa lub trzy razy na rok. Powinni na nich obecnymi być tylko bardzo rzadko; zaś kleryków swych też nie poślą, chyba w dzień wolny od nauki. Taki jest zwyczaj podany nam przez czcigodnych naszych Ojców i należy się go trzymać ściśle“ [1]). Widać stąd, że dysputacye były w zwyczaju i u nas i w innych zakładach naukowych w Krakowie. Dochowała się w naszej bibliotece stradomskiej broszurka z tezami na taką dysputę kleryków na Stradomiu: „Conclusiones ex theologia scholastico-dogmatica propugnandae in aedibus stradomiensibus Congregationis Missionis anno salutis 1750 die 26 iunii“. Tezy obejmują traktaty de Trinitate, de Incarnatione, gratia, de conscientia et actibus humanis, de iure et iustitia. Kwestye są szczegółowo przedłożone. Uroczyste dysputy odbywali także inni, n. p. Karmelici u św. Michała, zwłaszcza zaś Bożogrobcy przy kościele św. Jadwigi, w sąsiedztwie naszego domu stradomskiego, gdzie jako opponentes występowali uczeni profesorowie i teologowie różnych zakonów, jak Benedyktyni z Tyńca, Karmelici obu obserw, Augustyanie, Dominikanie, Bernardyni, Reformaci, Cystersi,

---

[1]) Liber visitationum domus Stradomiensis, anno cit.

i to zawsze po dwóch. Obronę tezy miał któryś z Bożogrobców przy asystencyi dwóch profesorów, którzy uważali na przebieg tezy. Mamy drukowane prospekty tych tez u Bożogrobców odbywanych z teologii i filozofii z roku 1780, gdzie są podani defendentes i opponentes.

Tak jak t. zw. dysputa uroczysta zamykała rok szkolny, tak znowu na początku roku przemowa uroczysta któregoś z profesorów rozpoczynała rok szkolny. Osobny przepis w tym względzie zawierają nasze Reguły profesorskie, gdzie powiedziano, że na zaczęcie roku ma być krótka przemowa: „Annua scholarum inauguratione, breviter et latine illius scientiae dicent laudes, quam sunt docturi, ut in scholasticorum animis huius acquirendae ardorem ingenerent".

Głównymi przedmiotami, które wykładano w naszych seminaryach, były filozofia i teologia. Wykład ich odbywał się codzień przez dwa lata. Tymczasem inne przedmioty dawano raz na tydzień i zwano je „exercitia hebdomadalia".

Co do tych tygodniowych ćwiczeń daje nam dobre objaśnienie ksiądz J. A. Ławs Misyonarz, profesor hermeneutyki, historyi kościelnej i teologii pastoralnej u św. Krzyża w Warszawie. On wydał z początkiem roku 1805 książkę pod tytułem „Hebdomadale studiorum seu rudimenta theologica loco exercitiorum hebdomadalium, ad usum Seminarii Varsaviensis S. Crucis concinnata". W przedmowie powiada: „Wiadomem ci jest niezawodnie, że w seminaryum warszawskiem św. Krzyża, jak w innych również seminaryach powierzonych naszemu Zgromadzeniu, dotychczas oprócz cotygodniowej nauki śpiewu i ceremonij, zwanych zwykle egzercycyami, był także raz na tydzień wykład Pisma św., co zwano skrypturystyką, dalej nauka sprawowania Sakramentów zwana kazuistyką, a wreszcie Rubryki Mszału i brewiarza". Ks Ławs pisze podręcznik dla tych hebdomadaliów, w których zamienia nazwy dotychczasowe w ten sposób, że Rubrum nazwał liturgiką, administracyę Sakramentów pastoralną, skrypturystykę zaś hermeneutyką. Osobnej Patrologii właściwie nie było, tylko przy wykładzie historyi kościelnej

według dzieła Ojca Bertiego[1]), była mowa o Ojcach Kościoła w artykule o pisarzach kościelnych. Ks. Ławs radzi rozszerzyć wykład Patrologii i utworzyć z niej osobne exercitium hebdomadale i to przez dwa lata, radzi zaś używać dzieł Melchiora Canusa, Viesta i innych. W Pastoralnej na pierwszy rok kładzie pedagogikę, katechetykę i kaznodziejkę; na drugi rok zaś administracyę Sakramentów, zwłaszcza zaś spowiedzi św. Liturgikę radzi podzielić w ten sposób, aby w jednym roku wyłożyć liturgię mszy, w drugim Psalmodyę. Tak samo wykład Pisma św. czyli hermeneutykę chce wyłożyć w dwu latach. Podaje więc ks. Ławs w swem dziełku „manuductio ad Patrologiam“, potem teologię pastoralną, część pierwszą o obowiązku nauczania, to jest katechetyka i kaznodziejka, część druga o administracyi Sakramentów. Dalej idzie hermeneutyka, wreszcie liturgika. Z tej książki możemy ocenić, czego się uczyli klerycy u św. Krzyża, a także w innych seminaryach, bo wszędzie mniej więcej było to samo. Takich wykładów co roku wypadało przynajmniej 40, a ponieważ kurs trwał dwa lata, więc w takim czasie, sposobem misyonarskim, można było dosyć dużo wyłożyć, a względnie się nauczyć.

Lecz głównymi przedmiotami wykładów były filozofia i teologia, które wykładało czterech księży profesorów co dzień. Zwykle bowiem w każdem seminaryum duchownem było czterech księży Misyonarzy zajętych naukami. Oprócz nich był osobny przełożony czyli superyor i prokurator z księży, a nadto jeden i drugi brat.

Chcąc uzyskać dokładniejszy obraz pracy Misyonarzy stradomskich nad klerykami, przejrzałem starannie rękopisy wykładów, których jest paręset w stradomskiej bibliotece. Zobaczyłem, jaki to ogrom pracy włożyli nasi Ojcowie w kształcenie młodzieży duchownej. Bo chociaż nie wolno im było na wykładzie dyktować, sami sposobili się bardzo pilnie i wy-

---

[1]) Ecclesiasticae historiae breviarium, auctore Joanne Laurentio Berti Ord. Erem. S. Aug. Editio novissima Bassani 1767.

kład swój pisali. Co dziwniejsze, widzimy, że nawet dzieła już drukowane mieli starannie przepisane; widocznie nie było można dostać drukowanej książki. Zbierali zewsząd cenne pisane wykłady. Np. kilka dzieł pisanych dał im ks. Porębski, wielki dobrodziej Stradomia. Przytem trzeba zaznaczyć, że nie wszystko, co powstało na Stradomiu, pozostało na miejscu, bo każdy Misyonarz, przechodząc z jednego domu do drugiego, zabierał ze sobą swoje skrypta. Lecz z tego, co pozostało, widać, że z wielką pilnością i dokładnością przyspasabiali swe wykłady. Niejednokrotnie znajdujemy rzeczy wykończone tak, że możnaby je drukować. Niestety bardzo mało nazwisk znajdujemy na manuskryptach. Owszem tam, gdzie był podpis, znajdujemy teraz tylko ślad wytarcia. A to wielka szkoda. Wykłady pisane są zazwyczaj obszerne.

Całokształt filozofii podają n. p. skrypta ks. Józefa Stanisława Janowskiego p. t. „Prima disputationum elementa". Z początku jest krótka historya filozofii. Między innemi powiada, jak to także we wielu innych książkach ówczesnych spotykamy, że Adamus habuit philosophiam (infusam). Eva autem non. Wśród skryptów znajdujemy odpisy wykładów po różnych kolegiach zakonnych odbywanych, zwłaszcza wykłady jezuickie i pijarskie. Mamy więc: „Elementa philosophiae in Collegio nobilium Scholarum Piarum Varsaviae 1762 a Samuele Chruścikowski". Taksamo „Institutiones philosophiae" Pijara, księdza Joba. Znacznie więcej znajdujemy traktatów o poszczególnych częściach filozofii. Najliczniejsze i najobszerniejsze obejmują logikę, metafizykę i kosmologię. Mniej znowu jest traktatów o psychologii, choć znajdujemy tam traktat „de fontibus empiricis psychologiae". Wśród licznych broszur o retoryce często spotykamy „Typus idealis... ad mentem Joannis Caesarii, Collegii Nowodworsciani professoris anno 1730". Dalej komentarze in Aristotelis libros octo physicorum. Słowem całokształt filozofii scholastycznej mamy tutaj uwzględniony.

Ale w niektórych seminaryach pod naszym zarządem nie wykładano filozofii, np. w archidyecezyi gnieźnieńskiej

mieli Misyonarze zarząd obu seminaryów w Gnieźnie i Łowiczu. Otóż w Łowiczu nie było kursu filozoficznego. Przyjmowano tam młodzież, która skończyła filozofię lub retorykę, a gdy który uczeń potrzebował wykładu filozofii, uczono go osobno. W Łowiczu oprócz superyora było tylko trzech Misyonarzy, a alumów 24. Ksiądz wizytator w swej odpowiedzi na zapytanie rządu „Prus południowych“, co do stanu i nauki tych seminaryów, tłómaczy, dlaczego zaniechano w Łowiczu wykładu filozofii, który dawniej także tu był uwzględniany. Powód leżał w braku czasu, bo alumni mogli zaledwie podołać nauce teologii, chociaż niektórych trzymano dłużej niż dwa lata. Seminaryum łowickie było tak ubogie, że alumni musieli płacić na swe utrzymanie w pewnej części. Ponieważ to byli ludzie z ubogich rodzin, więc trudno było zbyt długo ich zmuszać do świadczeń pieniężnych. To była druga przyczyna, że co prędzej starano się skończyć studya seminaryjne.

W seminaryach misyonarskich uczono oprócz filozofii i wyżej wymienionych tygodniowych studyów, przedewszystkiem teologii dogmatycznej, moralnej i historyi kościelnej. Języka greckiego i hebrajskiego nie uczyli po seminaryach, zostawiając to akademiom, bo duszpasterzom ta znajomość nie była potrzebną, a nadto nie było czasu na tę naukę. Teologii uczono między innemi z dzieł ks. Piotra Collet'a, Natalisa Aleksandra, dalej w użyciu był Pontas, Antoine, Contenson, Carmes, Reiffenstuehl, oprócz wyżej wymienionych dzieł dogmatycznych i moralnych. Z manuskryptów stradomskich możemy dowiedzieć się, czego to uczono w seminaryach pod względem teologii. Co do Pisma św. znajdujemy liczne, ale dość krótkie introdukcye do ksiąg obydwu Testamentów, różne ekspozycye, żywot P. Jezusa. Mamy tam łacińskie tłómaczenie z języka francuskiego dzieła Bossuet'a: „Expositio libri Apocalypsis“, które przetłómaczył ks. Tomasz Hussarzewski, profesor historyi uniwersalnej we wileńskim uniwersytecie. Jest hermeneutyka. Mało się znajduje właściwej egzegezy, a w jej miejscu widzimy różne streszczenia ksiąg

świętych, niektóre wierszem łacińskim ułożone. Co do dogmatyki, to mamy ogromne nieraz traktaty „de Deo“, „de Incarnatione“, „de Trinitate“, „de Angelis“, „de Gratia“, „de Sacramentis“, „de peccatis“. Oprócz tego są traktaty „ex theologia polemica“. Zato nie znalazłem osobnych wykładów „de Ecclesia et Romano Pontifice“, chociaż one przedstawiały wielką wagę wobec błędów jansenistowskich. Lecz te nauki mieszczą się w dziele ks. Collet'a i tam je uwzględniano. To samo robił ks. Michał Franciszek Karpowicz, ex-misyonarz, późniejszy biskup wigierski, gdy jeszcze był profesorem uniwersytetu wileńskiego. W „Prospectus lectionum in alma academia et universitate Vilnensi“ z r. 1790 zapowiada on wykład traktatów „de vera religione“, „de Ecclesia“, na podstawie dzieła ks. Collet'a. Co się tyczy teologii moralnej, to mamy notatki „de legibus“, „de peccatis“, „de iure et iustitia“, „de censuris“, bardzo dokładne, „de reservatis“, oraz objaśnienia zdań potępionych przez Stolicę św. pod cenzurami. Owszem, nawet ordynandom, którzy się do Misyonarzy zgłaszali, aby się godnie przysposobić do święceń, wykładano co dzień z rana krótko, ale dokładnie, najważniejsze momenta z teologii moralnej, a na końcu wykładu miał profesor obowiązek zrobić zachętę do cnoty czyli t. zw. „fructus spiritualis“, przez co wykład nabierał charakteru ascetycznego. Wśród rękopisów stradomskich dochowały się dwa kodeksy, starannie opracowane, takich wykładów moralnej dla ordynandów. Dwa pierwsze „discursus“ czyli wykłady, objaśniają o cenzurach kościelnych w ogóle i po szczególe oraz „de irregularitatibus“. Trzeci mówi „de legibus et peccatis“, dwa dalsze „de praeceptis decalogi“, szósty „de Sacramentis in genere“, siódmy wykład „de poenitentia considerata praesertim ex parte confessarii“, ósmy „de Eucharistia“, dziewiąty o innych Sakramentach, dziesiąty zaś „de Symbolo Apostolico“. Słowem, było to krótkie powtórzenie teologii moralnej. Co się tyczy systemu moralnego, Misyonarze trzymali się w ogólności probabilioryzmu, jak to widać z naszych teologów Collet'a, Pohla, Putyatyckiego.

W nowszych wszakże teologiach Misyonarzy widzimy system św. Alfonsa i probabilizm, np. w teologii ks. Morino. Nauka prawa była uwzględniona naówczas, o ile w praktyce była konieczną. Mamy więc wykład o cenzurach, o trybunałach i kongregacyach rzymskich, wykład procesu cywilnego i karnego oraz zbiory przeróżnych formularzy, zwłaszcza z końca XVIII wieku. Dosyć dużo jest skryptów z historyi kościelnej, z tych kilka znaczniejszych. Tu zasługuje także na uwagę konwolut memoryałów i prac naukowych o sprawach kościelnych Rusinów w Polsce. Z historyi powszechnej mamy zwłaszcza wielki manuskrypt w sześciu tomach in folio, po polsku napisany przez ks. Jankowskiego. — Lecz pierwsze miejsce co do liczby i staranności trzeba przyznać rękopisom traktującym o Rubrum czyli o ceremoniach mszy i brewiarza. Są tam liczne komputy czyli wykłady o obliczaniu czasu kościelnego. Są też prześlicznie illustrowane objaśnienia o zegarach słonecznych najprzeróżniejszych systemów. Z pośród ceremonii jest tłómaczenie z francuskiego, które zdaje się polecił jeszcze św. Wincenty, a które potem Misyonarze po łacinie wydali w Warszawie. Z wymowy kościelnej i świeckiej znajdujemy liczne kazania pisane po łacinie i po polsku, zbiory cytatów i aforyzmów i różne wykłady o sposobie pisania i wygłaszania kazań. Znajdujemy również naukę pisania listów i o tytułach, jak do kogo pisać należy, doktora Wojciecha Płaczka z r. 1720.

Katechetykę mieli Misyonarze własną. Nauczali dzieci według swego katechizmu wielkiego lub mniejszego, zwłaszcza na misyach. Mamy w bibliotece manuskrypt p. t. „Observationes de doctrina christiana", który jest objaśnieniem powyższych katechizmów. Jest również rękopis po polsku, p. t. Katechizm rzymsko-katolicki, przez ks. A. Dąbrowskiego, Misyonarza z pierwszej połowy XIX wieku. Lecz ten katechizm nie uzyskał aprobaty Rady szkolnej mimo starania autora. Wreszcie znajdujemy dzieła ascetyczne i książki do modlitwy, pisane.

Widzimy więc, że rękopisy stradomskie rzucają korzystne światło na naukową pracę Misyonarzy. Gdy zaś uwzględnimy dzieła drukowane, widzimy, że ogromna ilość dzieł krajowych i zagranicznych ówczesnych i późniejszych, t. j. od czasu założenia seminaryum na Stradomiu, stale przypływała do naszej biblioteki. Dla przykładu wymienię tylko z krajowych dzieła O. Mikołaja Mościckiego Dominikanina „Theologia Moralis", wydana przez O. Januszowskiego tegoż zakonu w Krakowie 1683 r. Dalej „Compendium theologiae moralis" O. Franciszka Przyłęskiego Ord. Minorum we Wilnie 1754 r. Naturalnie, że nie brak także naszych misyonarskich moralistów. Nasza prowincya polska przedrukowała „Instytucye" ks. Collet'a w Chełmnie 1785 roku. Później zaś wydali swe dzieła ks. Pohl we Wilnie „Institutiones Moralis" 1804 roku i ks. Antoni Putyatycki „Theologia moralis" w Warszawie 1857 roku.

Co do profesorów to w ten sposób odpowiada ks. wizytator rządowi pruskiemu: „Ponieważ przez erekcyę tak tu w Gnieźnie jako też w innych miejscach dyrekcya i nauka w seminaryum Instytutowi Misyonarzów jest oddana i powierzona, przeto Wizytator czyli Generalny Przełożony tychże wraz z konsultorami swoimi, tak prefektów, jako też i profesorów, stanowi, destynuje i odmienia wedle konstytucyi Instytutu swojego. Wypróbowanie zaś zdolności tak się dzieje. W Warszawie jest generalne seminaryum internum Misyonarzów, jakoby Akademia, w której edukują się i formują wszyscy Misyonarze, tak na profesorów jako też do innych funkcyi stanu swojego. Ci tam edukujący się profesorowie są zawsze pod okiem swoich najwyższych przełożonych. Dla wypróbowania ich i doskonalenia bywają co miesiąc egzamina z kolei z różnych nauk, z których w obecności przełożonych i profesorów swoich sprawę zdawać muszą. Oprócz tych egzaminów partykularnych bywają prócz tego dwa razy w rok, albo przynajmniej raz, examina publiczne, na których bywają sami biskupi albo z ramienia ich prałaci deputowani i inni obcy zaproszeni goście, w obecności których młodzi

kandydaci egzaminowani bywają. I tym sposobem wizytatorowi i jego konsultorom dobrze jest znajoma każdego zdolność. Nadto jeszcze przed każdem święceniem są egzamina, które odprawić muszą przed egzaminatorami na to od biskupa wyznaczonymi. W ten tedy sposób doświadczeni przez wizytatora stanowieni bywają i rozsyłani, a biskupom prezentowani profesorowie, na fundamencie ustaw i konstytucyi tego Instytutu".

Tak było w Warszawie, podobnie także i na Stradomiu w XVIII wieku.

Konfratrzy stradomscy nauczali kleryków już od r. 1705, kiedy X. Łuczkiewicz zrobił fundacyę na Stradomiu, by jeden z Misyonarzy chodził na Zamek wykładać filozofię. Trwało to do r. 1728, w którym ks. bp. Szaniawski na nowo ufundował seminaryum Zamkowe i przydzielił doń czterech stałych profesorów. Kapitały X. Łuczkiewicza zużyto na ordynandów. Że konfratrzy stradomscy uczyli na Zamku, dowodzi „Liber venientium in Stradom". W r. 1717 przybywa X. Weber, 1722 w styczniu X. Walenty Divess, później nieco subdyakon Arenburst, by uczyć filozofii. W r. 1726 przybywa w tym celu X. Kazimierz Wołowski, 1728 przeniesiony na Zamek.

Kiedy na Stradomiu zaczęło się pod jesień 1732 seminaryum, przybył X. Barcz dla filozofii, X. Walenty Jankowski dla teologii moralnej i misyi. Potem co rok niemal, zwykle w sierpniu, zmieniali się profesorowie. I tak 1733 przybywa z Warszawy X. Józef Justyński dla filozofii, 1735 X. Jakób Zimmermann, 1736 X. Piotr Châtillon dla moralnej; 1737 uczy X. Barcz teologii spekulatywnej, X. Jakób Ernst filozofii. Ciągłe przesuwanie profesorów nie sprawiało trudności przy misyonarskim systemie wykładu na podstawie tychsamych stałych autorów i tejsamej metody; a wobec ogromu zajęć Zgromadzenia, w seminaryach, na misyach, w szpitalach, koniecznie trzeba było przesuwać siły pracujące, by zadaniu sprostać.

Ks. Franciszek Bączkowicz.

KRONIKA.

Z PROWINCYI POLSKICH.

Ameryka Północna. — Erie.

List ks. Głogowskiego do P. Ks. Wizytatora, z dnia 20. maja 1915 r.

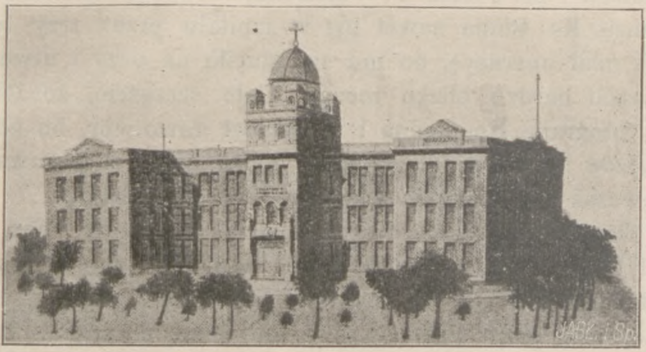
Mam dziś dużo wiadomości, ale najprzód odpowiem na pytanie, na które powinienem był już w poprzednich listach odpowiedzieć.

Kolegium rozwija się normalnie. Jak już na początku roku szkolnego pisałem, mamy w tym roku 72 uczniów, a spodziewamy się przyrostu normalnego, t. j. około 30-tu we wrześniu. Z profesorami angielskimi nie będzie chyba kłopotu, bo za dobrą zapłatę można też dostać i dobrego profesora; gorzej będzie z polskimi. Nasi księża już nie mogą więcej wziąć lekcyi, niż mają w tym roku, a przybędzie jakie dwanaście do czternastu godzin. Nie wiem jeszcze, jak rozwiążemy ten problem. Egzamina zaczynamy 17. czerwca, a 19. już wszyscy wyjadą.

Rekolekcye dyecezyalne w tym roku są wcześniej, bo już 12. lipca; o tyle lepiej dla nas, że potem mamy niemal dwa miesiące czasu do przygotowania się na rok szkolny.

Gospodarstwo rolne także rozwija się coraz lepiej, bo br. Marcin nabiera coraz więcej doświadczenia na glebie tutejszej.

Misyi wcale nie mamy mniej w tym roku, owszem było ich więcej niż w zeszłym; musiałem tylko dla braku sił niektóre przełożyć na drugi rok, a niektóre całkiem przepadły. Nie mamy co prawda tyle zastępstw co po inne lata, ale



Kolegium św. Jana Kantego w Erie Pa.



Nowa plebania w Derby Conn.

może to i lepiej dla Konfratrów będzie. Rekolekcyi u Sióstr Nazaretanek mamy 6 seryi w czasie wakacyj.

Nawiedził nas P. Bóg chorobą; z wyjątkiem ks. Sadowskiego i br. Józefa i Wojciecha, wszyscyśmy leżeli na influenzę. Ks. Binna nawet był w szpitalu przez trzy tygodnie i miał operacyę, bo mu się rzuciło na oczy i utworzył się wrzód bardzo blizko mózgu. Całe szczęście, że lekarz zdjął fotografię Roentgena i spostrzegł nowotwór, bo gdyby się wrzód był rozwinął zupełnie, mózg byłby zaatakowany; a wówczas nie wiadomo jakby się było skończyło.

Dziwna to wogóle jest influenza: najpierw nam popuchły oczy i wywiązało się silne zapalenie, potem zesztywniał kark, a następnie obezwładniały ręce i nogi, a przytem codzień przez jakie dziesięć dni silna gorączka. Tylko ci, co jeżdżą po misyach, nie chorowali, bo od początku postu nie było ich w domu i nie zarazili się od nas. Z chłopców na szczęście, żaden nie zachorował. Nie miałem pojęcia, że influenza może być zaraźliwa, aż dopiero lekarz nam udowodnił, że rzeczywiście tak jest.

Z Misyonarzy zachorował ks. Kołodziej na gardło i z jednej misyi trzeba go było zwolnić, żeby się mógł leczyć; obecnie ma się już dobrze. Wszyscy inni trzymają się zdrowo i dzielnie pracują.

Wojna europejska i na nas się odbija, bo artykuły spożywcze bardzo poszły w górę, zwłaszcza chleb i mięso. Jest to raczej spekulacya niesumiennych kupców, do których zabrał się rząd energicznie. Mamy nadzieję, że wkrótce wrócą do cen dawnych.

Derby. — Ks. Waszko donosi, że na Nowy Rok odbyło się uroczyste poświęcenie szkoły, o której wspomniano w ostatnim zeszycie Roczników z r. 1914. Aktu tego dopełnił ks. Biskup, a kazanie okolicznościowe wygłosił ks. Głogowski. Czasy tam dla Konfratrów także coraz cięższe, a wydatki wielkie. Stany Zjednoczone bowiem, choć nie prowadzą wojny, żądają wszakże wojennych podatków.

†

Ś. p. Maksymilian Reszka.

Z pośród naszej młodzieży duchownej, w znacznej części zawieruchą wojenną rozproszonej, ś. p. Reszka pierwszy z cichych murow seminaryjnych zapędzony aż pod Reims, pierwszy też poległ od kuli nieprzyjacielskiej.

Pochodził z Górnego Ślązka pruskiego, tak obfitego dotychczas w powołania do stanu duchownego. Urodził się w Olibrachcicach w powiecie Prudnickim, dnia 9. października 1893 roku. Rodzice, dosyć zamożni, a zwłaszcza cnotliwi i dbali o dobro swych dziatek, chętnie, acz z bólem w sercu, zgodzili się na rozłąkę z ukochanym swym Maksem, gdy tenże zapragnął poświęcić się Panu Bogu w naszem Zgromadzeniu.

Od września 1898 r. uczył się w Małem Seminaryum w Nowejwsi, a ukończywszy klasę czwartą z dobrym postępem, wstąpił z końcem sierpnia 1912 do Seminaryum na Stradomiu.

Zdolności więcej niż średnie, przy sumiennej pracy, sprawiały, że w naukach dorównywał niemal najzdolniejszym. Przymioty zaś naturalne wraz z bogatym skarbem łask, przy ciągłych, niezmordowanych wysiłkach, już w Małem Seminaryum zaczęły wydawać piękne owoce cnót i przykładów dla drugich, a później uczyniły zeń wkrótce wzorowego seminarzystę. W ciszy życia seminaryjnego wyrabiał się duchowo coraz bardziej, przygotowując się od pierwszych chwil życia w Zgromadzeniu, z wielkiem zrozumieniem swego zadania, do przyszłej pracy misyonarskiej, za którą, choć jeszcze

była daleka, wzdychał całą duszą, o której często lubił rozmawiać.

Jeden z jego kolegów od pierwszej klasy, taką podał o nim charakterystykę: „Dziwne to, że zmarłego Konfratra „ślamazarą“ nazywali żartobliwie szkolni koledzy, którzy zwykle tak głęboko potrafią scharakteryzować swych towarzyszów. W rzeczywistości był drogi Zmarły nadzwyczaj żywy, usposobienia łatwo zapalnego; dzięki jednak pracy, już nawet w Małem Seminaryum, zmógł swą naturę, a pokrył ją zasłoną łagodności. Za dowód służy miłość i poważanie, jakie za życia zyskał u wszystkich bez wyjątku, a teraz żal, z jakim wspominają o nim. Walka ta ze sobą musiała być ogromną, bo mimo ostrożności drogiego Zmarłego można było objawy jej zewnętrzne zauważyć.

„Od chwili rozpoczęcia Seminaryum okazywał żywe zrozumienie obowiązków swego stanu. Wypełnić je punktualnie, w sposób przepisany i z należytem usposobieniem, uważał za cechę seminarzysty i za warunek rzetelnej pobożności. Nie zniechęcały go przeszkody, jakie mu w tem kładł wesoły często nastrój. Powagą i skupieniem zewnętrznem, wiernem odbiciem wnętrza, budować się można było, zwłaszcza przed Tabernakulum. Święty nasz Ojciec z pewnością chętnie przyzna się do tego ucznia w górnej Ojczyźnie.

„Zbawicielowa łaska z pobożnie przyjmowanej Komunii św. czerpana, mogła swobodnie działanie swe rozwijać w ochotnem jego sercu i wydawać owoce cnót. A oddał się tej pracy z całym ogniem charakteru, przygotowując się tak do ślubów świętych. I w tem musiał miewać gdzieniegdzie większe od niejednego zapory, bo naprzykład nie zaznawszy w domu rodzinnym biedy, trudniej było mu poprzestać na małem. Nie można jednak było słyszeć, żeby prosił natarczywie o rzeczy konieczne, lecz prosił pokornie, jako prawdziwy seminarzysta, a jedyną odpowiedzią na odmowę lub zwłokę było: „To nic, to potem“ lub: „nie ubędzie mnie“, gdy wypadło chodzić w starem i połatanem. Nic nie tracił, a przybywała cnota.

„Przełożonym i przewodnikom oddał się z otwartem sercem, odnosił się do nich z szacunkiem i miłością, a co z tego płynie, wolę ich wypełniał jako święty obowiązek. „Kazali — mówił — to starczy“. Podobnie postępował i wobec mniejszych urzędników; każdemu był gotów pomódz, bez uszczerbku jednak obowiązkom. Usłużny, uprzejmy, z każdym potrafił przestawać, z każdym pomówić. Z jego rozmów znać było umysł praktyczny i szukający wytłumaczenia wszystkiego ciekawego w koło siebie. W nauce znany był jako wcale niepoetyczny, bez lotnej wyobraźni, wierszy nie lubił czytać, z porównań górnych, z przenośni, z szumnego języka śmiał się serdecznie. I do szkoły przenosił prostotę. Wytłumaczyć możnaby to lubowaniem się w naukach przyrodniczych, gdzie przecież operuje się namacalnościami“.

Takie świadectwo dają mu ci, z którymi żył najbliżej. Rzewną jego pobożność podziwiali wszyscy. Ulubionym jego świętym, wśród innych patronów młodzieży, był błog. Jan Gabryel, w którego żywocie lubił się rozczytywać, czerpiąc zeń zachętę i wzór cnót misyonarskich. Obok prostoty, łagodności i posłuszeństwa, rysem charakterystycznym tej duszy, choć niełatwo dostrzegalnym na zewnątrz, była dziwna powolność dla natchnień Bożych, posłuch dla najdrobniejszych objawów woli Bożej, zupełne, z bezgranicznem zaufaniem, oddanie się i uległość dla przewodników duchownych.

Był to zatem młodzieniec pod każdym względem rokujący wielkie nadzieje. Nie doczekał jednak nawet chwili ślubów świętych: spodobało się P. Bogu inny obrót nadać jego zbożnym zamysłom i wysiłkom. Wydatną musiała być ta jego praca nad sobą, skoro P. Bóg uznał za słuszne po dwóch latach próby zabrać go do Siebie po nagrodę.

W połowie wakacyj roku 1914, spędzanych jak zwykle przez lipiec i sierpień w willi krzeszowickiej, spadła nagle na biednych letników, jak grom, złowroga wieść o powszechnej mobilizacyi w Austryi i w Niemczech. Dnia 3 sierpnia wyjeżdża ś. p. Reszka, wraz z wielu towarzyszami niedoli, w strony rodzinne, by po długiem, pełnem niepewności

i trwogi wyczekiwaniu, stanąć w szeregach piechoty pruskiej, a następnie podążyć na pole walki.

Z tęsknotą za Zgromadzeniem i ze smutkiem opisywał trudne początki w nowym dlań zawodzie żołnierskiem w Koźlu i w innych miejscach ćwiczeń wojskowych. Wiadomość o tem, czem był poprzednio, wcale mu ulgi nie przyniosła, owszem była przyczyną jeszcze większych upokorzeń. Na jednej z kartek pisał: „Byliśmy (wraz z dwoma towarzyszami) traktowani jako ludzie niebezpieczni, podejrzani". Zniósł to jednak mężnie i wyzyskał dla cnoty.

Wkrótce tak się zahartował, że potem wśród najcięższych nieraz trudów na polu walki nie tracił pogody ducha, wesoło i w żartobliwym swym tonie opisując największe nawet niebezpieczeństwa, wśród których się znalazł. Pisał naprzykład dnia 15 listopada do swych pozostałych kolegów w Krakowie: „Byłem już przez dwa dni w rowie strzeleckim na jakie 300 metrów od wroga. Dziś znów mam urlop na dwa dni i tak pójdzie dalej. Kule świszczą dosyć pięknie, jeżeli mijają, a cóż dopiero armaty? Te ci grają. Przyzwyczaiłem się już, wszystko jest dobrze".

Na pole walki we Francyi wyjechał z początkiem listopada. W święto błog. Jana Gabryela, kiedy jedyni trzej pozostali w Krakowie towarzysze z jego kursu przez śluby św. oddawali się P. Bogu na zawsze, on dojeżdżał na swe stanowisko w pobliżu Reims, gdzie po trzech miesiącach miał także na zawsze oddać swą duszę P. Bogu.

Z drogi przesłał swemu dyrektorowi z Seminaryum przepiękną kartkę pożegnalną, datowaną w Sedanie dnia 6. listopada: „Nadchodzi czas, kiedy znajdę się w obliczu śmierci. Chciałbym zatem podziękować Księdzu Dyrektorowi za wszelkie wyświadczone mi dobrodziejstwa i za każdy trud dla mnie podjęty. Nie było mi danem pożegnać się osobiście, chcę to więc na piśmie zrobić. Nigdybym nie był przypuścił, żem Księdza Dyrektora po raz ostatni oglądał w Krzeszowicach (w sobotę 4 lipca); a jednak borówki na Bartlówce miały stanowić ucztę pożegnalną. Co za piękne wspomnienie!!

Wracam jednak do rzeczy. Jestem już u celu. Z wrogiem spotkam się niebawem; a jak mi się powiedzie? Gdybym miał nie wrócić, to niech P. Bóg sam wynagrodzi Księdzu Dyrektorowi za wszystko. Przedewszystkiem błagam o darowanie wszelkich przykrości i proszę zarazem o pamięć w modlitwie. Wyznaję, że próby są ciężkie, a nieraz zdawało mi się, że im nie sprostam. Wysiłki jednak, czynione w Seminaryum, nie powinny i nie mogą być bezowocne. Tegoroczna uroczystość Wszystkich Świętych, która miała być dla mnie jedną z najdroższych chwil w życiu, nie była nią dla mnie niestety! Tem wyżej za to cenić sobie będę *Bonum propositum*, a zwłaszcza ćwiczyć się chcę w posłuszeństwie. Szczęśliwym mienić się będę, jeżeli poniosę śmierć z posłuszeństwa".

Nie mniejszą szczerością, prostotą i wdzięcznością tchnie list do Ks. Superyora Kryski, datowany w Heutregiville (niedaleko Reims), dnia 14. stycznia 1915 roku: „Uwiadamiam Przewielebnego Księdza Superyora, że powinszowanie na Nowy Rok z wielką radością odebrałem. Z drugiej strony było mi niezmiernie żal, że nie zgotowałem podobnym sposobem tejsamej radości. Przez wszystkie święta znajdowałem się w rowach strzeleckich, ale mimo to przeżyłem je wesoło. Pracowała przeważnie artylerya w tych dniach, lecz nie była dla nas zbyt niebezpieczna. W ogólności nie przeżyłem jeszcze wielkiego niebezpieczeństwa, chociaż już przeszło dwa miesiące tu spędziłem i często, nawet bardzo często chodziłem na patrole. Niekiedy znajdowałem się tylko o jakie sto metrów przed nieprzyjacielem i tylko mnie noc zdołała przed śmiercią obronić. Obecnie bawię na czterodniowych niejako wakacyach, aby nieco odpocząć, a właściwie wzmocnić się do przyszłych potyczek. Jutro mamy się udać na dosyć niebezpieczne miejsce, gdzie się dzisiaj obydwie strony z wielkiemi stratami starły. Dałby Pan Bóg, abym i to także szczęśliwie przeżył. Oby ten święty pokój chciał jak najprędzej znowu na tę ziemię zawitać. — Ludność tutejsza bardzo biedna, żniwo jeszcze na polu. Nędza da się prawdopodobnie więcej po wojnie odczuć niż obecnie. Mieszkańcy tu-

tejsi bardzo uprzejmi, zwłaszcza gdy się do nich przemówi po francusku. Nie byłbym myślał, że będę tak prędko musiał używać języka francuskiego. Dzięki Bogu powodzi mi się w tem dosyć dobrze i służę jako tłómacz u feldfeblów. Co się tyczy zdrowia mego, mogę Przewielebnego Księdza Superyora zapewnić, że żadnego szwanku dotychczas nie odniosło, owszem wzmocniło się. Obym dostąpił tej łaski i mógł powrócić zdrowo i szczęśliwie, bym mógł znowu w ciszy Bogu służyć".

Tak przeżył trzy z górą miesiące wśród ciągłych trudów i niebezpieczeństw. Raz obok jego stanowiska w rowie strzeleckim pękł granat i przysypał go ziemią, z pod której ledwie się wydostał. Drugi raz uderzył weń odłamek granatu. Trzeci cios był śmiertelny. Raniony odłamkiem granatu w plecy, oddał ducha Bogu, dnia 20. lutego, w czasie gwałtownych ataków armii francuskiej, od 19. do 22. lutego pod Souain, na południowy wschód od Reims. Dnia poprzedniego pisał jeszcze do swych rodziców, że zdrów i ma się dobrze; nazajutrz już nie żył. Ciało jego spoczywa na cmentarzu wojskowym w Ripont, nad rzeczką Dormoise, dopływem z lewego brzegu rzeki Aisne.

Ś. p. Brat Piotr Giemza.

Dnia 7. maja 1915 r. zginął na polu walki Brat Piotr Giemza, w dwudziestym czwartym roku życia, a pierwszym powołania. Urodził się w W. Ks. Poznańskiem, w Mirkowie, pow. Kępno, dnia 2. czerwca 1891 r. Osierocony wcześnie pojechał w r. 1908 za pracą „na Saksy". Czy w domu rodzicielskim, czy na obczyźnie, prowadził życie ciche, skupione, pobożne i pracowite, a od lat chłopięcych wzdychał za oddaniem się na wyłączną służbę Bożą. Po pięciu też latach pobytu w niemieckich stronach zgłosił się do naszego Zgromadzenia i przyjęty został w sierpniu 1913 roku.

Od samego początku budował nas wszystkich rzewną, dziecięcą pobożnością, pracowitością niezmordowaną, bezwzględnem posłuszeństwem oraz prostotą i szczerością w postępowaniu i w pożyciu z innymi. Zadziwiającem zaś u niego było to, że odrazu zżył się ze wszystkiem, a zwłaszcza w spełnianiu Reguł, ćwiczeń pobożnych i zwyczajów Zgromadzenia taką miał łatwość, jak gdyby już od lat był Misyonarzem.

W sierpniu 1914 r. musiał wskutek mobilizacyi wyjechać w strony rodzinne. Wzięty jesienią do wojska, po wyćwiczeniu podążył dnia 9. lutego na pole walki pod Ypern, gdzie po blizko trzechmiesięcznych walkach z armią angielską miał poledz.

O jego przywiązaniu do Zgromadzenia, o wdzięczności głębokiej, świadczą częste jego listy i kartki przysyłane z placu boju. Maluje się w nich cała jego piękna, z Bogiem zjednoczona dusza. Przytoczymy kilka z pomiędzy tych listów, w których zawsze z miłością wspomina o dwóch innych Braciach, walczących na froncie zachodnim, o Br. Błażeju Sadowskim i Br. Janie Drygas.

I tak pisze dnia 23. lutego: „Dotychczas jestem zdrów, Przez cztery dni byłem w ogniu. Za pomocą Bożą wyszedłem cało. Wiele do pisania, ale ograniczać się muszę. Nieprzyjaciel o kilkadziesiąt metrów oddalony zasypuje nas ustawicznie granatami. Spodziewamy się każdej chwili śmierci. Polecam się łaskawej pamięci, a w razie śmierci proszę o westchnienie do Boga za biedną duszę“.

W liście z dnia 15. marca pisze: „Pocztówkę z dnia 4. marca odebrałem i składam serdeczne „Bóg zapłać“. Przedewszystkiem dziękuję za tak rzewne słowa, pełne otuchy, z których mam radość niezmierną.

„Dotychczas jestem zdrów i dobrze mi się powodzi. Bóg zawsze ze mną. Obecnie znajdujemy się jeszcze w bliskości granicy francuskiej poza frontem bojowym na odpoczynku, mając tylko codziennie ćwiczenia. Powietrze tutaj

łagodne, mrozu i śniegu dotychczas nie mieliśmy, zato codzień deszcz.

„Walki toczą się dalej, artylerya operuje bez ustanku. Bracia Błażej i Jan piszą często i są dotychczas zdrowi; od siebie są niezbyt oddaleni. Brat Błażej pisał, że brata Jana odwiedził, również i brat Jan donosi, że odwiedził brata Błażeja w rowie strzeleckim. Bóg ich ma w Swej szczególnej opiece! I tak donosi brat Jan pocztówką z dnia 7. marca: „Byłem w kryjówce (w rowie strzeleckim), gdy granat uderzył w powierzchnię rowu, zerwał górny nasyp kryjówki i pękł tuż przy mnie. Bóg sprawił, że wyszedłem cały. Potem wszedłem do drugiej kryjówki, która za chwilę została przez pocisk ogromny cała zburzona; zostałem tylko ziemią przyrzucony, z pod której sam się wydobyłem". I tylko Bogu zawdzięcza życie swoje, że nie został w kawały rozerwany. I tak tutaj żyje każdy, oddając się woli Bożej, pełniąc obowiązek — który za wolą Bożą został każdemu wskazany — czekając, co Bóg ześle.

„Nabożeństwo mamy co drugą niedzielę, o ile nie jesteśmy w rowach. Jest tutaj dwóch belgijskich księży, lecz dla nas przyjeżdża od sztabu ks. Karmelita, który pochodzi z pod Wiednia. Na wieczorny różaniec można uczęszczać, o ile obowiązki pozwolą. Wprawdzie niechętnie pozwalają, ale prośba pomaga. Kościoły tutaj przepiękne, lecz Pan Jezus ten sam! Można wszędzie prawie zobaczyć w bocznych ołtarzach naszego św. Stanisława, biskupa krakowskiego, wskrzeszającego Piotrowinę z grobu.

„Przepraszam, ze się tak szeroko rozpisuję o niepotrzebnych rzeczach. Przedewszystkiem polecam się łaskawej pamięci w modlitwach, żebym mógł zawsze aż do śmierci zachować serce takie, jakie było wtenczas, gdy Stradom opuszczałem. Pokus pełno, złe i zepsute otoczenie, tylko jedyny Jezus ze mną!

„Więc żegnam Cię, Ojcze drogi, i jeszcze raz dziękuję za pocztówkę tak rzewną, modlitwom się polecam, całując ręce — posłuszny nowicyusz".

Dnia 14. kwietnia pisze znowu: „Za list pełen pociechy i otuchy, który dziś odebrałem, serdeczne Bóg zapłać! Sprawił mi niezmierną radość.

„Dotychczas jestem zdrów. — Jezus ze mną! Obecnie jesteśmy znów w tej miejscowości, gdzieśmy w pierwszych dniach byli — blizko rowów strzelniczych — i spodziewamy się, że wkrótce do rowów pójdziemy. Mordercze walki toczą się dalej; — czynią wielkie przygotowania, sądzimy, że rozstrzygnięcie wkrótce nastąpi. Wiosna tutaj piękna, tylko angielscy lotnicy codziennie niepotrzebne a kłopotliwe wizyty u nas odprawiają. Pole walki ma okropny wygląd.

„Bracia Jan i Błażej są, o ile mi dotychczas wiadomo, zdrowi, i są w niebezpieczniejszem położeniu, aniżeli ja; polecam ich, Przewielebny Ojcze, Waszym modlitwom. Brat Błażej donosił ostatnim razem, że obejmują nowe stanowisko, bliżej Sedanu. Każda wiadomość od brata Błażeja jest dla mnie, także i dla brata Jana, który mi to donosi, bardzo drogą, jest on dla nas tutaj drogowskazem i ojcem. Z jego listów czerpiemy otuchę i wytrwałość w trudnościach“.

W cztery dni później, dnia 18. kwietnia pisze: „Z wielką radością odebrałem list Przewielebnego Księdza Superyora i w nim załączone pozdrowienie od Księdza Dyrektora. Za pamięć o mnie niegodnym serdeczne „Bóg zapłać“. Każda wiadomość z ukochanego zacisza stradomskiego cieszy mnie bardzo.

„Dotychczas jestem zdrów — Jezus ze mną! — Tutaj piękne dni, wiosna śliczna — wszystko dobrze. Tylko nieprzyjacielscy lotnicy nam codziennie nieproszone wizyty sprawiają. Mordercze walki toczą się dalej. Wkrótce pójdziemy naprzód, więc polecamy się wszyscy Waszym modlitwom. Okropnie słuchać, jakimi środkami tutaj walczą, lecz zdałem się na wolą Bożą i jestem spokojny — Jezus ze mną — czekam, co Bóg ześle.

„Brat Błażej jest obecnie w innem miejscu i bardzo niebezpiecznem. Polecam go modlitwom. Od braciszka Jana

nie mam już od kilku dni wieści; obawiam się, czy tylko jeszcze jest przy życiu.

„Święta wielkanocne mieliśmy bardzo piękne; byliśmy u wielkanocnej spowiedzi. Drogi Ojcze! mamy tutaj jeszcze wielkie szczęście przez to, że jest sposobność do częstej spowiedzi i Komunii św. Wprawdzie z tutejszymi księżmi trudno się zmówić, i tak pół po niemiecku, pół znakami się porozumiewamy, ale cóż zrobić? katolickich księży wojskowych brak. Co miesiąc do nas przyjeżdża ksiądz Karmelita z pod Wiednia.

„Nie wiem, jaka jest wola Boża; gdybym przestał żyć, to doniesie Przewielebnemu Księdzu Dyrektorowi o tem jeden z tutejszych moich współtowarzyszy, Polaków. Dlatego dziś składam Przewielebnemu Księdzu Dyrektorowi serdeczne „Bóg zapłać“ za wszystkie trudy około mnie poniesione, za zbawienne nauki i rady, które mnie od złego strzegły, i proszę Cię, Drogi Ojcze, i nadal o pamięć w modlitwach, a w razie śmierci o pamięć o biednej duszy“.

Smutne przewidywania zacnego brata Piotra zbyt rychło niestety się sprawdziły. Towarzysz i przyjaciel jego przesłał dnia 7. maja kartkę tej treści:

„Zmusza mnie przyjacielska powinność tak smutną wieść donieść, że mój drogi przyjaciel, Piotr Giemza, dnia 7. maja o godzinie trzeciej został ciężko ranny. Po upływie 1 godziny 45 minut oddał Piotr Stwórcy Najwyższemu ducha“.

R. I. P.

Ś. p. Ks. Ferdynand Medits.

„Reichspost" z dnia 9. kwietnia 1915 podaje następującą notatkę: „Z Budapesztu donoszą, że zmarł tamże dnia 7. b. m., wskutek cierpień astmatycznych, superyor XX. Misyonarzy, ks. Ferdynand Medits, w 79 roku życia. Zmarły znany był także we Wiedniu z przeszło trzydziestoletniej pracy przy kościele XX. Misyonarzy na Kaiserstrasse. Zbudował on kościół św. Seweryna w dzielnicy XVIII., schronisko św. Antoniego w dzielnicy XV. i Marianneum w Hetzendorf. Od roku 1897 pracował na Węgrzech jako przełożony XX. Misyonarzy i Dyrektor Sióstr Miłosierdzia.

Zmarli Misyonarze w roku 1914:

Br. Daniel Mahony, 7 czerwca w Germantown (prow. wschodnia Stanów Zjednoczonych); żył lat 61, w Zgromadzeniu 27.

Br. Emanuel Siguenza, 2 lipca w Murguia (prow. madrycka); żył lat 70, w Zgromadzeniu 29.

Ks. Jan Schlereth, 19 lipca w St. Louis (pow. zach. Stan. Zjedn.); żył lat 43, w Zgromadzeniu 24.

Ks. Józef Verrière, 2 sierpnia w Sin Fong (Chiny poł.); żył lat 46, w Zgromadzeniu 27.

Br. Benjamin Coutant, 14 września w Berceau (Dax); żył lat 71, w Zgromadzeniu 41.

Ks. Leonard Dautzenberg, 14 września w Theux (Belgia); żył lat 72, w Zgromadzeniu 50.

Ks. Dezydery Salomon, 13 września w Urmii (Persya); żył lat 76, w Zgromadzeniu 57.

Br. Kalikst Gadolini, 9 września w Rzymie; żył lat 57, w Zgromadzeniu 18.

Ks. Klotard Plouchard, 29 września w Paryżu; żył lat 65, w Zgromadzeniu 17.

Kler. Jakób Willemen, 16 października w Panningen (Holandya); żył lat 23, w Zgromadzeniu 1.

Ks. Mikołaj Laux, 28 października w Paryżu; żył lat 54, w Zgromadzeniu 32

Ks. Albert Guelton, 23 października w Konstantynopolu; żył lat 37, w Zgromadzeniu 18.

Ks. Emil Déléry, 3 listopada w Pernambuco (Brazylia); żył lat 73, w Zgromadzeniu 50.

Br. Józef Bernardi, 5 listopada w Mondovi (prow. Turyn); żył lat 65, w Zgromadzeniu 32.

Br. Andrzej Colacutti, 29 listopada w Macerata (prow. rzymska); żył lat 57, w Zgromadzeniu 32.

Ks. Jakób Fronteri, 2 grudnia w Piacenza (prow. rzymska); żył lat 81, w Zgromadzeniu 63.

Br. Michał Tabar, 6 grudnia w Madrycie; żył 49, w Zgromadzeniu 35.

Ks. Jan Maher, 18 listopada w Germantown; żył lat 40, w Zgromadzeniu 21.

Ks. Jan Girard, 18 grudnia w Paryżu; żył lat 91, w Zgromadzeniu 62.

Ks. bp. Walenty Ampuero, 2 grudnia w Puno (Peru); żył lat 45, w Zgromadzeniu 16.

Ks. Wincenty Orciolo, 18 grudnia we Florencyi; żył lat 63, w Zgromadzeniu 43.

Ks. Karol Wittib, 21 grudnia w Ningpo (Chiny); żył lat 45, w Zgromadzeniu 28.

Ks. Tomasz Abella, 26 grudnia w Oranie (Algier); żył lat 68, w Zgromadzeniu 51.

R. I. P.